



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



Slav 7123.10.23

HARVARD COLLEGE  
LIBRARY



BOUGHT FROM THE  
AMEY RICHMOND SHELDON  
FUND

113



**ROZTRZĄSANIA**

I

**POGLĄDY LITERACKIE.**



# ROZTRZĄSANIA

I.

## POGLĄDY LITERACKIE

PRZEZ

LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO.



**POZNAŃ.**

Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki, ulica Berlińska 32.

Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.

1869.

Slav 7123.10, 23

✓



Nr. inw 1144

# HENRYK RZEWUSKI

i

## BARTŁOMIEJ MICHAŁOWSKI.

---

Przymioty i niedostatki Autora Pamiątek Soplicy. — Fałszowane Pamiętniki, — Targowica i mniemany legitymizm. — Pan Bartłomiej egoista. — Charakterystyka króla Stanisława. — Obrona Targowiczian kosztem znanych patriotów. — Przykład heroizmu generała Mokronowskiego. — Czém był Szczęsny Potocki. — Stanisław August i królowa Georgii. — Paradozalny autor.

Ilekcroć pojawiła się jaka nowa książka Henryka Rzewuskiego, zawsze brałem ją do rąk z nie-małym oczekiwaniem, ale i z pewną nieufnością, którą pokonywała ciekawość.

Doskonała znajomość stosunków familijnych i podań szlacheckich, połączona ze znajomością świata, wreszcie sam talent pisarski umiejący czer-

pać, że tak powiem, z pierwszej ręki, — oto są tytuły budzące oczekiwanie.

Te zaś, co budzą nieufność, zdają się pochodzić najwięcej z chwilowych, osobistych względów autora, nie tylko sprzecznych z ogłoszonymi przezeń prawdami; ale często najdotkliwiej obrażających uczucie narodu. Patron opinii i stronnictw potępionych sądem historyi i sądem sumień, usiłuje wyobrażenia i uczucia ogólne ciągnąć w tę stronę, z kąd wyszło tyle narzędzi zagłady, z kąd wiara katolickiego narodu doznała najsroźszych ciosów.

Jeżeli w innych pismach Autora *Pamiętek Soplicy* znalazły się tu i ówdzie niejaki wskazówki naprowadzające na te intencje, — to myśl jego wyrażała się więcej ułamkowo, pobieżnie, niż w całej pełni — co pozwalało wnosić, że w obec czerstwiejszych przekonań i sumień, zmuszony był porobić te restrykcyjne. Najświeższe zaś, wykonane przez niego dzieło: *Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego*, obejmujące w pięciu tomach wypadki od roku 1786 do 1815., odsłania w całej pełni myśl — i oddaje ją w sposób nieoszczędzający ani rzeczy, ani ludzi — zupełnie, jakby swoją publikę traktował *en bagatelle*.

Aczkolwiek wielce miłuję Pamiętniki, jednakże nie lubię nadużycia téj formy czyli naśladownictwa; co znaczy, mówiąc wyraźniej, że ten tylko ma prawo pisać pamiętniki, kto patrzył na wypadki i brał w nich udział — inaczej pod formą, będzie to zawsze romansowa fikcja, środek podstawienia swoich wyobrażeń i faktów źle poświadczanych, lub połączonych z książek, azatem przestoczonych i podejrzanéj wiary. Mówiłem także, że tylko osobom wtajemniczonym w wysoką grę polityki, stojącym na górującym punkcie towarzyskim, lub umysłowym, przyzwoita jest pisać o rzeczach i ludziach swojego czasu; przypuszczać bowiem należy, że mogą mieć najdokładniejszą wiadomość przyczyn i skutków zdarzeń przed ich okiem dokonanych. Tego tylko rodzaju pamiętniki mają wartość historyczno-źródłową; wszelkie inne przechodzą mniej więcej w kategorię historycznego romansu. Toż i Pamiętniki Michałowskiego nie są niczém inném, tylko romansem osnutym na tradycjach Targowicy, rodzajem pamfletu, co w pamiętnikowéj formie szarza zacne imiona, przechowane ze czcią w pamięci obywatelskiéj, a potęgione podnosi.

Zdanie to nie jest żadném uprzedzeniem się

przeciw rzetelnym opiniom i wyznaniom pochodzącym od jakiegobądź członka związku Targowickiego. I owszem, miałbym to za bardzo cenny dla historii nabytek, gdyby który z naczelników związku, przypuścmy taki światły człowiek jak Bończa Tomaszewski, zostawił był niepodejrzaną relacją całąj téj roboty, z wykryciem zakulisowych działań, tajemnych sprężyn i pobudek, niemniej zgryzot i wyrzutów sumienia w sercach bezinteresownych działaczy, gdy celu chybili; interesowani bowiem pochwytawszy starostwa i donatywy, nie minęli się z celem i nie mieli czego rozpaczać. Mam jeszcze to przekonanie, że taki pamiętnik odkryłby nam wcale co innego, jak ów pseudo-Michałowski odkrywa. Pod piórem sumiennego człowieka, byłaby to upokarzająca spowiedź z dobrych intencji, — a krótkiego widzenia, z łatwowierności dającej się wciągnąć w zasadzkę, z pychy niemogącej ścierpieć by się coś dobrego bez nas robiło; — wreszcie z niezaszczytnych komerażów i intryg, z świadectw, patrzących na przedajność, na układy i spiskowania przeciw prawej władzy. — Taki, a nie inny byłby to pamiętnik, — i dla téj przyczyny choć Targowicki związek miał wielu ludzi z głową i dobrze piszących, przecież nikt nie odważył się rzucić na

papier tych wyznań: bo jeszcze cynizmu pióra nie znano wówczas, przewrotów sumienia nie umiano w obec świata drukowanem słowem usprawiedliwiać; tylko w cichości trawiono swoją nędzę, lub pod tarczą potężnej gwarantki, w dostojeństwach i bogactwach udawano wzgardę i litość dla dobrodusznych półgłówek nie umiejących nic wyratować z powszechnego rozbicia, króm uczciwego imienia.

Gdy tedy podobnych pamiętników niezostawili Targowiczanie, polegaliśmy dotąd na relacjach bądź stronników uchwały konstytucyjnej, bądź ludzi obojętnych względem téj reformy; lecz nie obojętnych dla sprawy ojczystej — wreszcie na sądzie historyków. — Być może, iż wszyscy ci nie mogąc się otrząść z namiętności, rzucili za mocne światła i za mocne cienie, a będąc pod wpływem wielu fałszywych wyobrażeń zeszłowiecznych, źle ocenili wypadki; a w spadku biorąc uprzedzenia i nienawiści, nie oddali sprawiedliwości komu się należy, a raczej nie chcieli zmazać piętna hańby, wyciśniętego na niejednym czole w doraźnych sądach krajowych zaburzeń. Nie przeczę, ta karta historii jest może jednostronnie pisaną; przynajmniej nie znam żadnej publikacji, coby ją modyfikowała. — Bo i mogłoby być inaczej, kiedy czynności przeci-

wnego obozu miały tylko oficjalną stronę, a bardzo mało tych zakulisowych szczegółów, tych poufnych wynurzeń się, co dają klucz do zrozumienia toku zdarzeń, zawikłań i charakterów. — Nic z tego nietranspirowało na wierzch, utaiło się bez protestacyi, bez usprawiedliwienia się przed współczesnymi, bez odwołania się do trybunału historii, i poszło w grób z piętnem zbrodni i przekleństwem.

Nie przeczę, to potępiające milczenie mogło być skutkiem drażliwego położenia, okoliczności natężonych, niesprzyjających podobnym protestacyom i spowiedziom, opinii skierowanej odpornie, niewyrozumiałej, bo jedną żywioną namiętnością, — a mimo tego, ani wątpię, niechby się tylko był znalazł dokument rzucający inne światło na tę sprawę, dokument szczerego wyznania, umotywowany szlachetnemi i bezinteresownemi pobudkami, musiałby się wyrobić oględniejszy wyrok, któryby szorstkość opinii złagodził i prawdę we właściwych kolorach okazał. Że go nie ma, chociaż dziś namiętności przygasły, tradycye pozacierały się, aktorowie powymierali, a rehabilitacje są w modzie, — czego to więc dowodzi? Oto, że sumienia jednych tak były obciążone, iż wolały pozostać w przyjętej roli, niż zrzucić z siebie syzyfowe brzemie; gdy

drudzy, wciągnięni do spółnictwa hasłem obrony starych swobód i praw Rzeczypospolitej, choć później poznali fałszywą grę, nie mieli odwagi przyznać się, że byli oszukani, azatem jako narzędzia oszustwa, nie wiele mogli wiedzieć o stosunkach, naradach, czynnościach, planach naczelników partyi; wreszcie większa część zacnych bardzo obywateli, podpisujących akt konfederacyi, bądź dobrowolnie, bądź pod naciskiem, rehabilitowała się prędko w oczach współziemian, poświęcając się publicznym usługom, lub pozostając w miernej niezawisłości.

Jakież tedy było zadziwienie moje, i zapewne niejednego czytelnika, gdy wzięwszy do rąk Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, znalazłem w nich bardzo rozciągle traktowaną kwestyą Konfederacyi Targowickiej, a co najciekawsza, okazaną z téj strony, z jakiej jeszcze okazać jej nie odważył się żaden historyk: — bo w postaci baranka w walce z wilkiem, czyli stronnictwem ustawy konstytucyjnej.

Jakkolwiek tedy ciekawość moja była wytężoną, żeby pochwycić co najwięcej dowodów i szczegółów, mogących zmodyfikować zdanie moje w téj rzeczy, przyznam się, że często opuszczała mnie

wiara w prawdziwość faktów podawanych przez p. Michałowskiego, i gruntowność jego rozumowań. Tego zaś nie inna przyczyna, tylko że po niektórych aluzyach zdradliwych, mylnych szczegółach i datach, oraz zdaniach bardzo dzisiejszych, poznałem, iż to jest świeża robota, zapewne samego wydawcy; że żaden Bartłomiej Michałowski nie egzystował, a choćby i egzystował, to był taki — z przeproszeniem czytelników moich — niedołęga, że nigdyby nie zdobył się na napisanie podobnych pamiętników; gdyż ten brak loicznego tłumaczenia się, te gęste usterki językowe w składni, ta niewłaściwość użytych wyrazów, widocznie są udane, przez tak znakomitego pisarza jak autor Pamiętek Soplicy, aby tém snadniej wmówić w czytelnika, że to klecił ów niedołęga Michałowski.

Dzisiaj nie udają się podobne podrabiania; czasy podrabianych kronik minęły; wreszcie nacoby się zdało podrabiać stare szpargały, kiedy nowe więć mają pokupu i wielbicieli. Jestto więc tylko forma, w którą autor Soplicy oblókł podania, jakie miał, wyobrażenia, jakie sobie wyrobił, uprzedzenia, jakie zatrzymał, kierunek, jaki popiera; ale dlatego nie będąc ani naocznym świadkiem opisywanych zdarzeń, ani czynnym aktorem, wy-

nalazł sobie pana Bartłomieja, któremu swoje myśli w usta wkłada, i każe mu żyć wśród ludzi i scen bardzo interesujących, pamiętnych katastrofami, nagłymi zmianami rządów, wysileniami, upadkami i nadziejami.

Nie powiem jednak, żeby pan H. R. szczęśliwą miał rękę w wyborze człowieka, któremu powierzył reprezentacją swoich władomości, wyobrażeń i kombinacji?!

Zkąd się wziął ten pan Bartłomiej Michałowski? kto go rodzi, gdzie jego gniazdo, jaki klejnot familijny? — Niewiem, bo nie czytałem pierwszych trzech tomów; koniec dzieła pokazał się wprzód niż początek. Wszelako z toku opowiadania tyłem dociekl, że za młodu służył w wojsku cesarskim, w pułku Szybilskiego, pod którym bił się w wojnie siedmioletniej, i dostawszy gdzieś kulą, wziął dymisyę z pensyą i pozwoleniem noszenia munduru. Była to więc sztuka wojskowa, ale w jego całym późniejszym zachowaniu się nic nie pokazywało człowieka z krwią i sercem żołnierskiem. Zamknięty w wygódkach, niezmiernie troskliwie obchodzi się ze swoją osobą, żyje regularnie jak zegarek, wina niepija, kawkę i herbatkę lubi, a za fajeczką dobrego turczyzna przepada, —

po wielkich tylko wzruszeniach czuje się osłabiony, i jedzie do Karlsbadu, albo się kuruje piołunkowym winem, w które tak się zaopatrzył, że mu do śmierci wystarczy. Amator ten pokój i próżniactwa, niczem się nie trudni, ani nawet gospodarstwem: bo szczęśliwy, jak każdy samolub, ma poczciwego synowca, który mu zarządza majątkiem i kapitały składa, towarzyskiego rezydenta, który go w melancholii rozrywa, wierne sługi, które nań chuchają. Zapomniałem, że miał urząd szambelana przy królu Stanisławie; lecz i tego się pozbywa, gdy napařszy się jechać z królem do Kaniowa, a nieotrzymawszy pańskiego przyzwolenia na tę podróż, dąsa się i dziękuje królowi za służby. Ma to być ideał niepodległego szlachcica, co jak sam często powtarza, do żadnej partyi nie należy — czyli tłumacząc to właściwem słowem: nie podejmuje żadnej czynności publicznej, aby sobie zatrzymał urojone prawo sądzić bezstronnie i jednych i drugich.

I kiedy widział, że drudzy tonęli,

Mówił, stojąc na brzegu: płynąć nieumieli.

Zapewne przez wybór tak nieszczęśliwej figury i samo opowiadanie ucierpiało niezmiernie. Pierwsze dwa tomy interesują jeszcze jako tako, mniej

znanemi anegdotami, gęstymi rozumowaniami i uwagami nad społeczeństwem warszawskim, nad czynnościami czteroletniego sejmu, szczegółami o figurach partyi konserwatywnej (to miano bowiem daje Targowiczanom zapewne dla tego, że się ryczałem w konserwacyę oddali), za to reszta tomów zawiera same tylko historyczne ogólniki, o jakich każdy umie rozpowiadać, kto żadnej nawet historii nie czytał, a niedopieroż ten, kto patrzył na wypadki współczesne. Za to aż do unudzenia znajdziemy tam puste gadaniny o przejażdżkach pana Bartłomieja do krewnych w Galicyi, jak mu dobrze było u pani Rzepeckiej, jakie miała krowy, jaki nabiał, a masło tak wyborne, że je posyłała do Wiednia. Żemi z całej téj opowieści najwięcej to masło zostało w pamięci, ztąd pochodzi, iż pan Bartłomiej aż trzy razy powtarza ten szczegół z pewnym znaczącym naciskiem. Miałaby w tym rysie mieścić się charakterystyka kraju, ludzi, instytucyi, stosunków handlowo-przemysłowych, czyli téż jest to jedna z licznych naiwności p. Bartłomieja? — Niewiem, — ale dość powiedzieć, że niepospolicie nudzi opowiadaniem swoich płaskości i amplifikacyą najpowszedniejszych przygód. Tymczasem niepospolity pisarz, jak H. R., miał najszcześniejszą zręczność

zrobić z pana Bartłomieja figurę interesującą, choć komiczną, gdyby odstępując od formy pamiętnikowej tak niewdzięcznej, gdy się nie ma dość zasobów, aby ją napęłnić, wystawił go nam w charakterze miłośnika pokoju i wygodek, narażonego na najrozmaitsze perypeccye i kłopoty ruchliwych czasów, wojen i zamieszek. A właśnie znalazł się był na tym tropie, kiedy pokazał nam pana Bartłomieja w roku 1794, jak w szlafroku i pantoflach i z nieodstępną fajeczką zamyka się i siedzi w domu, co go nie chroni od dostania się do kozy, zkąd potem za sprawą pani Grabowskiej, ucieka do Gdańska i oddaje się pod opiekę obcego konsulatu tytułem dawniej służby wojskowej. Przeprowadzenie takiego tchórza i egoisty przez ciąg podobnych katastrof, zawierałoby sens moralny więcej budujący niż ten, jaki wyciągnąć da się z całego pamiętnika.

Ale zostawmy na boku już pana Bartłomieja, który miał być dla nas owym ideałem niepodległego szlachcica, co nawet swego króla nieznosi; ale dla tego innym tak często do nóg pada, że szkoda, iż nie podał do wiadomości potomnych, ile zdarł spodni na tych hołdach. Zostawmy go — a zatrzymajmy się na niektórych trafnych uwagach,

świeżych anegdotach historycznych, a wreszcie na nietrafnościach i niekonsekwencyach z równą obfitością rozsypanych w tém dziele.

O królu Stanisławie Auguście takie robi postrzeżenia:

„Żaden monarcha tyle się nie przyczynił do zepsucia obyczajów swojego narodu i do wywrócenia jego przyrodzonej konstytucyi. Wszystko, co było w Polsce starodawnego, już go raziko. Rad był zatracić w narodzie pamięć przeszłości, żeby historia polska od jego panowania się zaczynała. Pomimo wysokiego światła, starannego wychowania, nawet niepospolitej nauki, nie był mężem stanu, gdyż wszystkie swoje podrobne namiętności przenosił do swoich rządów. I tak nienawiść, jaką czuł dla tych, co ich nazywano magnatami, była głównym bodźcem jego postępów. Myślał, że na gruzach ich potęgi w narodzie, swoją własną wyniesie, i że tym sposobem zostać może samowładnym panem. Całkowite jego panowanie było dążnością do zniechęcenia narodu do rządu wielu, a brania pochopu do rządu jednego, jako więcej przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwu wszystkich. Nie było intryg, którychby zaniedbał, ażeby poróżnić między sobą domy magnackie; di-

*vide et impera*, było jego maksymą. A nie umiał przewidzieć, że nie on, ani nawet szlachta, ale niższe stany, tak dobrze jak nam obce, bo niewyrażające podań narodowych, i sąsiednie państwa korzystać będą z poniżenia magnatów.

„Najstraszniejsza a niegodziwa broń, jakiej przeciwko nich użył, było sprzyjanie rozwodom. Co mu nie było trudno po wyniesieniu na Prymasa, omal nie na bezzależnego zwierzchnika Kościoła polskiego, rodzonego brata, pełnego światła i nauki: ale dumnego, mściwego, rozwiązłego i bez żadnej religii. On to porozsadzał na stolicach biskupich kapłanów niedowiarków i gorszącego życia, którzy znowu zapelniali konsystorze kapłanami, do nichże samych podobnymi... Przy takich biskupach i konsystorzach, jakie oni obmyślili, rozwody w przestraszającym postępie namnożyły się: bo dekret rozwodowy tak rychło następował po pozwie, że nie było czasu do refleksyi... Z rozwodami mnożyły się procesy familijne, gniewy zawziętości, nienawiści i ruiny wielkich domów. Gdyż przyszło do tego, że można było w jednym towarzystwie spotkać pana wysokiego rodu z trzema, a nawet z czterema damami, z których każda była kiedyś jego żoną... Ale czém cios najwięcej zabójczy

zadał naszym obyczajom, to osłabieniem związków familijnych. W Polsce stosunki familijne zastępowały niedostatek siły rządowej. Każdy szlachcic uczył się tych stosunków i musiał umieć na pamięć całą swoją genealogią. Do piątego, a nawet do szóstego stopnia pokrewieństwa było tak dalece szanowane, że synowiec w tym stopniu nazywał starszego krewnego stryjem i był dla niego pełen uszanowania. Dzieci i wnuki stryjecznych lub ciotecznych braci nazywali siebie braćmi i siostrami, i to samo im przypominało obowiązki miłości wzajemnej. Wyraz kuzyn był tak dobrze jak nieznany między szlachtą, lub oznaczał niepokrewieństwo, ale jakąś daleką koligacją, której stopnia nie było podobieństwem skreślić. U szlachty bywały aż nadto często procesy familijne i zwady między najbliższymi krewnymi, nawet nienawiści; ale te były osobiste i nie były przeniesione do życia publicznego. Na sejmikach poselskich, deputackich, ziemskich, procesujący się między sobą krewni, głosowali wspólnie, nie rozrywali partyi, na której czele stał zawsze jakiś najstarszy wiekiem krewny, którego zdanie było dla wszystkich jej członków wyrocznią. Pod pewnym względem partye były familiami, i tém samem były tak potężne, że ma-

gnaci musieli się spokrewniać z szlacheckimi domami, dla podtrzymania swojej przewagi. Tym sposobem zachowała się równość szlachecka tak dobrze, że wyraz *mésalliance* niedający się tłumaczyć w języku polskim, dopiero pod koniec Stanisława Augusta zaczął wchodzić w używanie.. Ten duch familijny kaził (zapewne: raził) króla, któryby rodzzonego dziada nie umiał pokazać. On sam i dowcipni awanturnicy, którymi się otaczał, rzucali pociski szyderstwa naprzeciw tego zachowawczego ducha, do czego aż nadto im pomagało zfrancuziałe towarzystwo dworu i stolicy. Co tylko było w obyczajowości narodowej, obrzucone zostało nazwiskiem sarmatyzmu nie tylko w salonach warszawskich; ale nawet na widowniach publicznych. Młodzież nieumiarkowana w uniesieniu, przyklaskiwała komedyi pana Zabłockiego: *Sarmatyzm* dowcipny paszkwił na jej ojców. Jakże związki familijne miały być szanowane?\*

W dalszym ciągu dodaje autor, że nie mało przyczyniło się do zatarcia narodowego obyczaju porzucenie stroju polskiego, do czego król dał pierwszy popęd, przyjmując koronę w ubiorze bliższym jakiegoś komedyanta, niż szlachcica polskiego. Trafną z tego powodu robi uwagę: „Ubiór nie jest

rzeczą dowolną, on musi coś wewnętrznego wyrażać, i jest koniecznie jakieś powinowactwo między duchem narodu, a jego ubiorem.“ Nakoniec do przyczyn ścierających charakter dawnego społeczeństwa, kładzie ówczesną literaturę francuską, której nedorzecznosci i przewrotne zasady dobroduszenie przejmowano i zamieniano w czyn z pochopnością naszemu narodowi właściwą. Nauki też Woltera, Diderota, Helwecyusza zastosowano praktycznie, co przykładami stwierdza, opowiadając, jak trzech kawalerów dopuściło się profanacji na procesyi Bożego Ciała w Warszawie, co im uszło płazem — i jak młodzieniec pewien na Rusi dopuścił się podobnej profanacji, wynosząc z kościoła Hostyą poświęconą, — lecz tym razem zbrodnia została pomimo wszystkich protekcji, srodze ukaraną; winowajcę odsądzono od czci, majątku i szlachectwa, i skazano na śmierć; on zaś nieczekając spełnienia wyroku, uciekł do Ameryki. Szlachta niezepsuta, jeszcze lepiej umiała dochodzić obrazy Majestatu Boskiego, niż libertyńska stolica. —

Oto jest jeden z rysów obyczajowych owego wieku wierniej i prawdziwiej schwycony, niż inne odnoszące się szczególnie do osób, polityczną gra-

jących rolę w epoce reform krajowych. W tym względzie nie możemy odmówić autorowi bystrego rzutu oka, lubo w powyższym ustępie znajdują się niektóre punkta niezbyt ściśle oznaczone, lub też niezostające w związku z tém, co na innych miejscach powiada.

I tak mówiąc o królu, przygania mu, że „całkowite jego panowanie dążyło do zniechęcenia narodu do rządu wielu (możnowładztwa), a brania pochopu do rządu jednego, jako więcej przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwa wszystkich.“ — Przyznam się, że nie tę dążność należałoby królowi wyrzucać, ale chyba obwiniać go o brak żelaznej energii w przeprowadzeniu jęj; dążność ta zresztą niebyła nową: bo od czasów Jana Kazimierza, pracowano nad zniesieniem elekcji i pomnożeniem władzy królewskiej. Sam autor przyznaje niżej (karta 160. T. I.) „jako w praktyce zawsze się pokaże, że jednowładztwo i możnowładztwo są jedyne osie, na których się obracają przeznaczenia społeczności ludzkich.“ — Scentralizowanie władzy przez osłabienie sił możnowładców, była jedyną już praktyczną drogą, — że nie doprowadziła do celu, wina w tém cięży na możnowładzcach przywykłych od dawna prowadzić poli-

tykę na swoją rękę i zachodzić w konszachty z obcemi dwory, aby mieć plecy do stawiania oporu. Przypuśćmy nawet, żeby król oddał się był w ręce możnowładzcom, — czyżby to uratowało Rzeczpospolitą? Czyż te partye co wystąpiły przeciw sobie przed i po sejmie koronacyjnym, byłyby oręż schowały do pochew? Czy obok jednego króla obranego naciskiem Moskwy, nie byłby stanął drugi Elekt Radziwiłłów i Potockich, nie licząc innych piastów, coby się na tę godność kasali? Możnowładztwo zepsute intrygami kandydatów do tronu, miało tylko nieograniczoną pychę i nieumiało się łączyć w zbawczych celach; dowiodło tego związkim Targowickim. Nie mogąc mówić ze ścisłością o tém, jakby było, gdyby było inaczej, wskazuję na ten ostatni wybryk możnowładztwa i na tém opieram wsteczny domysł. Pan Bartłomiej zacięcie polemizując przeciw stronnikom czynności wielkiego sejmu, każe nam wierzyć, że ta reforma wszystkiego złego stała się źródłem, i że w możnowładztwie był tylko zbawczy środek, tymczasem przykładami dowodzi rzeczy wręcz przeciwnéj: bo malując sprawki tego lub owego magnata, niepokazuje nam wcale owego materiału, z którego się robią podwaliny i kolumny, ale same groteski i ka-

rykatURY dobre na materyał do rubasznej powiatki lub komedyi. — Snuć ogólniki powabne łatwo, trudniej jest pokazywać na żywych, wiarogodnych przykładach jak stała społeczność.

Mógłbym także pomówić pana Bartłomieja o niesłuszny zarzut zrobiony królowi, jakoby tenże umyślnie ułatwił rozwody; aby możnowładztwo osłabić. Zaiste byłby to jeniałny, przynajmniej arcydemoniczny pomysł godny machiałowego *Principe*; — lecz o ile wiemy, nawet między najgorszymi szukając monarchami, jeszczebyśmy nieznaleźli takiego, coby zamierzył porozrywać święte węzły rodziny, choćby dla własnego interesu; — bo przecież tam rząd łatwiejszy, gdzie węzeł rodziny trzyma społeczeństwo w korbach moralnych. — Niegodzi się robić nieszczęśliwego gorszym niż był, zwłaszcza, że rozwody nie są wyjątkiem w porządku ówczesnego świata; ale wszędzie się zagęściły w skutek filozoficznej propagandy nurtującej w społeczeństwie wyrosłem na nauce kościoła. — Wreszcie przypisawszy królowi taką machiawelską przebiegłość, wolno byłoby zapytać się, dla czego nieużył jej na obronę własnej korony? — Surowo również wyraził się o Prymasie, bracie królewskim, który przeciwnie w wielkim rygorze utrzymał duchowień-

stwo, jak to poświadcza nawet nieprzyjazny mu Kitowicz, pochwalając nakazane przez niego rekolekcyje po dekanatach, połączone z egzaminem z nauk. — Trudno niegodzić się z panem Bartłomiejem tam, gdzie pisze bez chęci ciągnięcia wody na swoje koło, a tylko sumiennęj prawdy szuka. Do takich miejsc należy ustęp o żydach, a mianowicie o ich reformie przez Franka dokonanej. Szczegóły podane są trafnie zestawione, a uwaga niniejsza głęboką: „Nikt o reformie żydów nie myślał, i chciałbym wiedzieć na coby się im ona przydała? Czy żeby ich wyleczyć z zabobonów?... Ale pierwój trzebaby się porozumieć co ten wyraz znaczy. Każda nawet prawda dla tego, który w nią nie wierzy, jest zabobonem. Nasi ojcowie bardzo to dobrze rozumieli, nadto się troszczyli swoim własnem zbawieniem, żeby się trudzić zbawieniem żydów, a tem dokuczać im na tym świecie. Dopiero kiedy uczucia religijne tak u jednych jak u drugich zaczęły omdlewać, w imię cywilizacyi wzięto się do ich nawracania już nie religijnego, ale cywilnego. Usiłowano tego dokazać; żeby żyd został Polakiem, zachowując w ścisłości swoją religię, czyli swoją narodowość: bo u niego to rzecz jedna.“ — Tak się téż stało, i rzeczywiście

żydzi weszli do towarzystwa chrześcijańskiego, które na tym nabytku nie tylko niezyskało, ale owszem traci wiele; niemasz bowiem zagorzalszych racjonalistów jak reformowani żydzi.

Pod względem historycznym ciekawe są karty opisujące zjazd monarchów w Kaniowie. „Zanosiło się na wojnę — powiada pan Bartłomiej — między Rosyą a Austryą sprzymierzoną z jedną, a państwem Ottomańskim z drugiej strony. Wówczas imperatorowa Katarzyna i cesarz Józef byli w aliansie z Polską. Wątpliwości nie ulega, że chcieli uczynić naszą Rzeczpospolitą współniczką ciężarów tej wojny, i korzyści jakieby z niej otrzymać można było. Były oto zawiązki układów tych dwóch mocarzy z naszym królem. Zdaje się z tego, co z tych tajemnych układów transpirowało, że na wypadek pomyślnego końca tej wojny, o którym nie można było wątpić, królowi było obiecane ustępstwo kilku cyrkułów w Galicyi ze strony Austrii, a tej części Białej-Rusi, która na zachodnim brzegu Dniepru jest położona, ze strony Rosyi; nawet mówiono że do tego miano dodać Raję Chocimską.“ — Szczegóły tych układów jak widzimy, mało są znane; z nich to się wysnuwa działanie posła pruskiego Lucheziniego. Prusy związane z Anglią, nie ży-

czącą sobie uszczuplenia granic Porty Otomańskiej, a same niemające żadnego widoku zyskać coś na ukartowanym podziale Turcyi, krzywo patrzyły na ten sojusz, i aby go rozerwać, przyjęły na siebie rolę wybawiciela Rzeczypospolitej z pod uciążliwej gwarancyi rosyjskiej. Działo się to w początkach wielkiego Sejmu, zabierającego się do popraw i reform. Owóż zręczny margrabia Luchezini, umiał podbijać bębena partyi pragnącej zmian i nowości, a przez agentów swoich działać po kawiarniach i bilardach na opinię niższych warstw społeczeństwa.

Znana to polityka! — lecz co pan Bartłomiej twierdzi, że Luchezini nie byłby planów swoich prowadził, gdyby nie to, że trafił do panów Stanisława i Ignacego Potockich, którzy nie mając szczęścia podobać się imperatorowej Katarzynie na zjeździe w Kaniowie, wrócili do Warszawy z sercem zajątrzonem na nią i na ich krewnego pana Szczęsnego — potrzebuje lepszego dowodu, jak obryzganie błotem tych braci, równie szanowanych w opinii współczesnej jak i potomnej. — Biorąc całe ich życie pod rozbiór, można przecież dopatrzyć, że nie jakieś zaproszenie na obiad w Kaniowie, kierowało krokami ich polityki i wyra-

chowanym odwetem; byli to ludzie reformy, a uczuciami zawsze nieprzychylni gwarantce, w której widzieli sprężynę poniżenia i upadku Rzeczypospolitej. — Z widoczną nienawiścią rzucił pan Bartłomiej wyrok potępienia na pana Marszałka litewskiego i pana Podstolego koronnego, późniejszego Wojewodę i Ministra oświecenia; — pomawiając obu o nieumiarkowaną próżność, a drugiego o chciwość i egoizm: co więcej, postawił tak obryzganym obok pana Szczęsnego, którego otoczył całą aureolą cnót obywatelskich. Tymczasem o ich zasługach miał naród czas przekonać się: bo patrzył na nie lat wiele i w różnych kolejach. Pana Szczęsnego nie widział tylko w przeciwnym obozie, i znał go z aktów budzących smutne wspomnienie.

Zresztą nie można powiedzieć, tylko że z wyrazem prawdy bezstronnej opisane są pierwsze czynności sejmu, ubieganie się o marszałkowstwo w izbie poselskiej pana Szczęsnego, cofnięcie się jego od kandydatury, i wybór Refendarza Małachowskiego, co wywołało takie starcie się zdań, że zaraz odrysowały się dwie partye w sejmie. Jedną dawał impulsy Luhezini, i jak mówi pan Bartłomiej: „był to ciekawy i osobliwy fenomen, widzieć ludzi, którzy uzyskali w całym narodzie

odgłos największego patryotyzmu, przez to, iż byli narzędziami czynnemi potencji najniechętniejszej dla Rzeczypospolitój...“ Druga partya była konserwatorską; lecz nie powiada od kogo brała impulsę? — Co do twierdzenia jakoby patent na patryotyzm dawał tylko Luchezini, dowcipnie brzmi i ma pozór prawdy za sobą; ale przecież i to wiadomo, że ludzie, jak dwaj Potoccy, Małachowski, Niemcewicz i tylu innych i przed i po sejmie, zawsze używali tej reputacyi; gdy przeciwnie, wielu należących do partyi przeciwniej, niezaszczytne zostawili po sobie imiona. — Wprawdzie chce nas p. Bartłomiej przekonać, że najzbawienniejsze projekta do uchwał sejmowych wychodziły od partyi moskiewskiej; lecz gdyby i tak było, możnaby powiedzieć: *Timeo Danaos*. Tymczasem jest to tylko przekręcenie faktów, i tak, między innymi ten cały ustęp oparł pan Bartłomiej na pozorze, gdy mówi:

„Projekt nadania mieszczaństwu wszelkich przywilei szlachcie służących, projekt, jednomyślnie zamieniony w prawo, był podany przez Suchorzewskiego, Wojskiego Wschowskiego i najzapaleńszego konserwatora w całym sejmie, a który potem był jednym z pierwszych, co zawiązali Konfederacyę Targowicką.“ Litania tych projektowiczów,

co potem zawiązali Konfederacyę, dosyć jest długą, i zatrzymałyby więcej niż to warte, aby pokazać, że i téj nie mieli zasługi; jednakowoż co do projektu Suchorzewskiego, winienem dać objaśnienie. Nie z jego to głowy wyszedł plan utworzenia nowego stanu Rzeczypospolitój, czyniący ze stanu miejskiego pierwszy do szlacheckiego stopień, aby w przeciągu lat kilkudziesięciu przelał się stan miejski w szlachecki; wyrósł on bowiem w kole reformatorów i tylko zręcznie podsunięty został Suchorzewskiemu, który pochwyił go skwapliwie, aby, jak sam potem wyznawał, mieszczan, zabezpieczonych w prawach swoich, odstręczył od partyotów, a do swojej przyciągnął fakcyi; partyi zaś konstytucyjnej szło o to, aby samo prawo przeszło z łatwością, a nie o inicjatywę. Z téj strategii parlamentariskiej, nie warto było robić tak wielkiej rzeczy.

Męczące jest ścieranie się ciągle z panem Bartłomiejem, męczące i dla piszącego i dla czytelnika tych uwag, chociaż już wybieram piątę przez dziesiątę; chciawszy wszystko roztrząsnąć sumienie, trzebaby siła napisać żeby poprostować te dorywcze zdania, te jednostronne sposoby widzenia, te apodyktyczne i poniżające sądy o ludziach

nie mających u niego łaski, a znowu te panegyryki osób potępionych opinią historyi, sprowadzić do prostego mianownika. Nikt rozważający tę epokę spokojnym umysłem, nie może pochwalić wszystkich czynności, a raczej ducha kierującego stronnictwem konstytucyjnym; ale znowu nikt się nie odważył odjąć mu całą zasługę, w praktyce obywatelskiego życia, a przenieść takową na korzyść partyi targowickiej, o co się pan Bartłomiej upomina z takim naciskiem, a w dowodach ucieka się do takich wybiegów i majaków, że podziwiać należy jego talent adwokacki. — Chce on gwałtem wyperswadować nam, że co tylko robili ludzie tej partyi, było złe i nikczemne, dla tego, że się sprzymierzyli z ulicą; nieprzeczę iż takie przymierze należy do czarnych kart każdej historyi — ale wprzód dowieść potrzeba, że Ignacy i Stanisław Potocki, że Niemcewicz, Małachowski, Czacki i tylu innych (księdza Podkanclerzego wyjmuję), używali tego narzędzia do politycznej intrygi. — *Vice versa* znowu, daje pan Bartłomiej najzupełniejszą absolucyę nie tylko takim Świętosławskim, Złotnickim, Hulewiczom i całej kompanii; ale samemu nawet Adamowi Ponińskiemu, którego litośnie nazywa „nieborakiem ściganym od opinii.“

Niepodobna przypuścić aby pan Bartłomiej nie znał dziejów swego czasu, chyba można przypuścić, że rachując na tak spóźnione wydanie własnych pamiętników, pozwolił sobie kozłów przemieniać w barany, i zapewne pomyślał w duchu: kiedy wnuki przeczytają to, uwierzą mi na słowo; bo gdzieżby potrafili mię skontrolować, zwłaszcza że się i pamięć i tradycja zatrze pod wpływem nowych wyobrażeń, potrzeb i skłonności.

Niewiem czy szczęśliwie odgadł pan Bartłomiej, ale to wiem, że nawet bez tradycji i bez historyi, możnaby co chwila łapać go na rażących niepodobieństwach. — I tak dając zdanie swe o Targowickiej Konfederacyi, powiada: „Żeby ją osądzić sprawiedliwie *sine ira nec studio*, trzeba niewypuszczać z uwagi okoliczności, które do niej dały powód. Bezwątpienia jej naczelnicy z boleścią serca widzieli upadek dawniej formy rządowej: bo byli do niej sumiennie przywiązani. Ale wielce się mylą ci, co powtarzają, że ich cel był jedynie służyć widokom obcej potencji, lub co najwięcej, zwrócić naród do nierzędu, z którego Konstytucya 3 maja niby go wyzwoliła. Zapewne, że chcieli wyrzucić tę nową Konstytucyę; ale nie tyle dla tego, że ją uważali być złą, ile że mieli, że tak

powiem *metafizyczne* przekonanie, które powinnyby wejść w użycie, dla oznaczenia kupnych przekonań, sprzedajnych sumien. — Pan Bartłomiej mimowolnie z bogacił język dyplomatyczny.

Szczególniejszą ma też słabość do swoich wielkich polityków, jak między innymi do Kossakowskiego, biskupa inflandzkiego. Rady, które ten zacny prałat dawał po akcesie króla do Targowicy, szczególnie co do zaprowadzenia porządku w Warszawie, przypominają późniejszą epokę, o której marszałek Sebastiani powiedział pamiętne słowo. Kossakowski jest w oczach p. Bartłomieja mężem wysokiego światła, wielkiej rozważi umiejącym rzeczy przewidywać. — Nie naliczyłbym mnóstwo zasług podnoszonych w tym sposobie; każdy Targowiczanin musi być *eo ipso* doskonały i wytrawny statysta; a każdy ze stronnictwa reformy — partacz. Szkoda tylko, że mówiąc ogólnikami dość powszednemi o ich cnotach domowych i publicznych, nie umiał o żadnym przytoczyć choćby jednego takiego rysu, jak znany fakt o jenerale Mokronowskim. Na kilka dni przed wybuchem w Warszawie, przyszli do niego wojskowi, odkryli zamiar i wezwali na naczelnika. Mokronowski odradzał, powiadając, że siły ich za słabe, aby się mogły mierzyć z woj-

skiem Igelstroma. Ale gdy mu oznajmili, że ich postanowienie niezłomne, że czy zechce należeć czy nie, wybuch nastąpi za dni kilka — Mokronowski odrzekł: „a więc zginę z wami!“ i przyjął naczelnictwo. Stało się, że nazajutrz obłożnie zachorował na pedogrę, a tylko dwa dni zostawało do wybuchu. Mokronowski posłał po swego lekarza Bergonconiego i zapytał, czy są środki w medycynie dla przerwania paroxyzmu pedogry? Bergonconi odpowiedział, że jeżeli w takim razie krew choremu się wypuści, paroxyzm ustanie; ale następstwo tego środka jest straszne: bo chory na chwilę uzdrowiony, wkrótce potem zapada na konwulsye peryodyczne tego rodzaju, co je nazywa pospólstwo chorobą Ś. Walentego. Mokronowski w wilią dnia przeznaczanego do powstania, kazał krew sobie puścić i paroxyzm jakby ręką odjęty został. Nazajutrz walczył z pułkiem Sybirskim i zwyciężył. Lecz później zapadł na epilepsję, która go do śmierci trapiła. Rys ten mógłby ozdobić karty historii każdego narodu. Postępowanie Targowicy nie nastęrczało sposobu dla tak pięknego upadku, choć gładszą jeszcze drogą wiodło do niego Rzeczpospolitę.

Plan Pamiętników p. Bartłomieja, metoda ja-

kię się niby trzymać postanowił, to jest: żeby pozostać po za obrębem obu stronnictw poruszających Rzeczpospolitę — ma za sobą odcień wyższej prawdy, daje pole do sądów niezależnych, otwiera poglądy głębsze i szersze, reasumuje w sobie istotnego ducha narodu; alić gdy przyszło do wykonania, gdy go uniosły uprzedzenia z jednej, zbytne schlebianie i płaszczenie się z drugiej strony — stracił równowagę i pokazał się nienawistnym górującej w narodzie opinii, która miała za sobą obywateli z sercem, głową, nieograniczonym poświęceniem się i potężnego sprzymierzeńca w duchu epoki — a znowu zbyt przyjaźnie przemawia za tymi, co działając wbrew tej opinii, nie potrafili nic uratować, ale owszem stali się, że tak powiem, dobrymi przewodnikami ostatecznej katastrofy. Gdyby pan Bartłomiej utrzymał się był w charakterze neutralnym, ale nie posuniętym do szczytu egoizmu, w jakim pokazuje się od początku do końca, musiałby niechybnie postawić sobie pytanie: ażali związek p. Szczęsnego, acz na pewnych fundamentach zgodnych z duchem i organizmem narodu oparty, był na swoim miejscu i w porze? Ażali to odstrychnięcie się od opinii, mającej więtość i przyczyny swego bytu: bo przygotowanej je-

szcze od czasów Leszczyńskiego, a podzielanej przez samego króla i przez najświetlejsze głowy, a owianej duchem ówczesnego świata — ażali to odstrychnięcie się i działanie na swoją rękę pod opieką niemiłej potencji, nie sparaliżowało od razu tych sił, jakie mogła była Rzeczpospolita w przerodzeniu się swoim odpornie postawić? Sam król acz z natury słaby, widząc umysły podzielone, jeszcze mocniej zachwiał się i wypuścił tę władzę, którą bezpodzielnie złożył w jego ręce... Związek Szczęsnego wiedział i czuł *a priori*, że niepotrafi nic ocalić, — krom dogodzenia swój dumie. Stronnictwo konstytucyjne miało w sobie wiarę od początku do końca i potem. Owóż p. Bartłomiej nie utrzymał się w swój neutralności; zabrnawszy w anegdotyczne szczegóły, w charakteryzowanie osób działających, zgubił nić i okazał się chwałcą Targowicy i jój sprzymierzeńca, a zaciętym przeciwnikiem myśli ogarniającej naród, i nadającej żywotność wszystkim jego usiłowaniom późniejszym. Legiony, Księstwo Warszawskie, Kongresowe Królestwo, był to dalszy ciąg; — dalszym ciągiem Związku Targowickiego, jest chyba ta literatura do której niniejsze Pamiętniki należą.

Szkoda! a jednak p. Bartłomiej mógł być od-

dać wielką przysługę, gdyby był bezinteresowną pochodnią prawdy rozświecił te dzieje, nie tak dawne, aby dzisiejsze namiętności nie wiązały się z niemi bezpośrednio; nie tak wyjaśnione, aby miano o nich zdrowe zawsze pojęcie — ale chcieć być neutralnym sędzią przeszłości, niełatwa rzecz, zwłaszcza jeżeli komu co chwila zawadzi się pod piórem jaki sarkazm na dzisiejszość, jaka aluzya zbyt namacalna, — a głowę zaprzęta myśl zakulisowa, używająca historii, téj mistrzyni życia, za środek do przeprowadzenia jakichś politycznych spekulacyi. O téj tedy neutralności p. Bartłomieja można powiedzieć, co Seneka mówił do swego syna nieumiejącego zrobić zakończenia do mowy, którą zaczął w najlepszym zapale: „I nie wstydzisz się to chcieć lepiej mówić, niż jesteś w stanie?” — Jak wam niewstyd panie Bartłomieju udawać bezstronność, protestować przeciw stronniczości, a co chwila zdradzać niemoc przyrodzoną?! —

A jednak, piękna była sposobność przy tylu szacownych podaniach, znajomości osób i zdarzeń zrobić dzieło wysokiej moralnej i politycznej nauki, dzieło prawdziwie praktycznego zastosowania w życiu, kodeks familijny. — Drwić z jednych, kadzić drugim, może być zabawne lub nudne, ale nie bu-

dujące. A cóż dopiero jeżeli pisarz nie cofnął się przed intencją rzucenia zamętu rozbicia w umysły przez podawanie sofizmatów za prawdy, pozorów za rzeczywistość, i przez podrażnienie opinii w ten sposób, iżby nawet i te zbawienne uwagi i postrzeżenia, na jakie mu stać, ilekroć słucha głosu prawdy i sumienia, znalazły niewiernych co je odepchną ze wstrętem niewiary i rzekną: *Timeo Danaos*.

Pan Bartłomiej nie poszedł ani krok dalej od tego, co dotąd kurs miało; tylko kolory przemienił, i to, co dotąd uchodziło za białe, nazwał czarnem, a co za czarne białem. Króla, sejm wielki i dalsze następstwa, wystawia ze strony ujemnej; Targowicki związek, Szczęsnego i adherentów z dodatniej; — jest to tylko zmiana kart i nic więcej, — a gdzież sąd, coby nas uczył, że ani jedna, ani druga partya nie była w posiadaniu pełnej prawdy, a tylko prawdy ułamkiem? Czy pokazał chorobę wieku toczącą tak jednych, jak drugich — brak religijnych przekonań? Ów Szczęsny tak podniesiony przezeń jako polityk, miłośnik praw kardynalnych stariej Rzeczypospolitej, pan popularny, cywilizator Ukrainy, istny Rzymianin w obronie złotiej wolności, jest tylko pobielanym grobem, blichтром ośle-

piającym a nie grzejącym i owocującym; wszak on istny poganin w swoich upodobaniach klasycznego materyalizmu, a nie mąż napełniony tym duchem Bożym, co mógł jedynie postawić na nogi obalony stary zakon Rzeczypospolitej. Szczęsny zawód swój rozpoczął z młodzieńczym entuzjazmem, który ślicznie odpowiadał bogactwom i ambicyi królika Ukrainy. Na sejmie 1734 występuje w roli wielkiego obywatela i skarbi sobie popularność, jakiej nie miał już i Radziwiłł, a z rozpoczęciem Wielkiego Sejmu cofa się przed samą myślą, że wota poselskie mogłyby nie na jego stronę przeważyć się w wyborze marszałka Sejmu; дума magnata nie może już znieść współzawodnictwa — i w pracach nie łączy się z narodem, chociaż jako poseł braclawski mógłby tak dzielnie wpływać na modyfikacyą wielu postanowień niebardzo zgodnych z organizmem, do którego naród przywykł, a który się wyrobił tarciem historycznego potoku.

Od téj obojętności do zawziętości, krok tylko jeden; od chwili promulgowania i zaprzysiężenia ustawy staje się mściwym sędzią, upoważnionym od partyi kupiącej się pod jego chorągwią. Trafnie głęboki jeden pisarz powiada: „Najszlachetniejszy człowiek nie wytrwa, kiedy go nie zapala

duch Boży, a zmysły i miłość własną unoszą, Pan Bóg go nie weźmie za swoje narzędzie, złym się ludziom dostanie.“ Jest to charakter do zgłębnienia w dziejach nader ciekawy; stare wyobrażenia, dawne tradycje, krzyżowały się ze zwyczajami i życiem dzisiejszego wieku. Wylew zdań w prawodawstwie i reformach, jakże nie miał nastąpić, gdy tamy tak były niemocne i tak kruche? Stare tradycje popadły w lekceważenie zostawszy literą, głosem, nie czynem. — Potocki, człowiek zmysłowy, nietylko do dna serca nieprzejęty duchem Bożym, ale jako mistrz łoży massońskiej, lekceważący sobie religijne zasady, łatwo przez drugich, a nade wszystko przez siebie samego był uwiedzionym. Niepodobna dziś nieprzyznać, że mimo tego miał on w zdaniach swoich w niektórych względach słuszność; ale że sejm opuścił, od wojska powierzono sobie odjechał, pokazuje, że pozwolił wziąć górę miłości własnej, obrażonej pysze nad uczuciem i powinnością obywatelską. Odtąd sława jego rozbryzła się, została niesława. Próżno p. Bartłomiej bierze ztąd pochop i pioruny ciska na opinię, co stawia i strąca swoich bożków. Nie jest w tem wina opinii, która sądzi zawsze to, co ją najbliżej dotyka — ale wina człowieka nie-

umiejącego jój szanować. Pan Szczęsny zapomniał tej wybornój maxymy, a raczej nieumiał się do niój zastósować: „*L'opinion publique est une jurisdiction que l'honnete homme ne doit jamais reconnaitre parfaitement, et qu'il ne doit jamais decliner.*“ Postawił się jeżem, i cóż wywołał? oto te prawa, zasady instytucye, wierzenia, w których obronie stanął, sam pogruchotał pod piętnem swój zemsty. Typ starożytny, wiara dawna, podania domowe znikły bez wspomnień, bez sympatyi, bez zdolności nawet pojęcia czem były — a tymczasem reforma posuwała się gwałtownym umysłowym ruchem, niewiadomo czy jako niezbędny fakt życia, czy zawiew ducha europejskiego. To pewna, że bez tego Związku, co tyle nieprawych liczył w swem gronie, noszących płaszczyk konserwatyzmu, Sejm nie miałby rozpędu na ten skok, który nazywał się Konstytucyą, i który de facto przepołowił nasze dzieje.

Napróżno usiłuje p. Bartłomiej pokazywać nam, jak w kalejdoskopie znakomite przymioty umysłowe, wielkie cnoty obywatelskie w ludziach należących do targowickiego spisku; — próżny wysił, a raczej fortel daremny, obrócony na zdyskre-

dytowanie tych, którym opinia i historia przyznaje zaszczytne miejsce w pamięci potomnych.

Historia nigdy Targowiczian obronić nie może, bo reprezentują żywioł anarchiczny, wojnę domową, żadne prawa ich nie rozgrzeszą: bo sprowadzili obcy oręż na obalenie ustawy, którą naród zaprzysiągł dobrowolnie. Wreszcie gdzież w nich te wielkie cnoty, na którychby Rzeczpospolita stać mogła, jeżeli nie chcieli, żeby porównie z duchem wieku stała na prawie narodów? Jeżeli tylko wywieszali chorągiew złotej wolności, a odpierali potrzebę ześrodkowania władzy? — A gdzież te ich cnoty prywatne i publiczne? zobaczmyż jak owocowały pod cieniem chorągwi złotej wolności? Oto ci, co powstali przeciw ustawie w obronie złotej wolności, weszli potem w służbę Imperatorowej w rangach jenerałów, pobrali pensye i dobra; sami napełniali akta hańbiącymi manifestami i kłótniami, jak Potocki ze Złotnickim, Świętosławski z Pułaskim — ztąd dowcipnisie mówili o nich „Targowica jeszcze fica!“ Ci zażarci republikanie, brygadyerowie złotej wolności, którzy za nieprzyjaciół uważali w manifestach swoich, tych, co się tknęli kardynalnych praw, między innymi taki Złotnicki, w kilka lat później hańbił tę Rzeczpospolitą mó-

wiąc o jój bezprawiaach, nadużyciach; — ztąd widzimy jaka sprzeczność w ich działaniu, jakie skutki założeniu przeciwne. Gdzież p. Bartłomiej pokaże mi taką niekonsekwencyę w założeniu i działaniu stronnictwa reformy? Na Sejmie wielkim najdroższe przywileje rycerskiego stanu, ten sam rycerski stan niesie w ofierze. Gdzieindziej dzielni królowie długo borykali się ze szlachtą, aby jój odjąć na korzyść władzy te przywileje — tutaj szlachta dobrowolnie je składa, a choć nie jest w stanie w tak krótkim czasie przyjść do nowėj organizacyi, choć nieurządza na trwałość — jednakowoż ofiara ducha, jest zasługą, i to niebezowocną...

Zdaje mi się, że te rzeczy wypadalo z tój strony ująć panu Bartłomiejowi, a nie zasiewać nowy kąkol, dowodząc to, czego dowieść nie mógł: bo każdy ma odpowiedź, podobną do tój, którą król dał Mokronowskiemu, gdy mu przyszedł donieść o wyparciu rosyjskiej załogi — i cóż z tego Mospanie?!

I cóż z tego panie Bartłomieju, że mieliśmy Targowicę?

*Pallida mors aequo pulsata pede*

*Pauperum tabernas regumque turres.*

ten wiersz przyszedł ci na myśl, gdyś się dowie-

dział o śmierci Imperatorowej, i wypaliłeś jej mowę pogrzebową. „Było w téj monarchini — mówisz — coś tak dzielnego, tak żywotnego, tak przestronnego, że trudno było przyzwyczaić się do téj myśli, że dała siebie zamknąć między kilku deskami.“ — Rozczulające wyznanie! Pokazuje się, jak nieskończenie różne bywają rodzaje wzruszeń: ten obojętnie znosi śmierć ojca, matki, rodzeństwa, a rozczula go śmierć aktora na scenie, zgon kochanki w romansie, lub suczki faworytki. Przy zamknięciu dziejów Rzeczypospolitéj, przy śmierci króla, którego nawet był szambelanem, a który zgasł na obcym dworze, nie znalazł ani jednego choćby krasomówczego kwiatu, żeby mu na grobie złożyć.... Za to wdzięczni jesteśmy choćby za jeden rys, który przytoczył, rys malujący szlachetny charakter tego nieszczęśliwego pana: „Gdy szło żeby wyjednać od króla abdykację, zachodziły w tem wielkie trudności. Król opierał się żądaniu dworów, i żeby dotrwał w swoim oporze, mógł był wiele utargować dla siebie. — To pewna, że było kilka projektów wcale korzystnych dla niego. Ze strony Austrii była szlachetna propozycja żeby królowi zostawić Żmudź, gdzie były położone najbogatsze jego ekonomie. Ale te ekonomie były

zapewnione innym, przeto projekt upadł sam przez się. Była jeszcze druga propozycja Austrii, żeby mu zostawić Mazowsze, do czego i Rosya się skłaniała; ale Prusy oparły się temu.... Nakoniec gabinet berliński zaproponował, aby jakie udzielne biskupstwo w Rzeszy cesarz sekularyzował, i dał w indemnizacyi królowi nie jako dożywocie, ale jako księstwo spadkowe dla jego domu. Król byłby może i zgodził się na to; lecz o projekcie nie wiedział.... Otóż trzeba było takiego nieszczęścia, że JW. Ch. o tych układach niewiedząc, a jedynie uwiadomiony że skłaniano króla do abdykacyi, o co trudności zachodziły z jego strony, wyrwał się niechcący, że zadziwia go ta zwłoka. Znam króla, rzekł: niech go zastraszą, że jeśli nie złoży korony, długi jego osobiste nie będą zapłacone; król żeby nie skrzywdzić swoich wierzycieli, na wszystko się zgodzi. Tak się też stało. Wszelkie inne układy zatamowane zostały: bo można było taniej otrzymać czego żądano.“

Król pojechał do Petersburga i tam dni resztę przeżył na łasce dworu.... W dwa lata później podobna historia powtórzyła się z Grzegorzem XIII. królem Georgii, który abdykował także i umarł w Petersburgu... ale za Kaukazem, w Georgii, już

rzędzonej przez generała Cicianowa: została się Marianna wdowa po exkrólu, energiczna niewiasta, która przywiązane do swój dawniej dynastji plemiona, chciała wezwać do odbicia straconego tronu... Agent jej zdradził ją. Generał Cicianow widząc z tej strony niebezpieczeństwo dla spokojności zakaukaskich krajów, dał rozkaz generałowi Łazarew, przyaresztować ją i wywieść do Rosji.... Nazajutrz jeszcze królowa spała, gdy Łazarew wpadł do jej sypialni, a tymczasem oddział żołnierzy obsadził wszystkie drzwi pałacu.

— Jak śmiesz wchodzić do mnie! zawołała zrywając się ze snu. — Wstawaj — odrzekł surowo generał — oto rozkaz księcia Cicianowa! Na tę wzmiankę żywy rumieniec wystąpił na twarz Marianny, gniew oburzenia tryskał z ocz. *Ciciano cofilani!* (Ciciano wyrzutek narodu!) zawołała — i zaczęła przekładać, że jechać nie może: bo dzieci śpią, że dopiero za kilka godzin będzie mogła to uczynić. Łazarew za całą odpowiedź przystąpił i brutalnie szarpnął ją za nogę. Lecz w chwili, kiedy się schylał ku niej, został pchnięty w pierś tak silnym pchnięciem kindżała, że go na wylot przeszył. Marianna wyrwała z niego kindżał i rzuciła mu w twarz: „Tak ginie, kto królowę obra-

ził!“ Co się potem stało? Łatwo domyślić się — Marianna uległa przemocy, i wraz z dziećmi wrzucaną została w kibitkę, która ją poniosła do Moskwy, tego portu detronizowanych królów.

Koniec ten ma przynajmniej jakąś poezję — wielkości w upadku....

Zamykając powyższe uwagi moje, przyznaję się, pobieżne, niedostateczne, aby były w stanie w krótkiej pogadance objąć masę faktów i uwag nad nimi, jakie autor rozsiał w pięciu tomach; starałem się zatrzymać czytelnika przynajmniej na tym punkcie, który jest kulminacyjnym w Pamiętnikach Michałowskiego — aby z téj wysokości łatwiej było objąć obie sfery walczących. ze sobą wyobrażeń....

Książka ta, jak już mówiłem, mogłaby być wyborną, a jest chybioną. Zbyt namacalna dążność skojarzenia wiary, podań, uczuć narodu, z wiarą, podaniami i uczuciami innego słowiańskiego plemienia, wyrosłego na zupełnie innych warunkach, z inną wiarą i posłannictwem, odejmuje nawet tę wartość, jaką mają liczne prawdy i poglądy znachodzące się zawsze pod tem paradoxalnym piórem, z którego płyną już złote słowa tajemnic duchowych narodu, już niekonsekwencye



i cynizmy równające się lekceważeniu i pogardzie jaką twardy egoista światowy miewa, np. dla głodnego nędzarza — bo ofiara miłości najwięcej go kosztuje.

Mógłbym to jeszcze dodać, że pamiętniki te są niejako dalszym ciągiem Mieszanin Bejły — istną mieszaniną prawdy i pozorów prawdy.

La Rochefoucauld w maksymach swoich wyrzekł: „Prawda nie robi tyle dobrego w świecie, ile złego robią pozory prawdy.“ — Otóż ten pozór prawdy, jakim autor powłóczy swoje opowiadania z przeszłości, aby pod ich pokrywką siał błąd, budzi tę nieufność w czytelniku, o jakiej na początku wzmiankowałem i obraża go, nie tyle z powodu zdań i opinii: bo są przecież ludzie umiejący takowe i w przeciwnikach szanować, ile że usiłuje paradoxami zagłuszyć sumienie, i zatrzeć w niem pojęcie złego i dobrego, a poniżeniem historycznych osób czczonych dotąd, prowadzić dalej tę szkołę skandalu literackiego, którą tak szczęśliwie przed laty rozpoczął, spotykając się w tem z pismami przeciwnego końca. *Les extrêmes se touchent.*

# OSTATNIE CHWILE KRÓLA WYGNAŃCA.

---

Ułamkowy pamiętnik króla Stanisława Augusta. — Przygody tych Pamiętników. — Listy do Bacciorellego. — Pobyt króla w Petersburgu. — Brak charakteru. — Kraj obojętny na jego śmierć.

Kiedy w Lipsku któraś księgarnia zapowiedziała wyjście Pamiętników Stanisława Augusta przez niego po francuzku spisanych, jednocześnie Tygodnik Poznański wydawany przez Dra Kazimierza Szulca ogłaszał je w tłumaczeniu polskiem. Sam fakt publikacyi tych pamiętników, o istnieniu których od dawna krążyła wieść, nastrojał do najwyższego stopnia ciekawość. Bo któżby, choć cokolwiek zajmujący się smutnym i krwawym dramatem konania Rzeczypospolitej, nie zrywał się na tyle niejasnych i niewytłomaczonych stron,

w osobie tego króla pozostawionych w tem wszystkim, co współcześni i późniejsi o nim pisali; były albowiem zdania potępiające go bezwzględnie, lub zbyt uniewinniające. Owóż kto tylko chciał wyrobić sobie o nim pojęcie bezinteresowne, poznać do głębi charakter, zajrzeć w głąb jego przekonań, a nadewszystko odkryć tajemne sprężyny i okoliczności zwykle działające przeważniej na miękka, zniewieszczałą indywidualność, niż pewne pryncypia — słowem, kto chciał tego nieszczęśliwego króla na wskrós przeniknąć i zrozumieć go jakim był — wywołał raczej jakieś szpetne widziadło, nie człowieka dobrze stworzonego, z sercem na swoim miejscu i zdrowym mózgiem. Sama różność sądów współczesnych, uwielbiających go i potępiających bez granic, pokazuje, że prawda musi stać pośrodku, a co pewniejsza, że jedni widząc w nim króla, pomijali człowieka; drudzy tylko człowieka, zapominali o królu.

Z współczesnych nieznalazł się téż jeniałny Saint-Simon, któryby go unieśmiertelnił portretem; za to pochlebców i panegirystów, jak namiętnych satyryków i krytyków, miał niemało, a lubo po dług nich dałaby się ulać niezgorsza maska, nigdy

jednak moralna całość, mogąca zadowolnić psychologa. Z tego powodu taki materiał, jak własne wyznanie Poniatowskiego, choćby najbardziej zamglony sofizmem i sztuką udawania, do której miał spryt wrodzony, zapowiadał ważny wpływ na sposób zapatrywania się. Ani wątpić, że przy świetle takich wyznań, niejedna opinia dałaby się zmodyfikować, i niejedna z przyczyn wchodzących dotąd w rachubę, straciłaby na ważności. Dokument spowiedzi z życia, z tajemnych pobudek do tego lub owego kroku, pomimo domniemanéj nie-szczerości autobiografa, jeszczeby znaczył wiele na szali sądu historyka, niemówiąc już o tem, ile samo odkrycie się ze zdaniem, lub z uczuciem tak ważnéj figury, mogłoby orientować w owym steku krzyżujących się opinii i intryg, dobroduszości i beczelnéj podłoty.

Takie mniej więcej żniwo rokowały zapowiedziane Pamiętniki Poniatowskiego \*). Sam począ-

---

\*) W Skarbcu Hist. Polskiej wydawanym przez Karola Sienkiewicza w Paryżu 1839, zachodzę wzmiankę o Pamiętnikach króla Stanisława Augusta znajdujących się w zbiorze rękopismów Puławskim. Lecz takowe zapełnione są opowiadaniem o jego pobycie w Anglii, Francji, Saxonii i w Kossyi, nieciekawemi co do szczegółów; wszakże w pozostałem po nim Archiwum znajdują opisy niektórych przygód jego panowania, bądź własnoręczne notaty — co wszystko przekonuje że się zajmował pisaniem dalszego ciągu Pamiętników.

tek rozwijający się na dość obszerną skalę, i potrącający o szczegóły i sytuacje nieznane lub mało znane, pozwalał przypuszczać, że całość dojdzie kilkotomowego rozmiaru. Tymczasem gdy w *Tygodniku Poznańskim* częściowo ogłaszany pamiętnik, zapełniwszy kilka numerów — ustał; jednocześnie i lipski francuzki oryginał wyszedł na widok. Z porównania jednej i drugiej publikacji okazało się, że to jest tylko początek pamiętników niedochodzących dalej jak do elekcji pod Wolą, czyli do roku 1764, a zatem niezawierający nic coby się bezpośrednio z panowaniem króla Stanisława Augusta łączyło. Wprawdzie w *Tygodnikowej* publikacji znalazło się parę dokumentów, niezamieszczonych w Lipskiej; lecz te niedają nam poznać króla w rysach mniej znanych. Gdy zaś i jeden i drugi rękopis z różnych rąk podany był do druku, wolno się domyślać, że sam król poufnym swoim i przyjaciółom rozsyłał te ułamki; co znajduje potwierdzenie w szczególe odnoszącym się do rękopisu, z którego *Tygodnik* drukował. Przytaczam opis wydawcy: „Część Pamiętników zawierająca opis kwietniowego powstania Warszawy z r. 1794, dostała się nam do rąk w oryginale, pisana własną ręką króla, zkądinąd nam

znaną. Reszta zaś manuskryptu, jest, jak się zdaje, współczesnym oryginałowi odpisem, bo skreślony ręką zeszłego wieku na papierze w fabryce królewskiej zrobionym, ukazującym wodnemi znakami na jednym półarkuszu wielkie *S* w koronie, na drugim ukoronowany herb *Ciołka*, z podpisem Schweidnitza. Tą samą ręką, tym samym atramentem i na tym samym papierze, co ta część Pamiętnika, jest napisany adres na kopercie listowej: *à Monsieur le Chambellan Wolski à Białystok* i data: 4 Julii 1796, a lóžno liczba 9. — Ten list był zapieczętowany owalną pieczęcią wielkości dwózłotówki, wyciśniętą na czerwonym laku, ukazującą herb *Ciołka* (Poniatowskich) otoczony polskim Orłem i Pogonią, w około których wstęga z napisem: *pro fide et grege*; nad tarczą herbową korona królewska, pod nią floresy z gałązek dębowych i innych. Na głównej stronie listowej koperty jest brunatnym atramentem (przez urzędnika pocztowego) napisana wielka liczba 2, a po odwrotnej odbite ołowiem rosyjskimi literami: *Grodno.*<sup>6</sup>

Pokazuje się, że król w czasie swego pobytu w Grodnie udzielił tych Pamiętników Szambelanowi Wolskiemu, który potem wraz z Trembeckim,

towarzyszył mu do Petersburga. Zkąd pochodził rękopis Lipski? niewiadomo mi; jednakowoż domyślać się można, że należał do osoby posiadającej zaufanie królewskie. Najpodobniej do prawdy, został on udzielony malarzowi Bacciarellemu, do którego król przysyłał z Petersburga swoje buletyny, tworzące dziennik pobytu jego w Rosyi, także drukowane przy wyżej wspomnianych urywkach pamiętnikowych.

Że Stanisław August pisał swoje Pamiętniki, i że napisał całe, o tem mam wiarogodne wskazówki. Jan Sagatyński będący paziem przy królu, aż do jego śmierci, pozostawił kilkadziesiąt kart wspomnień, które wyszły w Poznaniu r. 1845 (u Stefańskiego). Opisując on tryb życia króla, powiada: „Codzień wstawał o szóstej; po śniadaniu czytywał gazety, potem pisał pamiętniki swego życia przy biurze, które zawsze starannie zamykał, chowając klucz do kamizelki.“ A dalej: „Co zaś pisał? tego wiedzieć nie można, bo tego nikomu nie wyjawiał. Po śmierci jego, Paweł cesarz będący przy jego zgonie, kazał naprzód wszystko opieczętować, a przyszedłszy nazajutrz, w swęj przytomności wszystko z owego biurka powybierać i do siebie zawieść.“

Naoczny ten świadek widywał zatem króla piszącego pamiętniki. Oryginał wzięto do tajnego rosyjskiego archiwum i tam spoczywa; tylko kiedy niekiedy carowie pozwalają zeń korzystać zaufanym ludziom, co umieją w tym arsenale wybrać argumenta na usprawiedliwienie zbrodni zaboru i długiego szeregu gwałtów. Takim historyografem posiadającym zaufanie cara Mikołaja był Fryderyk Smitt, któremu wolno było użytkować z tych pamiętników do historii Suworowa.

Inny jeszcze szczegół bliżej objaśnia. Wiadomo że W. Książe Konstanty miał upodobanie w skandalicznych memoryałach, — i rad niemi belwederską bibliotekę napełniał. — W takim komplecie nie mogło się obyć bez odpisu Pamiętników Stan. Augusta, mających zapewne nie małą ważność dla inkwizytorskiego ducha, czyhającego na każdą tajemnicę, nawet najprywatniejszą; do czego kluczem mogły być i dawniejsze nieco wspomnienia. Jakoż po wybuchu listopadowym gdy belwederskie akta zabrał rząd narodowy do ministra spraw zagranicznych, świadek dzisiaj żyjący hr. Roman Załuski, miał sposobność widzieć między innemi odpis Pamiętników króla w czterech grubych tomach. Aczkolwiek rzecz ponętna;

nie było wtedy czasu do zajmowania się podobną lekturą. O dalszym losie tego odpisu trudno coś wiedzieć, lubo są niejaki poszlaki. W pewnym domu pokazywano mi rękopis francuski, ocalony przypadkowo od ognia, na jaki wskazano cały stos aktów, w chwilach gdy po upadku Warszawy w obawie zemsty wroga, niszczone prywatnie wszystko, cokolwiekby podawało w podejrzenie o udział w czynnościach powstania. Rękopis ów, na chybił trafił wyrwany zę stosu, pochodził z Belwederu i był autentkiem skandalicznych memoarów awanturnicy Alexandry Panam, która oskarżając w nich o różne miłośne zbrodnie któregoś Koburga, znalazła protekcję u W. Księcia, a może i nakład na swoją ramotę, wydaną potem w Paryżu. Z téj okoliczności i z innych jeszcze szczegółów, bardzo łatwo przypuszczam, że i Pamiętniki Stan. Augusta mogące się w aktach na spalenie przeznaczonych znajdować, uległy temu losowi.

Podawszy wiadome mi okoliczności co do samych Pamiętników ogłoszanych w ułamku, budzących żal za całością — winienem z kolei powiedzieć o zbiorze buletynów, czy listów, które możnaby nazwać kroniką ostatniego roku życia Stanisława Augusta. Edytor Lipski ogłosił je w ory-

ginalne francuzkim, nader niepoprawnie i niedbale drukowanym. Buletynów jest 82, i oprócz tego list nadwornego medyka Beklera opisujący chorobę i zgon króla; na końcu zaś dodany opis ceremonii pogrzebowych. Buletyny te, zaczynające się od daty 20 lutego 1797, do 9 lutego 1798, czyli od przyjazdu króla do Wilna (z Grodna) prawie do dnia jego śmierci zaszły w Petersburgu na d. 12 lutego 1798 r., pisane są do Fryderyka Bacciarellego, konsyliarza i prywatnego ajenta królewskiego w Warszawie, w celu by je udzielał osobom do rodziny królewskiej należącym.

Dokument ten wydany niedbale; nazwiska osób i miejsc źle odczytane, a nigdzie nie zadano sobie pracy postarać się o jakie takie objaśnienia.

Niepodnosząc bynajmniej listów tych do niezasłużonej wysokości, mam je bądź jak bądź, za bardzo interesujące dopełnienie monarszej kariery Stanisława Augusta. Ostatni ten rok życia króla polskiego, uważany z punktu moralnego, jest jakby Nemezą, w wielkim starożytnym dramacie, przeprowadzonym z ścisłością miejsca i akcji. — Pierwsza scena otwiera się miłą schadzka w ogrodach Oranienbaum, z której wywiązała się korona; ostatnia w marmurowym pałacu, tem

politycznem więzieniu przybranem w dekorację gościnności. Ślepy los ofiarę swoją sprowadził w to samo miejsce, gdzie ją spotkał niezasłużony tryumf, jakby się chciał napastwić jój upokorzeniem, a ludziom dać smutny przykład występnej próżności, podejmującej się rządzić narodem choćby tytułem faworyta możniejszej sąsiadki. Przerażający to obraz! Małoduszny samolub daje się włóczyć z gali na galę, z fety na fetę, i jakby poprzestając na zaszczytne siedzenia między carem a carową, zapomina o milionowym jęku zdradzonego narodu. Niemożna sobie inaczej wytłumaczyć téj lekkomyślności w bieganiu za starymi gratami, w fetowaniu dyplomatycznych smakoszów, w zajmowaniu się teatrem, tylko tem, że robak sumienia, niedając spokoju wyzatemu z państw królowi, zmuszał go do szukania odurzających rozrywek i zajęć. Człowiek w podeszłym wieku, co z czary życia napił się do sytości, niepodobna aby swobodnym umysłem uganiał się od rana do nocy za błahemi fraszkami, godnymi ciekawego turysty, a nie monarszej osoby, albo żeby z taką jak on punktualnością odrabiał ową pańszczyznę dworską, srodze uciążliwą pod takim impetykiem i fanatycznym etykiety przestrzegaczem, jak Paweł. —

Czego się w tem położeniu mógł obawiać, a czego spodziewać Stanisław August? — trudno sobie wyrozumować. Każdy inny podnioslejszy umysł, zredukowany do tego stanowiska, byłby umiał godniej znaleźć się w nieszczęściu, i nie ustroić się w szatę niewolnika włożonego ciągle za wozem tryumfatora; ani starożytna, ani nowożytna historia nie stawia podobnego przykładu dobrowolnego poniewierania się. Rzymscy tryumfatorowie zaprzęgali królewskich jeńców do swego wozu, ale ci poganie, umieli nawet, w tém poniżeniu z godnością drapować się łachmanem purpury. — Średniowieczni z koron wyrzuci tułacze, umierali za kratami więzień, lub zebrali po dworach pomocy, i to jednało im współczucie, namaszczało na bohaterów. W walce z losem charakter pomażnika bywał ocalony.

Jakobinizm monarszy Carów wystawił królewskość na znikczemnienie w oczach świata, i to zaraz potém, kiedy na Zachodzie wyrokiem ludu spadła pod toporem głowa koronowana. Ostatni ten fakt, zgrozę wywołał po monarszych dworach; jaki taki chwycił za oręż i szedł ukarać występnych. Rosya nie była bezczynną w szeregu mocarstw poprzysięgających zagładę Jakobinom i wprzód

nim posunęła się na Francję, ochrzciła jakobinizmem ruch ratującej się Polski, dążący do niepodległości narodowej. Jak w Krasickiego bajce hipokryta:

„Krzyknął na psa że wściekły, w punkcie go zabili.“

tak i tu hipokryza znalazła dla swojej wygody usprawiedliwiający pozór. Była w tém niejaka loika politycznej zbrodni — ale w sprowadzeniu Stanisława Augusta do Petersburga, aby robić zeń widowisko upośledzające głowę koronowaną — przebijał się prawdziwy sankiulotyzm w purpurze. — Mogło to pochlebiać dumie autokraty, acz do reszty zabijało principium. Na nieszczęście próba odbyła się na człowieku słabego charakteru i woli, którego mniej bolała strata korony i spoddanie narodu, niż żeby się widział pozbawionym dobrych obiadów, przyjemnego towarzystwa salonów, utworów sztuki i ceremoniałów dworskich, w których nieraz smutną odgrywał rolę. Czytając owe listy, czy buletyny, pisane w ciągu rocznego pobytu w Petersburgu, doznaje się takiego wrażenia, jakby to był nie zdetronizowany monarcha, ale jakiś diletant przybywający drugi raz do Petersburga, aby dopełnić przed czterdziestu laty zaczętych studyów nad towarzystwem, dworem, dziełami

sztuki, gmachamy i instytucjami téj stolicy. Śmieszne honory, karykatura jakiegoś dworu, przyjemności artystyczne, a do tego wszystkiego kłopoty finansowe — oto treść tego ostatniego rozdziału w życiu ostatniego polskiego króla! Z której strony obrócisz go, nie napotkasz, przy najlepszej woli, jednego rysu bohaterskiego. Człowiek ten, żeby nieuchylić przyzwoitościom etykiety, żeby utrzymać się w atmosferze perfumowanego salonu, zapomniał że jest sąd historyi, że są powinności przywiązane do korony, nawet gdy ta zdartą zostanie.

Takie wrażenie zostawiają te jego listy. Wprawdzie noszą one cechę półoficyalną, głównie z téj przyczyny, że są pisane pod trwogą aby nie były czytane. Gdyby nie ta obawa, może wymknąłby się niejeden sarkazm na dwudziestokilkostopniowy mróz podczas *wachtparady*, święcenia Jordanu, lub innéj uroczystości, na której król musiał się stawić, i udawać że mu nie zimno, kiedy carowi ciepło; może niejedno wyznanie ciężkich upokorzeń wycisnęłoby mu łzy, lub oblało rumieńcem wstydu; lecz tego wszystkiego nie znajdzie w tych listach; ledwo wyteżonym domysłem można się czegoś dorozumiewać, a i to nie ma poparcia

w jakimkolwiek usiłowaniu, do wyjścia z tego stanu poniżenia...

Zdawałoby się że powiedział sobie: raz podpisawszy wymuszoną abdykację, z kąd wyszedłem, tam wracam; z łaski Katarzyny zostałem królem, z jój woli tracę koronę; od syna więc należy mi się chleb łaskawy. I zrezygnowany, poprzestał na łaskawym chlebie — tając jakby grzech śmiertelny, przykry nieraz stosunek i doznawane upokorzenia.

Nie sposób, żeby Stanisław August nie czuł i nie widział od czasu wyjazdu z Warszawy, że stał się więźniem politycznym. Za takiego uważali go wszyscy, a i dwór rosyjski nie obwijał w bawełnę. Przecież na kongresie wiedeńskim gdy Rosya napierała na odebranie Saxonii Fryderykowi Augustowi, a Talleyrand przedstawiał Alexandrowi, że król saski nie może dobrowolnie dać sobie wydrzeć berła — odrzekł mu tenże: *„En ce cas le Roi périra en Russie. Ce ne sera pas le premier roi, qui y sera mort prisonnier! Stanislas Auguste a eu le même sort.”* (W takim razie król zginie w Rosyi. Niepierwszy to z króli, co tam umarł w niewoli! Stanisław August doświadczył tego).

Wzniosły charakter więźnia byłby rehabilitował

Poniatowskiego; a mógł dostąpić tego zaszczytu, obstając przy swoich prawach. Wprawdzie certował się trochę w Grodnie — lecz na to, by wytargować sobie złote kajdany!

Dla skompletowania epizodu cofnijmy się do chwili upadku powstania Kościuszki, a przekonamy się, że strata korony i państwa nie wywarła na samolubnym królu tego wrażenia, jakiegoby doznał nawet człowiek prywatny, gdyby go wyzowano z mienia i dostojeństwa. Każda mniej bierna istota, byłaby się przynajmniej zdobyła na energiczną protestacją, jeżeli nie na krok godny najwyższej głowy narodu. Po katastrofie Maciejowickiej, Suworow wszedłszy do Warszawy zaniósł królowi rozkaz carowej, aby gotował się do opuszczenia stolicy, i przeniesienia rezydencji do Grodna... Król zwyczajem swoim jakiś czas ociągał się, a chcąc zasłonić się przed naciskiem nalegań Suworowa, pobudzał lud przez swoich stronników, rozpuszczając wieść jako po jego wyjeździe rzeź nastąpi, w skutek czego tłumy się zbiegły na dziedziniec zamkowy i tam kładąc się mostem przed koźmi i karetami, nie puszczały ukochanego króla. Podejrzliwy Kitowicz w ten sposób tłumaczy tę manifestację mieszkańców Warszawy; mniemam

jednak, że podejrywa niesłusznie. Lud niepuszczał króla, bo widział w nim ostatni promyk egzystencji narodowej; póki on siedział w zamku królewskim, dopóty Polska istniała urzędownie jako udzielne mocarstwo. Nie była to więc nastrojona manifestacya, ale instynktowa zachowawczość grodła, w którym uosabiało się państwo. Kitowicz w oburzeniu się nie umiał dopatrzeć naturalnej przyczyny w owym objawie uczuć, i przypisał ją pokątnym poduszczaniom i plotkom; aczkolwiek podczas powstania Kościuszki, jak sam to powiada, gdy pewnego razu król wyjechał na Pragę, powstał niezmierny rozruch w Warszawie na wieść o jego ucieczce do Moskwy; dopiero kiedy go ujrzano konno wracającego do zamku uspokojono się wśród okrzyków: Niech żyje król!

Pojmuję tedy owe niepuszczanie ze stolicy króla, konfiskowanego przez wroga; króla, z którego usunięciem upadał jeden tytuł do politycznego istnienia narodu. Teroryzm Suworowa położył koniec tym objawom ludu. Królowi dano termin do wyjazdu, zaliczono 13 tysięcy dukatów na drogę, i przykazano niebrać nikogo z rodziny.

Dnia 7 stycznia 1795 opuszczał Stanisław August Warszawę. Do pojazdu wsiadł z nim mar-

szalek dworu Kicki i szambelan Trembecki. Przez miasto jak opowiada paż jego Sagatyński — orszak postępował wolno dla wielkiego natłoku ludu. Eskorta moskiewska odmieniała się na każdej stacyi pocztowej. Tak dojechał do Grodna gdzie go przyjmował jenerał-gubernator tych prowincyi książę Rupnin i dodał mu asystencyę z gwardyi rosyjskiej. — Z czasem pościągala się tam jego familia, w której gronie oddawał się zwykłym rozrywkom, zapewne więcej umysłowym, jak czytanie i konwersacya — nie zaś hucznym biesiadam, balom, teatrowi i koncertom, o co go niewiem czy słusznie pomawia Kitowicz, dość bowiem przeczytać ustęp z Pamiętnika Karpińskiego, który go w Grodnie odwiedzał, a chociaż nie liczył się do admiratorów króla, nie mógł przecież czego innego napisać jak prawdę.

„Pojechałem do króla sprowadzonego do Grodna, — pisze Karpiński — i po opowiedzeniu się przez szambelana w kilka minut przyjsć mi do siebie pozwolił. Zastałem go samego, i zobaczywszy mię zalany obfitemi łzami, rzecze: „Błysnęło nam szczęście i jakże prędko zupełnie zniknęło.“ „Cieszyłem go jak mogłem, ale myślałem, że i ty „królu do tego nieszczęścia przyłożyłeś się. —

„Puścić mnie niechciał więcej tygodnia z Grodna, gdzie wieczory z nim smutnie przepędzaliśmy.“

Trafne daje on zdanie o królu przytaczając rozmowę swoją z księciem Cycyanowem, z którym rozgadawszy się o upadku Polski, gdy książę badał go, coby było przyczyną tej zguby, odpowiedział mu: „Przyczyna cała że u was w Rosyi kobieta królem, a u nas w Polsce król kobieta.“

Aczkolwiek Stanisław August słabego był serca, i dla samolubnych nawyczek, często mijał się z godnością, to z drugiej strony w najwyższych warstwach narodu zakradło się tak bezwstydnego zobojętnienie na los ojczyzny, że rzeczywiście nie można wszystkich win zwać na niego jednego. Karpiński opowiada z goryczą o balach w Grodnie dawanych u Repnina, gdzie obywatelstwo sprosznzone szalało do upadłego, toż samo o balach w Wilnie, gdzie tylko jedna pani Gorecka odrzekła z godnością pytającemu ją jenerałowi dla czego nie tańczy: „Czogoż wpan chcesz, ażebym na pogrzebie mojej matki ojczyzny tańczyła?“ — A oweż częste odwiedziny magnatów w Grodnie czy może miały cel okazania współczucia wywiezionemu monarsze, dodawania mu ducha, lub radzenia o ratunku sprawy narodowej? bynajmniej; jedni przyjeżdżali

prosić go o rekomendację do carskiego dworu, inni przybywali wyjednywać sobie ordery, i nadużywając słabości króla, wytargowywali od niego patenta na order Ś. Stanisława z dawniejszą zmyśloną datą.

W takim otoczeniu małość charakteru i bierność usposobienia w królu, nie mogła się zdobyć na krok odpowiedni wyjątkowemu położeniu, a tem mniej podnieść się do wysokości ofiary. Najwięcej jeżeli dawał ucho namowom niektórych członków swęj familii i znaczniejszych dworzan. Że były takie namowy, a raczej że różne układano projekta do ucieczki za granicę, do Wenecyi, nareszcie do Rzymu, tego dawnego przytułku wszystkich pretendentów i głów zdetronizowanych, pokaże się to z niektórych natrąceń Kitowicza: „W czasie pobytu w Grodnie, — mówi jego Pamiętnik — król używał pojazdem ulubionego spaceru za Niemnem; lecz książę Repnin, jego stróż anioł, bojąc się by król nie dał drapaka za bliską granicę pruską, kazał most zrzucić, aby mu zagrozić drogę do wycieczek w tamtą stronę. Postrzegłszy to król, zdysymulował, nic nie mówiąc do nikogo i obrócił swój spacer w inne miejsce.“

Widocznie, Stanisława Augusta uważano jak

więźnia stanu. Rosya obawiała się przedewszystkim intrygi pruskiej, której narzędziami w jej mniemaniu byli stronnicy Konstytucyi 3 Maja. Siewers, ów główny autor drugiego rozbioru, teraz usunięty z posady pełnomocnika carowej w Polsce, z powodu intrygi Zubowych, czuwał z amatorstwa nad sprawami Polski, i z domowego gniazda Bauenhoffu, ciągle dawał ostrzeżenia Katarzynie, stósownie do doniesień odbieranych od jawnych i skrytych stronników Moskwy, jak: sekretarz królewski Friese, jak Fryderyk Moszyński i Mannuzzi. Otóż w jednym liście (25 stycz. 1795) tak się wyraża: „Król ma być otoczony (w Grodnie muszarami) to jest adjutantami, kamerdynerami sprzyjającemi Konstytucyi i nieprzyjaznemi Rosyi; głową ich generał Gorzyński, marszałek królewskiego dworu, chociaż właściwie Bezborodko ustanowiony jest tym marszałkiem. Dla tego mam sobie za obowiązek oświadczyć W. Cesarskiej Mości, że ów Gorzyński pod każdym względem do niebezpiecznych należy, jako oddany zasadom 3 Maja; oprócz tego majątek ma w pruskim kordonie, był dowódcą ułanów ulubionego regimentu króla, i szefem bióra wojennego, jak również sprzedaży patentów. Traktowałem go dość ozięble,

i dałem mu do zrozumienia, żeby się oddalił od dworu (na sejmie grodzieńskim). Pozwoliłem na sprzedaż obu jego urzędów, co miało być pokryte funduszem wojskowym. Król lubo mi bardzo za to dziękował, nie puścił go od siebie, i w biurze zatrzymał. Dałem mu do zrozumienia aby wyjechał; i wtenczas to wpadłem na trop wyraźny jego znoszenia się z ministrem pruskim. Odjechał ale wrócił zaraz do Warszawy, skoro się dowiedział o mojem odwołaniu z poselstwa. Czyżto nie dość aby go odsunąć? Wielki koniuszy dworu Kicki nie więcej wart od niego; mniemam przeto że i on oddalony być powinien. Z razu chciałem napisać o tem do księcia Repnina; lecz w końcu zdecydowałem się uwiadomić wprzód W. Cesarską Mość.

„Winienem jeszcze dodać, że ze względu na oświadczenie księcia Repnina i przysięgi (zapewne homagialnej) o jakiej pisała gazeta hamburska — król niepowinien ani chwili zostawać w Grodnie, ani w starój Polsce. — Niepotrafi się on oprzeć żadnej intrydze, i każdemu da się powodować. Podług mego zdania tylko w Orlu lub Woroneżu, można go trzymać bezpiecznie: bo Kijow lub Smoleńsk byłby za nadto blisko.“

W innym liście polecając Katarzynie jadącego do Petersburga Fryderyka Moszyńskiego, powtarza to samo: „Jeżeli Wasza Ces. Mość dasz posłuchanie Moszyńskiemu powtórzy to samo, co mówię, że króla, którego znana jest słabość i skłonność do intryg, czemp prędzej wysłać potrzeba.“

Wszystko to się działo w ciągu traktowań trzech dworów o zatrzymanie Warszawy; dała więc jój gubernatora, bardzo ludzkiego człowieka, generała Buxhowdena, który we wszystkim dogadzał obywatelom, ale czujny Siewers ciągle ostrzegał o niebezpieczeństwo od Prus. W jednym liście radzi wypędzić z Warszawy wszystkich zamiejscowych, a mianowicie abszytowanych oficerów, nareszcie żydów, których w czasie czteroletniego sejmku napłynęło do 15 tysięcy. „Wszyscy oni mają więcej pociągu do Prus niż do Rosyi, ponieważ najwięcej z Wielkopolski pochodzą.“ W innym miejscu znowu oświadcza się z radą: „Mówiłem już W. Ces. Mości, że zupełny podział Polski jest nieodzowny, że Rzeczpospolita, lub jakieś nieoznaczone państwo, będzie jabłkiem niezgody, z którego dwóch skorzysta z uszczerbkiem trzeciego, a tym trzecim jest Rosya, której wzrost

olbrzymi budzi zazdrość w mocarstwach europejskich. W. Ces. Mość pojmujesz w mądrości swojej, ile wypada w obecnej chwili poświęcić dwom sąsiadom. Z Prusakiem jako najłakomszym i najchytrzejszym trzeba się mieć na ostrożności — od Prusaka niech graniczy rzeka, lub prosta linia — lub też niech żadnej nie będzie granicy.“

Tymczasem traktat między trzema sąsiadami stanowiący o ostatecznym rozbiorze Polski zawarty został 24 października 1795 r. w Petersburgu. — W miesiąc potem na d. 25 listopada, Stanisław August podpisał akt abdykacji. Dokument ten brzmi w tych wyrazach:

My Stanisław August, z Bożej łaski król polski, W. Ks. litewski etc.

„Nie szukając w ciągu królowania naszego innych korzyści lub zamiarów, jak stać się użytecznym ojczyźnie naszej, byliśmy także tego zdania, iż opuścić należy tron w okolicznościach, w których rozumieliśmy, że oddalenie nasze przyłoży się do powiększenia szczęścia współziomków naszych, lub też przynajmniej umniejszenia ich nieszczęścia; przekonani teraz, że pieczołowitość nasza na nic się ojczyźnie nie przyda, kiedy nieszczęśliwa zdarzona w niej insurekcyja pogrzyła

ją w terażniejszy stan zniszczenia, i rozważywszy, że środki względem przyszłego losu Polski konieczne potrzebne z powodu naglących okoliczności, a od Najj. Imperatorowej Wszech Rosyi i innych sąsiedzkich mocarstw przedsięwzięte, jedynemi są do przywrócenia pokoju i spokojności współobywatelom naszym, których dobro było zawsze najmilszym przedmiotem starań naszych; — postanowiliśmy przeto, z przywiązania do spokojności publicznej, oświadczyć, tak jak téż niniejszym aktem ogłaszamy, że *wolnie i z własnej woli* wyrzekamy się bez ekscypcy wszelkich praw naszych do korony polskiej, do Wielkiego Księstwa Litewskiego i innych należących do nich krajów, jakotéż znajdujących się w nich posesyi i przynależytości. — Akt ten uroczysty abdykacyi korony i rządu Polski w ręce Najj. Imperatorowej Wszech Rosyi składamy dobrowolnie i z tą rzetelnością, która postępowaniem naszym w całym życiu kierowała, zstępując z tronu dopełniamy ostatniego obowiązku królewskiej godności, zaklinając Najj. Imperatorowę, ażeby macierzyńską swą dobroczynność na tych rozciągnęła, których królem byliśmy, i to wielkości jój duszy działanie, wielkim swym sprzymierzeńcom udzieliła. Akt niniejszy dla większego

waloru podpisaliśmy i pieczęć nań naszą wycisnąć rozkazaliśmy.

Działo się w Grodnie d. 25 listopada r. 1795 a r. 32 panowania naszego.

Stanisław August, król.

Stanisław książę na Kozielsku Puzyna.

Sądząc z tego oficjalnego aktu, możnaby wnosić, że Stanisława Augusta nic a nic nie kosztowało to zrzeczenie się praw do tronu. *Wolnie z własnej woli, uroczystym aktem* abdykując z przywiązania do *spokojności publicznej* — sam siebie obelżył kłamstwami w oczach potomności. Nacisk ze strony interesowanej musiał być potężny, kiedy tak poniżające wywołał oświadczenie. Wielka szkoda, że który z obecnych świadków niepisał tych scen przejmujących, jakie mogły się zdarzyć w ciągu traktowań. Siła szczegółów wiadomy Kitowicz powiada: „że Katarzyna napisała do niego bilet, „aby złożył koronę; a on przeczytawszy go, zem-dlał, ruszyły go wymioty itd. Natura chciwa pa-nowania przynajmniej nad ziemi kawałkiem obszer-ności kapelusza, walczyła z żalem, wstydem i roz-paczą przez trzy dni itd.“

Kitowicz w rozżaleniu swoim przypisuje mu tylko *chęć panowania*. Zapewne mogła i ta po-

budka powodować tym próżnym i słabym duchem; ale i to pewna, że znaczenie polityczne z państw wyzutego króla, dopóki się praw swych niezrzekał, było niezmiernym kłopotem dla mocarstw zaborczych, a głównie dla Rosyi. Postęp zwycięskiej rewolucyi francuzkiej zasypującej Europę gruzami tronów, namnożył tylu królów tułaczów wyglądających restauracyi, że w ich liczbie mogłoby się znaleźć miejsce i dla Stanisława Augusta; legitimizm bowiem protegowany przez mocarstwa rewolucyi przeciwne, wchodził w rachubę jako zasada; chociaż takowa w tym przypadku przez samych obrońców legitimizmu pogwałconą została.

Czy z własnego natchnienia, czy z życzliwéj namowy, zamyślał nieszczęśliwy król wyjechać do Wenecyi lub Rzymu — pokazuje się jednak, że do wykonania tego stanowczego kroku brakło mu energii i woli; zresztą póki się całkowicie niesplamił wymożoną abdykacyą na sobie, ucieczka z Grodna miała swoją ważność polityczną; po abdykacyi, nie miała żadnej; bo nawet nie osiągała tego celu, dla którego poświęcał swoje prawa, to jest spłaty prywatnych długów zaręczonéj przez trzy

mocarstwa, a mającój być wynagrodzeniem za ten akt.

Całe nieszczęście, że Stanisław August zawsze zapominał czem był, i to w stanowczych chwilach, a ciągle uważał na siebie jak na prywatną osobę. Prywatne jego długi, wprawdzie ogromne, bo podane na 40 milionów złp., budziły w nim tyle skrupułów, tak go niepokoiły, że dyplomacya moskiewska poznawszy tę jego słabą stronę, wiedziała jak w nią uderzyć. Komarzewski w dziele swoim: *Coup-d'oeil rapide sur la décadence de la Pologne* (à Paris 1807) nie inną naznacza przyczynę podpisania aktu abdykacyi.

„Jenerał gubernator Litwy (Repnin) stósownie do wyrażonego rozkazu Carowój, przyniósł królowi do podpisu (25 listopada w rocznicę jego koronacyi) akt zrzeczenia się tronu; krok ten zmartwił go niesłychanie; opierał się stanowczo, lecz położenie było okropne. Wydatki porobione przez króla dla dobra kraju; sumy wysypane na utrzymanie wpływu dworskiego w sejmach i sejmikach, koszta na ajentów dostarczających wiadomości o sprawach publicznych i tych co czuwali nad bezpieczeństwem królewskiej osoby; — nakoniec ogromne straty poniesione w zamieszkach

„krajowych — wszystko to napędziło mu długów, bez sposobu zapłacenia ich, lub wynagrodzenia „wiernych sług. Owóż generał-gubernator Litwy „stanowczo oświadczył królowi: „Jako ani długi „jego osobiste spłacone, ani przyszły los jego, los „rodziny zabezpieczony nie będzie, jeżeliby wzbra- „niał się podpisać abdykacyi.“<sup>6</sup> Zastanowiwszy się „tedy, że odmawiając podpisu, mnóstwo osób po- „grążyłby w nędzę, zdecydował się podpisać. — „Czyliż takie postępowanie — zapytuje Koma- „rzewski — nie jest jasnym dowodem, że król „bynajmniej nie pokrywał gwałtu Czarowej, i że „w porozumieniu się z nią nie zdradzał Ojczyzny?“

Ostatnie te wyrazy w tekście są podkreślone, co pokazuje, że były echem publicznej opinii. Być może, że opinia myliła się, ale to pewna, że czuła niepolityczną nikczemność tego kroku, niedającego się niczém uniewinnić, nawet namowami i insynuacjami złych patryotów ciągnących do Petersburga, i zawadzających zawsze o Grodno, aby przy blasku dogorévającej królewskości upiec swoją pieczeń, a razem téż oddać jaką usługę Moskwie. Fryderyk Moszyński w liście do Siewersa (z 9 grudnia 1795) niezapomina pochwalić się z usłużności swojej w skłonieniu króla.

„Dopomogłem tu — pisze on — do dokończenia tych układów, do których, jak sobie Wpan łatwo wystawisz, przyjść musiało, a które prawdopodobnie wkrótce ogłoszonymi zostaną. Gdy bowiem wszystko załatwione, pokończone, uporządkowane i podpisane, a nawet potwierdzone, trzeba było skończyć na tem. Mówią, że myślą o ulżeniu doli, dostarczając wszystkiego co potrzeba.“

Ostatnie te wyrazy haniebnym są komentarem! A więc obawa złej doli, bojaźń, żeby czasem niebrakło na dobry obiad — zniewoliła do podpisu!!...

W roku 1797 na dniu 15/26 stycznia, już za imperatorstwa Pawła, stanęła konwencya między trzema dworami o zapłacenie owych nieszczęśliwych długów królewskich. Paragraf czwarty tak w tej mierze opiewa: „Co się tyczy długów, które summą 40 milionów są udeterminowane, te na pięć części podzielone będą, z których dwie piąte części Naj. Imperator Wszech-Rosyi,  $\frac{2}{5}$  Naj. Król Pruski, a  $\frac{1}{5}$  część Naj. Cesarz Rzymski biorą na siebie tak, iż gdy wspomniona wyżej komisya prawność i rzeczywistość długów pozna, części ich długu rzeczonęj repartycyi mają być zapłacone.“

Komisya ta zebrała się w Warszawie w tymże samym roku. Były z nią niemałe trudności; w ciągu likwidacyi niejedna pozycja położona przez fawor królewski, nie mogła się utrzymać, z czego przybywało siła frasunku, a nawet jak to doktor Beckler daje do zrozumienia w liście donoszącym o śmierci króla, szykany ztąd wynikłe, zabiły nieszczęśliwego pana.

Kwestya polityki raz przerzucona na pole prywatnego interesu, nieocaliła ani dobrej sławy, ani też nieprzyniosła takiego owocu, żeby go w spokojności spożywać było można. Jedyny to morał jaki z tego wypadku da się wyprowadzić, chociaż sam fakt najwymowniejszą jest krytyką elekcyjnego tronu. Ów Elekt, ów Piast ostatni, znika z widowni świata bez odgłosu, bez protestacyi, bez argumentu. Żadna dynastya nieznikła nigdy, jak historia historyą, w sposób tak nieznaczący. Dynastyom towarzyszy idea przez wszystkie koleje zmiany losu — z Elektem poszło tylko zaspokojenie żołądkowych potrzeb, uosobione w pierwszym ministrze kuchni — sławnym Tremonie...

Niedługo po śmierci Katarzyny, Paweł napisał własnoręczny list do exkróla, o który podobno postarała się familia, z zaprosinami do Petersbur-

ga, a właściwie na koronacją do Moskwy. Król trwał niby w chęci wyjazdu do Rzymu, ale pani Grabowska, tajemna jego żona, wymogła na nim, żeby się niesprzeciwiał, rachując wiele na wspa-  
niałomyślność Pawła, sprzyjażnionego z królem je-  
szcze od wizyty w Wiśniowcu, a najprędzej z oba-  
wy utracenia 200 tysięcy dukatów rocznej pensyi,  
przeznaczonéj przez dwory na utrzymanie kró-  
lewskie.

„Tak więc — pisze Kitowicz — po dwuletnim  
pobytku królewskim w Grodnie, książę Repnin spo-  
rządził spis osób mających jechać z królem do Pe-  
tersburga, i wyznaczył termin wyjazdu. Z listy téj  
wyłączony był koniuszy koronny Kicki, który swym  
wesołym humorem króla rozerwać umiał. Prosił  
król za nim, ale napróżno! — Na zaspokojenie  
wielkich długów królewskich posprzedawano ru-  
chomości i kosztowności, jako to: naczynia srebrne  
starożytnéj roboty, pułhary, rostruchany, dzbany  
z wieków Zygmunów; nadto siodła, czapraki, dyf-  
tyki, munsztuki drogiemi kamieniami wysadzone;  
mnóstwo sreber i drogich kamieni, szmaragdy,  
szafiry, rubiny, turkusy, sprzedano do Hamburga  
żydom.“

Szkoda, że Kitowicz robiąc wzmiankę o téj

sprzedaży kosztowności, nie położył daty. Jeżeli bowiem stało się to nim nastąpiła konwencya między trzema dworami co do spłaty czterdziesto-millionowego długu, i opatrywania króla pensją 200 tysięcy dukatów, krok ten tłumaczyły okoliczności; lecz jeżeli przed samym wyjazdem z Grodna, kiedy konwencya była już zawartą, lekkomyślność w ciągnięciu długów była nie do przebaczenia. Zdaje się jednak, że rozrzutność i nieład w wydatkach cechowały dwór Stanisława Augusta, kiedy po roku pobytu w Petersburgu nowe, niemałe zostały po nim grzechy. Z tego, co Karpiński opowiada o expensownem życiu w stolicy carów wnosić można, że nieodmawiał sobie żadnej fantazyi; między innymi: „do cudzej już Warszawy posłał kilka bryk „z Petersburga po mąkę pszenną marymoncką, jak „gdyby się urągał żywiącym go Moskalom, że mąki „dobrej nie mają. Ale niejadł już z tej mąki chle- „ba: bo kiedy dopiero do Grodna przyszła, on ży- „cia nieszczęśliwego dokonał.“

Ciągłe świecenie się u dworu, udział w nieustannych festynach i paradach, świetne biesiady i wieczorynki u siebie, pociągały za sobą ogromne wydatki. Dwór exkróla musiał rad nierad gasić wystawne życie bojarów. Listy do Bacciarellego

najlepiej komentują, jakiego rodzaju bywały zabawy i co się wydawało na wystąpienia i przyjęcia.

Czy po za programem tych występów i artystycznych peregrynacji stała jaka poważniejsza myśl, trudno odgadnąć. Zapewne na złych planach nie brakło, roją się one zazwyczaj w beczynnem oczekiwaniu. Kitowicz opisując pobyt króla w Petersburgu powiada, że w Nowy Rok 1798 przybył do niego imperator z powinszowaniem i długo z nim rozmawiał. Poczem król z twarzą wypogodzoną szedł do otaczających go Polaków i rzekł: „Przecie sprzykrzyło się losowi prześladować nas dłużej; wkrótce zobaczymy Warszawę jako stolicę odzyskaną Ojczyzny.“ — Ciekawa rzecz, ile w tem prawdy? Jednakże prawdopodobieństwo być może o tyle, o ile wiadomo, że Repnin posłany do Berlina, gdy naciskał króla pruskiego do ligi przeciw Francji, a ten unikał decyzji, rzekł doń w oburzeniu wcale niedyplomatyczném: „Albo z nami królu, albo przeciw nam!“ na co obrażony król pruski miał odpowiedzieć: „Jestem udziałnym monarchą i nikt mi prawa dyktować nie będzie; pamiętaj księżę, że to Berlin, nie Warszawa i nie Cieszyn, żebyś się w takim tonie odzywał.“ Misja Repninowska dość ochłodziła stosunek dwóch

na grobie Polski sprzyjażnionych dworów; — porwoczy Paweł mógł więc nagadać coś Poniatowskiemu o odebraniu Warszawy z rąk pruskich i o jego restauracyi. Taka obietnica nic niekosztowała, a zawsze zyskiwała się opinia u łatwowiernych, tylekroć później wyzyskiwana przez politykę rosyjską, mydlącą oczy projektami odbudowania Polski.

Jaki powód był śmierci królewskiej? — list Becklera dosyć jasno naznacza i to w terminach medycznych. Głos jednak publiczny przypisywał przeziębieniu. Król assistując wielkiej ceremonii święcenia Jordanu, odprawianej w największe mrozy, a dla przypodobania się carowi assistując bez futra przez trzy godziny, przeziął i odtąd na zdrowiu wątleć zaczął. Inni śmierć jego przypisywali truciznie i pomawiali o to posła pruskiego... co znowu zdawałoby się mieć łączność z projektowaną restauracją tronu polskiego... Nigdzie tyle nie krąży plotek co na dworze despoty; na nich więc jak na niezbitych faktach budują się najosobliwsze domysły, które z czasem wchodzą do historii zestępem prawdy. Bądź jak bądź, Stanisław August postawił się na takim stanowisku przed swoim zgonem, że morderstwo dokonane na nim byłoby tylko niepożyteczną zbrodnią...

Na samym końcu, jako dopełnienie Petersburgskiego pobytu, dodany jest opis pogrzebu nieszczęśliwego króla. Zdawałoby się, że Paweł zabrawszy mu wszystko, nie powinien był żałować ostatniej expensy. — Tymczasem Kitowicz podaje ciekawy szczegół. Powiada on, że car w nagrodę kosztów pogrzebu, narzucił kontrybucyą po rublu z dymu na te wszystkie województwa, które od Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego przez ostatni podział pod jego panowanie odpadły. Odpadło zaś dymów 692,828; a to podług wyrachowania w tabeli Moszyńskiego, sekretarza W. Ks. Lit. sejmującym stanom dnia 19 Kwietnia 1790 r. do uwagi podanej, a z rejestrów skarbowych pracowicie wyciągnionej. Zatem wybrał car 692,828 rubli, dając przyczynę, iż gdy to był pogrzeb króla polskiego i w. ks. lit., zatem Polacy i Litwini powinni koszta ponosić. Jakkolwiek tedy obrzęd pogrzebowy był suty i okazały, niekosztował nigdy nad połowę téj summy, — co więcj niż o połowę zmniejsza wspaniałość carską i do rozmiarów prostej komedyi sprowadza owe pompatyczne ukoronowanie trupa tą samą koroną, którą zdarto żywemu. —

Czy zgon Stanisława Augusta sprawił w kraju

wrażenie? — godzi się powątpiewać; bo choć było wielu bliższych mu, co mogli go żałować i dla rzeczywistych przymiotów, któremi byłby świetniał w spokojniejszych okolicznościach — ogół narodu obojętnie przyjął tę stratę. — Że tak było, można wziąć miarę ze słów przytoczonych przez Komarzewskiego, a wyjętych z jakiegoś współczesnego pisma, jakoby Stanisław August: *umarł bez wzburzenia najmniejszego interesu, a nawet litości* — przeciw czemu protestuje Komarzewski i zasłania się listem pewnej znakomitej damy, nieszczodréj w próżne pochwały, a której dziad, pierwszy minister Augusta IIIgo, miał wiele do zniesienia od wujów króla (Czartoryskich).

Znakomitą tą damą byłaby p. Szczęsnowa Potocka z domu Mniszchowna, bawiąca wówczas w Petersburgu? — Być może; przytaczam list jéj jako wyraz opinii osobistój; lub małego kółka; co nie jest jedno, żeby miał być wyrazem powszechnego zdania.

„Byłam naocznym świadkiem okropnego widoku. Król tknięty apoplexyą pasując się ze śmiercią przez całą dobę, żyć przestał! Będąc obecną wszystkiemu, ponieważ tego dnia niewychodziłam prawie z pokoju jego, widziałam jak robiono, co

tylko się dało, by go zachować przy życiu. Już od pewnego czasu przeczuwał on bliskość śmierci, i sposobił się do niej w duchu chrześcijańskim. — Śmierć niezmieniła go nic a nic na twarzy tchnącej wewnętrznym spokojem. Wszyscy go tu żałują. Lubo nienawiść do królewskiej rodziny wpajano mi od dzieciństwa, lubo zbieg innych okoliczności długo oddalał mię od niego; jednakowoż wrzucona jego położeniem, wzięłam sobie za powinność często odwiedzać go, -co mi dało sposobność poznania go lepiej. Pan ten, zawierz mojemu słowu, miał najlepsze serce; lecz chęćka zobowiązania sobie wszystkich i świadczenie dobrodziejstw narobiła mu najwięcej złego. Pełen dowcipu i nauki, jeżeli popełnił jaki błąd, to jedynie z łatwowierności, dając się oszukiwać ludziom złej wiary. Szczeremi łzami opłakałam go, i zapewne żal był po nim powszechny, albowiem niepodobna przypuszczać, aby śmierć nieszczęśliwego w czyjemkolwiek sercu zostawić mogła jad nienawiści.<sup>4</sup>

Jak powyższy list, tak wiele innych pism i ustnych świadectw osób współczesnych zgadzają się co do szlachetnych i ujmujących przymiotów tego króla, szczególnież w obrębie stosunków prywa-

tnych — to jednak niebroni go przed sądem historyi. —

Ferrand, znany historyk trzech zaborów streszczając jego zawód królewski, tak mówi: *„Après avoir porté sans gloire une couronne qu'il avait uchatée sans remords, il la vendit sans pudeur, et mit le comble á son abjection, en allant mendier son dernier asile dans le nouveaux Etats de cette même Catherine, dont il était le jouet depuis trente ans.“*

W zdaniu tem ledwo kilka wyrażeń możnaby złagodzić; zresztą trzeba je przyjąć w całej szorstkości. Wspomniane Pamiętniki Stanisława Augusta, jeżeli tylko pisane w duchu prawdy, jak spowiedź przed Bogiem z najskrytszych pobudek, jedne Pamiętniki tego króla, mogłyby przyczynić się do zmodyfikowania tego sądu, lub też utwierdzenia się w nim nieodwołalnie. Wszystko, co dotychczas publikowano o nim, a mianowicie z współczesnych źródeł i dokumentów, nie mogło go jeszcze zrehabilitować w oczach potomności.

# ZAKON KAZNODZIEJSKI.

---

Znaczenie Zakonów. — Dante o S. Dominiku. — Krucjata przeciw Albigensom. — Albert Wielki. — S. Tomasz z Akwinu. — Campanella i jego Sonet o Polsce. — S. Jacek i Czesław Odrowążowie. — Zasługi Dominikanów w Polsce. — Odparcie zarzutów przeciw Inkwizycji Ś. —

## I.

Instytucje zakonne, tak samo jak człowiek, mają porę siły i kwitnienia, porę słabnięcia i upadku; gdy jednak człowiek nie odmładza się na starość, to zestarzały zakon może się odmłodzić, jeżeli czuje w sobie tę potęgę wiary, co stwarza cuda, jeżeli nową broni użyje na nowych nieprzyjaciół, słowem, jeżeli zechce się odrodzić kwoli dzisiejszych potrzeb, z całą jędrnością dawną, nieprzemiennej treści.

To pewna, że jak zakony powstawały przez mężów wysokiego ducha, świętości, nauki, pod-

bnie téż i odrodzonymi być mogą. Za naszych dni widzieliśmy jak zakon Ś. Dominika ożył w księdzu Lacordaire, mężu wielkiego ducha, co dar wymowy mogącej świetnieć u kratek, lub w parlamencie, naukę mogącą mu dać sławę i godności świeckie, ukrył pod biały habit, i tym sposobem zakon we Francyi, od czasów rewolucyi zniesiony, na nowo przywrócił.

Historja wszystkich niemal instytucyi zakonnych przedstawia szereg prac apostolskich, dzielących się bądź na wychowanie społeczeństw, bądź na konserwacye i rozwinięcie nauk, pielęgnowanie cierpiących, poświęcenie się dla drugich, słowem usług oddanych ludzkości i cywilizacyi chrześcijańskiej, w miarę tych potrzeb, jakie wyradzały się w dziejowym biegu. Przedewszystkiem jednak historia zakonu kaznodziejskiego imponuje takim ogromem zasług, i takim zastępem wielkich mężów pod względem świętości życia, nauki i wymowy, że dość ją czytać, aby uchylić czoło przed wspaniałością tradycyi, i wzbudzić w sobie przekonanie, że to, czém dziś jesteśmy i co mamy, winniśmy bezsprzecznie kościołowi cywilizującemu świat w wiekach średnich, i tym niezmordowanym pionierom idei chrześcijańskiej, co z zaciszy kla-

szternój biegli między pogańskie narody roznosić światło Ewangelii, a między nawrócone, strzedz téj jedności, od której duch nieustalony odszczepiał się tak łatwo.

Co więcj, powstające zakony były dla samego kościoła rodzajem heroicznego lekarstwa. Ile-kroć stan duchowny wątłał na siłach, tracił ciepło, nurzał się w zbytkach i lenistwie, tylekroć z jego łona wychodził jaki święty mąż, co dając ze siebie przykład najszczytniejszych cnót, porywał przykładem, i tejsze chwili stawał koło niego zastęp dzielnych współpracowników, wprowadzających w życie myśl założyciela.

Pod koniec dwunastego wieku, gdy wielki duch Grzegorza VII. zwątłał w karności kościelnój, gdy zdobycze krucyat wypadały z rąk zdobywców, a kościół grecki skłaniający się do unii pozostał przy dawném odszczepieństwie — dała się uczuć potrzeba spiesznój naprawy podejmowanój tak przez papieży, jak przez mężów wysokiój świętości, którzy szczególniejsz piornowali przeciw zbytkom i bogactwu księży bawiących się więcj łowami i rycerskim rzemiosłem, niż modlitwą, pracą apostołską, lub naukami. W tych okresach zapomnienia się piekło stawiało niebezpieczne sieci na ludzi

duchownego stanu, tém uboższych w cnoty i światło im bogatszych w doczesne skarby i świecką potęgę; a tu właśnie potrzeba było mieć całą władzę nad sobą, górować czystością i ogniem wewnętrznym, ażeby potrafić się zmierzyć z mnóstwem najrozmaitszych sekt i herezy wyłażących jak robactwo z pod ziemi. Szczególniej na południu Niemiec i Francyi, toż na północy Włoch, rozgałęziła się szeroko anarchia błędu buntującego się przeciw powadze i jedności kościoła. Współczesna historia nie jest w stanie objąć tego mnóstwa odcieni powstałych z krzywój nauki manichejskiej i gnostyckiej, później przerodzonej w ogólną nazwę Albigensów, od miasta Albi w południowej Francyi.

Początek tego odszczepieństwa sięgał trzeciego wieku naszej ery, lecz rozwinięcie jego datuje dopiero z końcem dwunastego stulecia, w którym przybrało grozną postać tajemnego stowarzyszenia się działającego na obalenie instytucji kościelnych, za pomocą dwóch potężnych środków, to jest: feudalnych panów pragnących wyrwać się z pod władzy świeckiej kościoła, i trubadurów, tych wolnomyślców średniowiecznych roznoszących szydebnę pieśni przeciw rozpucie, symonii, zbytkom ducho-

wieństwa. Lud powtarzał je, i śmiał się; sarkazm zrodził obojętność, a obojętność doprowadziła do wstrętu; aż powszechnie zaczął na tém cierpieć obrządek; kościoły podupadły, lub zamienione w obronne twierdze, wyglądały jak olbrzymie groby pochowanej wiary.

W takim niebezpieczeństwie kościoła zjawił się Hiszpan, Dominik Guzman, — mąż, któremu od pierwszego zawiązku życiu legenda nadawała znamie cudownego posłannictwa. — Dante umiejący oceniać wszystkie wielkości najbliższych sobie czasów, poświęcił śliczny ustęp Ś. Dominikowi:

A jego dusza, największy cud z cudów  
 Ledwo w żywocie matki żyć poczęła,  
 Już matkę duchem proroczym natchnęła,  
 Kiedy ślub z wiarą brał nad świętym zdrojem,  
 A kościół zęgnął: mówiąc: idź z pokojem!  
 W śnie był widziany przez chrzestnych rodziców  
 Cudowny owoc świecący jak płomie;  
 Co miał wyjść z niego, i jego dziedziców...  
 Często piastunka znalazła go rano,  
 Zrywał się ze snu i zginał kolano,  
 Modląc się długo, jako mnich za kratą,  
 Jak gdyby mówił: „Przyszedłem tu na to...“

Dotąd legendy otaczające kolebkę świętego, a da-  
 lój jego posłannictwo i prace:

On z tłumem nie biegł za mądrością świata,  
 Prawdę ukochał, karmił się jój manną,  
 W mądrości ducha gdy dojrzał nad lata,  
 Zajął się pilnie uprawą winnicy.  
 Gdy przyszedł poznać majestat Piotrowy,  
 Co niegdyś wspierał ubogie i wdowy,  
 A dziś ma dla nich serce kute z miedzi,  
 (O co ja świętej nieskarżę stolicy  
 Lecz raczój tego, który na niej siedzi).  
 Niezadał płatnych odpustów, nadziei,  
 By za sześć liczbę dwa lub trzy odliczył,  
 I niezajętych posad mieć nie życzył;  
 Ani dziesięcin brał z pola lub broga,  
 Które należą do ubogich Boga.  
 Lecz pragnął tylko wojować kacerzy. . .  
 On, silny wolą, w apostołstwie szczery,  
 Jak spadająca ze skały kaskada,  
 Z opoki Piotra na kacerzów spada;  
 Gdzie większy opór tam swój prąd natężał,  
 Kacerskie błędy łamał i zwyciężał.  
 I z téj kaskady trysnęły poniki  
 Przy których ścieku, w ich rzeźwiącym chłodzie,  
 Skroś w powszechnego kościoła ogrodzie,  
 Odżyły zwiędłe kwiaty i trawniki. . .

Przytoczyłem ten ustęp z wielkiego wieszczą,  
 aby tym sposobem zbliżyć do nas olbrzymią po-  
 stać Ś. Dominika. Wszystko bowiem zamknął  
 w tym ustępie i dziecięce lata poświęcone Chry-

stusowi, i wczesne umiłowanie ubóstwa, i zapał w obronie prawdy, i heroizm dobrowolnego wyrzeczenia się ziemskich uciech, i bój przeciw karczom, a nakoniec cudowny dar przywiązany do jego duchowej czeladki, co w krótkim czasie dała życie sześćdziesięciu klasztorom w Europie, a po zgonie założyciela apostołstwo swoje rozszerzyła na wszystkie części świata.

Wiadomo z żywota Ś. Dominika, że pierwszy raz w zawodzie apostołskim wystąpił w krwawej krucyacie przeciw Albigensom; jednak przelew krwi wielu tysięcy ofiar nie na niego spada, on bowiem walczył tylko słowem bożem, i zwyciężał fałszywą pokorę heretycką, szczerością własnej pokory, odejmował jój urok ubóstwa dobrowolnym ubóstwem, i tym sposobem wracał kościołowi jego właściwy charakter zręcznie uzurpowany przez odszczepieńców. Mylne zatem są niektórych głośnych nawet pisarzy zarzuty, obwiniające go jakoby był podszuwaczem okrucieństw dokonywanych na Albigensach, jakoby wreszcie był założycielem inkwizycji świętej. Sumienne przejrzanie najwiarogodniejszych dokumentów przekonało, że żadnego udziału nie miał w ustanowieniu inkwizycji. Tekst dekretu czwartego koncylium Laterańskiego (1215)

powierza poszukiwania o zbrodnie herezy biskupom i ich delegatom; a chociaż Ś. Dominik znajdował się na tem koncylium, niemasz wcale o nim wzmianki; zaprowadzenie bowiem inkwizycyi było wyłączną instytucją episkopalną. Dopiero w lat 17 na koncylium w Tuluzie, inkwizycya została powierzona mnichom, a mianowicie Dominikanom, w czem również nie mógł mieć udziału Ś. Dominik, gdy od jedenastu lat już nie żył.

Początek założenia zakonu kaznodziejskiego datuje od chwili, gdy Tuluza otwarła bramy swoje zwycięskiej krucyacie. Ś. Dominik miał zrazu sześciu tylko towarzyszków dzielających myśl jego, i czujących potrzebę stworzenia instytucyi zakonnej, odmienniej od dotychczasowych. — Dotąd życie religijne objawiało się w szkole, w nauce, w extazie, a nawet w usłudze szpitalnej, lub żołnierskiej, mieczem broniącej krzyża. Lecz to nie było dosyć; ostatniego słowa nie wyrzeczono jeszcze; tak przynajmniej wierzyły dwie najczystsze i najczulsze dusze owego wieku: Ś. Franciszek z Assyżu i Ś. Dominik, i dopełniając czego innym nie dostawało instytucyom, stworzyli zakony żebrzące, rodzaj rycerzy ubóstwa. Ubóstwo otwarte, niewstydzające się, miało się zamienić w dobrowolną

profesję. Tym sposobem żywot religijny zbliżał się do ludu prostotą i sposobem życia; zakres działalności zakonnej rozszerzał się jednocząc w sobie naukę mnicha z poświęceniem się rycerza; przykładem i słowem wsiąkała oświata w lud ujęty poszanowaniem okazanem jego ubóstwu, przez co, że tak powiem, pyszny z władzy i bogactw kościół spopularyzował się. Plan tak głęboko pomyślany, urzeczywistnił się w dwóch zakonach: Franciszkanów i Dominikanów. Były to prawdziwe zbrojne zastępy kościoła, zbrojne nie mieczem, lecz żywym słowem; zastępy, co bezpośrednio znosząc się z ludem ugminniały niejako teologiczne prawdy kościoła, dotąd przystępne tylko uczeńszym i wyższym klasom społeczeństwa.

Jak potężną, jak zadziwiającą w następstwach była instytucja Ś. Dominika, jak ogromny udział wzięła w rozwinięciu religijném i umysłowém narodów, i w tylu kwestjach wstrząsających światem, przez ciąg czterech prawie stuleci, pokazuje dzieło X. Barączka, gdzie szczególnie do polskich Dominikanów starannie zebrane są daty, i wyliczone słownikowém sposobem wszystkie znamienitości zakonu kaznodziejskiego, tak święci i papieże, biskupi, uczeni, kaznodzieje itd. Są to szacowne

i ciekawe szczegóły; lecz zatrzymywać się nad niemi, wyliczać co autor starannie zestawił, nieodpowiedziałyby przeznaczeniu niniejszej pracy, mającej podać sam kwiat przedmiotu. Dla tego dość będzie, gdy uwagę czytelnika zwrócę na główne rysy zakonu, uwydatnione w nieśmiertelnych jego członkach, zajmujących wysokie stanowiska bądź w umiejętności, bądź w wymowie, bądź w rządzie kościoła.

Zaiste czystą, z nieba zesłaną była myśl Ś. Dominika, kiedy tak bujne wydała żniwo, że w nieprzebranym ciągu z cieniów klasztornych, jak z trojańskiego konia, coraz nowe sypały się wielkości i to nie jednostajnego kroju, lecz\* z całą różnaitością wielostronnéj wiedzy i jenuiszu.

Ledwo Ś. Dominik zakończył żywot, zjawia się Albert Wielki, owa żyjąca encyklopedia XIII wieku o którym współcześni wydali zdanie: *Magnus in magia, major in philosophia, maximus in theologia*. Aczkolwiek krytyka nowożytna niepodziela bezwzględnie tego sądu, jednakowoż przesądne wyobrażenia Alberta o naukach przyrodniczych, były winą czasu, a nie człowieka. — Zawsze wiara w cudowność, miała zwyczaj poprzedzać umiejętność; mimo tego taki zapał, takie zamiłowanie

przyniósł ten mistrz w badaniu natury, że usiłowania jego nie były dla nauk ścisłych stracone. Jego zoologia i mineralogia, acz pełne niedostatków, zadziwiają ogromem wiadomości najrozlicznějších. W filozofii był pierwszym z wielkich komentatorów Arystotelesa; a chociaż potrzebnych nie miał przewodników, aby go dostatecznie wyłożył, to niemniej dowiódł rozległej erudycji. Największą jednak ma zasługę, że przyznając całą wyższość teologii, dla filozofii umiał naznaczyć osobne miejsce i nie odmówić wolności niezawisłej myśli w dociekaniu prawdy. W teologii rzuca się w drobiazgi i subtelności; bezbrzeżny to ocean, w którym topił trafne niekiedy pomysły. Współcześni nieprzesadzili, nadając mu tytuł: wielki w magii, większy w filozofii, największy w teologii; zwłaszcza jeżeli wspomnimy na najważniejszy szczegół, że był mistrzem Ś. Tomasza z Akwinu, który nauczyciela swego przewyższa jenuzem oryginalnym i umiejętnością w ścisłe karby ujętą, a chociaż tyle wiedzy ma co i mistrz, wie jednak dokładniej i umie drugim udzielić. Wielkość też ludzka dostała się Albertowi; Tomasz z Akwinu otrzymał z nieba czego ludzie dać nie mogą:

świętość i powagę. Trafnie powiedziano o nim: słowo jego starczy za sobór, cudami są jego książki.

Nader to nie podobna rzecz w pobieżnych słowach skreślić ogrom i znakomitość jego pism, mieszczących w sobie cały gmach teologii, najdokładniejszy i najprawowierniejszy. W sławnej jego *summie*, acz nie skończonej, traktował z górami dziesięć tysięcy pytań, bądź dogmatycznych, bądź moralnych, objaśniał je, rozstrzygał tak głęboko, tak stanowczo, że nikt z licznych przeciwników jego sławy, nie potrafił dowieść fałszywości choćby jednego rozwiązania. Aby zaś krótko określić charakter filozoficzny Ś. Tomasza, powiemy, że to był zdrowy rozsądek podniesiony do wysokości jenuuszu; rozsądek nieugięty, przenikliwy umiejący panować nad wszystkimi subtelnosciami szkoły, z całą swobodą i wdziękiem, jeżeli o wdzięku może być mowa w tych księgach, gdzie za każdą myślą wlecze się długi ogon sylogistyki. Podobnież w teologii zachowuje to samo piętno oryginalne; umie być śmiałym nie wykraczając z granic ortodoxyi, bo łączy dwa znakomite przymioty: rzutność myśli osobistej z wiernością objawionemu słowu; żywioł ludzki z żywiołem bożym.

Największego przeciwnika znalazły dzieła Ś. Tomasza w członku bratniego zakonu franciszkańskiego Dans-Szkocie, zwanym *doktorem subtelnym*, obrońcą realizmu, co sprawiło poróżnienie obu zebrzących zakonów wiele wieków trwające, tak, że każdy Dominikanin zawsze był *tomistą*, a każdy Franciszkan *skotystą*. — Lubo wojna ta zabazgrała nie mało papieru kuchenną łaciną i nie mało krwi napsuła wzajemnemi gniewami i obelgami w postaci sołecyzmów i sylogizmów, nieujęła nic pismom Ś. Tomasza sumującym w sobie wszelką wiedzę średnich wieków i całą naukę kościoła. Słowo jego pozostało wyrocznią.

Długi byłby szereg, żeby wyliczać wszystkie światła zakonu kaznodziejskiego. Wyliczył je X. Barącz w swoim dziele; spotykamy się tam z Ś. Wincentym Fereryuszem, z Taulerem, sławnym mistykiem, Jakóbem z Woraginy, autorem złotej legendy, Turrekrematą. Las Casesem tym heroicznym obrońcą Indyan, jednym z największych zaszczytów zakonu kaznodziejskiego, kapłanem, co z gorliwością apostoła miał tkliwość dziecka, liłość niewiasty wznoszącą się do szczytu wymowy. Nieprzepomniał i o cudownym malarzu fra Angelico da Fiesole o którego obrazach nieskłonny do

pochwał Michał Anioł wyrzekł: „Musiał te postacie wprzód w niebie widzieć, nim je na płótno przeniósł.“ Znajdujemy także wzmiankę o Tomaszu Campanelli autorze Stołecznego miasta, téj utopii socyalnej pokrewnéj z Republiką Platona i Utopią Morusa. Myśliciel ten, poeta jęczący po neapolitańskich więzieniach przez lat 27 mimo tortur na jakie go brano za mniemane kacerstwa, nieprzystający pisać, a razem pracować nad zrzuceniem jarzma hiszpańskiego — bliżej obchodzi Polskę z tego względu, że z głębi więzienia brocił systematu Kopernika, a zarazem obwinionego Galileusza; że wreszcie sonet jeden poświęcił Polsce, który w przekładzie podaję:

Polsko! tyś wyżej nad królestwa one,  
Kędy się berło dziedzictwem osiąga —  
Ojciec był wielki, lecz syn niedołęga,  
Więc na innego przenosisz koronę.

Lecz jakież pytam, ztąd rośnie pożytek  
Jeśli powołasz wyrokiem wyboru,  
Jakie książątko zepsutego dworu,  
Co ci w dom wniesie rozpusztę i zbytek?

Poszukaj raczej gdzie pod skromną szatą  
Nymy, Katona, albo Trismegista;  
Bóg takie ludzkie zwykle chowa na to.

Pod takim władzcą zawsze lud skorzysta;  
 Bo w nim nie imie, nie ród dawny płata,  
 Lecz nieśmiertelne czyny, cnota czysta:

Campanella co do natury pojęć swoich dążących do zreformowania społeczeństwa idzie w prostej linii od Sawonaroli, także Dominikana, o którym niewiem dla czego, nic niepodał X. Barącz? Tauler i Sawonarola, to przecież dwaj najwięksi kaznodzieje a jak wiemy, cechą zakonu Ś. Dominika jest wymowa na usłudze prawdy. Sawonaroli imie tak głośne, tak popularne, że chyba przez zapomnienie wysliznąć się mogło z pocztu sławnych Dominikanów. Miałżeby autor mieć jaki skrupuł w zaciągnięciu go do listy, za to, że był spalony z rozkazu Aleksandra Borgii? Ależ wielki ten trybun i mówca w obronie wolności florenckiej, nie był wcale heretykiem; raz że miłość wolności nie-sprzeciwia się Ewangelii, a po drugie, że jeżeli miał przeciw sobie Aleksandra VI. który go potępił, to nawzajem miał przyjacielem Ś. Filipa Neriusza i papieża Pawła III. ogłaszającego, iż ktoby oskarżał Sawonarole o herezyę, sam będzie winnym takowój.

Zakon wydający z swego łona takie znakomości pierwszorzędne jak te, o których wspomnia-

łem, pochłaniał w sobie wszystkie najdzielniejsze żywoły; dodawszy do tego znakomitości różnych prowincyj będące w czei i pamięci swoich narodów, pokaże się na jak mnogich kolumnach wspierał się ten okazały gmach Dominikański! Ktoby chciał opowiedzieć historję rozszerzenia wiary w obu półkulach przez ciąg prawie pięciu wieków, niemógłby pominąć zasług synów Ś. Dominika. Niema bowiem tak dalekiego i tak dzikiego narodu, gdzieby zakonnicy dominikańscy nie dotarli. Grecya, Bułgarya, Armenia, Tatary, Persya, Indya, Etyopia, gniazda fanatycznych herezji, zastarzałych przesądów pogańskich, widziały tych misyonarzy stawiających im czoło. Nasz Ś. Jacek Odrowąż, uczeń Ś. Dominika, apostołstwem zasłynął na całej Rusi, Tatary, do Chin; a kiedy w XVII. wieku holenderskie okręty po raz pierwszy przybiły do brzegów Grenlandyi, jakież było zdziwienie, gdy znaleźli tam klasztor dominikański ufundowany jeszcze w XIII. stóleciu.

Przez tych kilka rysów, pobieżnie tu rzuconych, chciałem wskazać na ogrom zasług, jakie zakon kaznodziejski położył dla sprawy religii; on to, można twierdzić na śmiało, pierwszy przełamał lody i utworował drogę, po której łatwo już było

ruszać się wpływom świeckiej cywilizacji, dziś na zbyt ze zwycięstw swoich dumnej, aby przyznać miała, że bez ubogich i poświęcających się zakonników, nie potrafiłaby dotrzeć tam, gdzie dotarła.

Ogólną historią zakonu kaznodziejskiego zamknął X. Bęracz w szczupłych ramach, za to rozszerzył się o Dominikanach w Polsce, bo więcej niż półtora tomu im poświęcił, co stanowi oryginalną część jego pracy; aczkolwiek pod tym względem niebrakło mu obfitego materiału w dziełach Bzowskiego, Okólskiego, Siejkowskiego, Chodykiewicza itd. Układ, wyświecenie wielu szczegółów krytycznie, a nadewszystko dopełnienia z świeższych czasów, stanowią o wartości jego dzieła. —

## II.

Żaden zakon niema wspanialszej tradycyi, jak tradycja polskich Dominikanów; łączy się bowiem bezpośrednio z Ś. Dominikiem przez swoich dwóch świętych założycieli: Jacka i Czesława Odrowążów, którzy z rąk fundatora przyjęli w Rzymie zakonną sukienkę, i pod jego okiem doskonaleni w życiu

duchowném, wrócili do Polski zakładać fundamenta tego zakonu. W Krakowie pierwszy stanął klasztor przy kościele Św. Trójcy, otwarty z całą solennością r. 1223, poczem, Jacek pamiętny na przestrożę Ś. Dominika, żeby nauczać i rozszerzać naukę Chrystusową, wezwał Czesława i te pamiętne rzekł słowa: „Najmilszy bracie, twoje cnoty i przymioty doskonale tak mię nasycają, iż nic miłszego nad ciebie nie mam, a jednak dla rozkazu ś. Patriarchy i pozyskania dusz ludzkich rozłączyć się musimy. Więc idź w strony zachodnie, ja północ i wschód zostawiam sobie, tak łożmy siły, łożmy i życie dla rozszerzenia wiary i zakonu naszego.“

Jakoż z kilkoma towarzyszami puścił się Czesław do Czech, Morawy, Szląska, Saksonii; Jacek zaś poszedł na Mazowsze, a ztamtąd nad Bałtyk, gdzie zawadził i o kraje skandynawskie.

Czynność i poświęcenie się nowo założonego zakonu zadziwiająco robiły postępy, gdy w lat pięć na kapitule odprawionej w Paryżu r. 1228 generał tego zakonu widział potrzebę ustanowienia „prowincyi polskiej,“ obejmującej w sobie oprócz Polski także Czechy, Morawę, Szląsk; prowincyałem mianowany był Jacek; wszak rok tylko piastował

tę godność — w r. 1229 złożył ją, aby się całkiem oddać pracom apostołstwa.

Nauka i apostołstwo było godłem zakonu; u nas zaczął on od apostołstwa i niem moralnie zdobywał ludy, mające się kiedyś złąć z Polską.

Owi to Odrowążowie, ród, który po Gryfach objął w XIII. wieku sterownictwo duchowe w Polsce, skupiali w sobie siłę wewnętrzną narodu. „Gryfy ród górujący w XII. wieku, — mówi autor Piastów — pełni nadziei i życia rzucali się w objęcie przyszłości, mężnie przeciwnościom nadstawiali czoło, silną ręką ster rządu pośród nawałnic prowadząc; Odrowążowie zaś krwawą wieku XIII. powitali zorzę. Widzieli zdradziecki Pomorzyczka sztylet utopiony w sercu Leszka Białego, Polskę zrzekającą się swego apostołstwa w Prusiech. Ruś bierze u Lechów posadę; wzywa świeżo przybiegłych Tatarów, by ukończyli dzieło spustoszenia. Na ten widok Odrowążowie kolana uginają. Dzielność ludzka sama tu niepodola; niechże wiara, łaska i miłość ludzkości, godłem ich będą.“

W takich to okropnych chwilach dla Polski występuje na widownię Iwo Odrowąż, biskup krakowski; pod jego rządem mnożą się kościoły, szpitale dla chorych, pomoc dla nieszczęśliwego ludu

śró d głodu i powietrza. Ów Iwo przybywszy do Rzymu z swymi krewnymi Jackiem i Czesławem, pierwszy pojął jak wielkiem dobrodziejstwem dla jego ojczyzny mógłby się stać zakon świeżo utworzony przez Ś. Dominika, i zaraz towarzyszących mu krewnych, skłania, że porzucają świeckie kapłaństwo i dachowne godności, a przywdziewając biały habit, ślubują ubóstwo i pokorę, aby tem zbliżeniem się do ludu, przekonywać go i serca podbijać dla boskiej prawdy. —

Czynność i wpływ propagandy tych pierwszych Dominikanów rozszerzają się w zadziwiający sposób. Nie się dzieje bez nich. Książęta wzywają w pomoc ich słowo, kiedy orężem nie są w stanie poganom podobać; a gdziekolwiek chwieje się wierność kościołowi, tam idzie bezbrojny mnich, godzi i stosunek utrwała. Kiedy idzie praca duchowa w jednem odstępczem mieście, lub powiecie, jużby poczytaną była za wielkie dzieło misyjne. — wtenczas, pomimo dzikości obyczajów i wszystkich niedostatków cywilizacyi jeden mnich zdobywał całe lądy. Niedowierzenia prawie jakie obszary zajęło apostołstwo Ś. Jacka. Cała Ruś halicka, Wołosza, Bułgary, Kumany, Krym, Bizancyum, wyspy Archipelagu, — na koniec Kijow, to serce Rusi, gdzie się

dłużej zatrzymał, aby pokonać reszty starego pogaństwa, z którym wschodnia schizma pozbawiona ciepła, zamknięta w skośniałych formułkach obрядо-  
wanych, nieumiała sobie dać rady. Ze serce ludu do apostoła przyłgnęło, dowodzi ten szczegół, że za jego sprawą powstał klasztor w Kijowie...  
ta najdalej posunięta na wschód przednia straż cywilizacji zachodniej, podobnie, jak przedtem na brzegach Bałtyku powznoszone przezeń klasztory, były tym węzłem, co kraje te w przeszłości miał z Polską pospajać. — Apostoł Prus i Rusi zapewne bez wyrozumowanej polityki, staje się najgłębszym politykiem, bo nietylko że wielką przyszłość gotuje swojej ojczyźnie, ale nadto przez zasiew nauki kościoła, usposabia lud ruski do kłótnienia się bardziej ku wolności miłującej Polsce, niż ku swoim książętom tak łatwo przyjmującym jarzmo mongolskie, aby lud swój wiecznie trzymał w azyatyckiej ciemnocie i niewoli... Apostolstwo Ś. Jacka, — to początek tej walki światła z ciemnotą, przeciągającej się prawie do dziś na granicach zachodu ze wschodem, walki, w której po jednej stronie staje jedność kościoła, cywilizacja, miłość wolności, święte prawa i obowiązki człowieka — a po drugiej despotyzm i schizma kujące w kajdany ludzkiego

ducha. Kraków, będący wówczas ogniskiem tego religijnego i cywilizującego ruchu mającego się rozpościerać na całą Słowiańszczyznę, wydał dwóch Odrowążów, dwóch świętych, — i odtąd za ich przykładem podjął to dzieło zastęp koronnych niewiast: Salomei, Jolanty, Kingi, Jadwigi zesłanych na ratunek Polski przebywającej w XIII. wieku najtrudniejsze, najkrwawsze swojej formacyi koleje. —

Potrzeba było aż świętych pańskich, żeby z powodzi wewnętrznych rozterek, krwawych i pozogowych zagonów Mongolskich, ocalić przyszłość téj ziemi przeznaczonéj na serce słowiańskich plemion.

Autor *Rysu Dziejów Zakonu Kaznodziej-skiego*, rzucił kilka szczegółów z żywota Ś. Jacka; prace jego misyjne, cuda, śmierć; lecz wielkiej téj postaci duchowego rycerza, nieukazał w całości i rozmiarach, w jakich przedstawia się nam na tle owoczesnych stosunków, nad któremi góruje sam jeden... Czuł to X. Barącz, i wypowiada w przypisku, że tylko nawiasowo dotknął osoby Ś. Jacka, ponieważ August Bielowski ma zamiar po mistrzowsku skreślić obraz tego apostoła. Szanujemy skromne to wyznanie, lubo zdaje nam się, że praca X. Baracza byłaby wiele na tem zyskała. Świątynia z niedokończoną kopułą lub wieżą, zawsze

zostawia coś do życzenia. Zresztą odpowiednie rozwinięcie tego jednego żywota byłoby dla całej pracy fundamentem i najwspanialszą jej ozdobą. Do czego dodany szeroko zakreślony obraz tego udziału, jaki miał zakon kaznodziejski w rozwoju duchowym i umysłowym do końca XVIstego wieku i we wszystkich zagadnieniach wzruszających światem przez ciąg trojga stóleci, byłaby się stworzyła zupełniejsza monografia, niż za pomocą oschłych dat statystycznych, odnoszących się do następstwa generałów, wyboru prowincyałów, zjazdów na kapituly, i oderwanych od całości żywotów polskich Dominikanów, wspomnianych dla tego, że ten lub ów napisał jaki zapomniany traktacik lub panegiryk. Dawniej byłoby to dostateczne; lecz dzisiejszym więcej chodzi o ducha zakonu, o prace jego zbiorowe, o walki i koleje jakie przechodził, niemniej o ważność jaką miał w historii kościoła i w dziejach naszej kultury. —

Z tak obfitego materiału jakim rozporządzał skrzętny w poszukiwaniach autor, wypadało odlać coś skończonego; a wtenczas dzieło nabrałoby innego znaczenia i nieodstręczałoby suchością tych właśnie, którym naukę ułatwiać potrzeba, aby do niej uczuli pociąg, czyli oświecać ich, dając im nie

martwe liczby, daty i nic niemówiące nazwiska; lecz stronę żywotną przedmiotu, która będąc wynikiem wytrawniej erudycji, tem samem jej niewyłącza. --

Uwagę tę odnosimy nie tyle do większej połowy pierwszego tomu dzieła, pisaniej z ciągiem ogarniającym pewną całość, a tem samem więcej organiczną, ile do reszty, ułożonej słownikową metodą nie właściwą w historii ściśle wziętej.

Umiejętność napisania książki, nie jest rzeczą do pogardzenia: książka, jak owoc dojrzały, powinna być wszystkim do pożywania miłą, a zwłaszcza traktująca o przedmiocie tej wysokości i wagi, co dzieje zakonu kaznodziejskiego.

Z tém wszystkim uwaga ta przychodzi za późno; dzieło istnieje i samo się broni mozołem i pracowitością w zebraniu materiałów; dla tego też wypowiada ona tylko życzenie opinii, mającej swój głos w rzeczach mogących dogadzać lub niedogadzać publicznej potrzebie, lub smakowi.

Wracając do wątku dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce, uderza to szczególnie, że na samym wstępie swego istnienia, członkowie jego nie szukają ofiar, ale sami dają się na ofiarę. Kiedy apostołstwo Ś. Dominika w południowej Francyi

wmieszane najniewinniej w krwawą krucyatę przeciw Albigensom, dało powód deklamacyjnej szkole postępowych historyków, jakoby żarliwość nawracania w jednej ręce niosła krzyż, w drugiej miecz; tedy u nas apostołstwo Odrowążów wojowało samem tylko słowem bożem. W prędko powstających na różnych punktach klasztorach, mnożyła się liczba zakonników, dzielnie krzątających się koło wiary, nauczania i podbijania dla jedności. Były to prawdziwe cytadelle cywilizacyi; najpierwsze też padły pod mieczem mongolskich najazdów i dostarczały długi szereg męczenników. Sandomierski klasztor pod świętobliwym przeorem Sadokiem rozpoczyna listę czterdziestoma dziewięcioma zamordowanymi członkami zakonu, których kościół do swoich świętych zaliczył. Odtąd historia tą powtarza się bez ustanku przez kilka wieków zagonów Tatarskich, po których kozactwo i szymatycka czerń, wzięły potem spuściznę. Szczególniej w ruskiej prowincyi, której prowincyałów spisał autor i żywoty ich podał, niewiele jest takich prowincyałstw, żeby nie znalazło się kilka imion pomordowanych księży i to przez cały ciąg do pierwszego dziesiątka lat panowania S. Augusta. Ci, których ściagała taka zawziętość, musieli mieć wiel-

kiego ducha wiary i poświęcenia się; kiedy zawsze znajdowali się na swoim stanowisku i to w klasztorach wystawionych na inkursye i bunty, a rzadko kiedy warownych jak klasztor podkamieniecki, lub te, co po obronniejszych powstawały grodach. Zresztą i mur warowny niewiele chronił: bo przecież historia podaje tyle przykładów zdobycia tych forteczek i wyrznięcia w pień zakonników... Że ta żywotność zakonu musiała się utrzymywać do chwili pierwszego rozbioru, domyśleć się można z niektórych żywotów, przypominających najwspanialsze postaci z pierwszych wieków istnienia zakonu kaznodziejskiego; między innymi owego X. Wawrzyńca Owłoczymskiego, który przez wdzięczność Ś. Wincentemu Ferreryuszowi, że go wyrwał z ciężkiej niemocy, postanowił naśladować żywot tego świętego. „Jakoż mówi X. Barącz 1751 r. podczas jubileuszu rozpoczął w Grodnie pierwszą misję tak szczęśliwie, że do roku 1755 ciągle po różnych kościołach parafialnych odprawiał tę duchowną posługę. Przeszedł on całą Litwę, zwiedził Białoruś aż do granic Moskwy i Liwonii. Pełen ducha bożego, najzatwardzialszych kruszył grzeszników. Niewinność anielska w całej jego postawie widoczną była, a z twarzy jego jasne wynikały promienie. — Mimo

prześladowań i zasadzek na jego życie robionych, odprawił 54 misyj, żydów ochrzcił 37, lutrów nawrócił 252, kalwinów 11, szymatyków 1367, ukrytych odstępców 444, grzeszników zatwardziały 373,565, świętokradców 254,370. Do bractwa różańcowego wpisał 64,004. Ostatnią misyę odprawując w Bełzie w boleściach zakończył żywot 1763 r. jak głoszono otruty przez cyrulika. —

Chociaż liczby te, mogłyby dzisiaj wydać się przesadzonemi — to zawsze przyjąwszy połowę, zostaje się dość, aby przyznać, że zakon niezasypiał swego posłaństwa w najgorszych czasach, gdy chłód filozofizmu zaczął serca ziębić i podkopywać powagę kościoła.... Kilkadziesiąt klasztorów Dominikańskich w prowincyi litewskiej i ruskiej zniesionych pod panowaniem Mikołaja dostatecznie pokazuje jak tradycyjnie straszem dla schizmy było słowo odziedziczone po pierwszym apostołe Rusi. X. Barącz o ile miał źródła, spisał historyczne daty klasztorów, jakie przed skasowaniem istniały na Litwie, Wołyniu, Podolu itp.; ale wielka szkoda, że nienapisał historii tego skasowania, to przecież od dat ciekawsze, i nader z bliska związane z dziejami prześladowań kościoła katolickiego w Polsce.

Zamiłowanie się w szczegółach mniemanéj

ważności książkowej, przeszkadza nieraz względom na rzeczy prawdziwie ważne i żywotne. Dzieje zakonu kaznodziejskiego w Polsce, mogły się obejść bez historii ostatnich lat trzydziestu, zgubniejszych dla niego, niż napady mongolskie, gdańskich birgerów rozruchy, hajdamackie spisy i noże, i wszystkie walki z heretykami, z tych bowiem zapasów zakon wychodził w męczeńskiej koronie, zawsze będącej tryumfem — gdy pod uciskiem caryzmu, tracił exystencję. Nie powiedział nam autor, czy jeszcze gdzie ostał się jaki klasztor Dominikański w państwie rosyjskiem; niepodał statystyki, ile klasztorów zniesiono i z jaką liczbą duchownych? Wykazy takie ogólnego stanu w różnych epokach byłyby bardzo pożądanymi, tem bardziej, że to wszystko dałoby się znaleźć w przytoczonych przez autora szczegółach i datach; mógł je być razem zestawić podobnie jak w wykazie wszystkich prowincyj zakonu kaznodziejskiego, wziętym z Quetifa i Echarda. — Zgadzało się to z przyjętym przez autora planem.

Na zakończenie podniosę jeszcze to pytanie:

Jakie usługi oddał Polsce zakon kaznodziejski?

Część tego pytania najgłówniejszą, rozwiązał sam Ś. Jacek Odrowąż, o którym mówiliśmy na

wstępie. Następcy jego w zakonie postępując drogą wytkniętą przez mistrza, działali w miarę sił swoich i gorliwości, mianowicie w czasach szerzących się herezji, straszniejszych w wiekach średnich dla kościoła i chrześcijańskiej społeczności, niż dziś możemy sobie wyobrażać. Ustanowienie inkwizycyi św. powierzone na zachodzie głównie Dominikanom w samym początku XIII. stulecia — pokazywało, jak wielkie było niebezpieczeństwo, kiedy kościół zawsze łagodny, przepisał na nie tak srogie lekarstwo. U nas jednak instytucya ta nieweszła w życie w ciągu pierwszych lat kilkudziesięciu istnienia zakonu kaznodziejskiego, dopiero wyraźny jój ślad napotykaemy w r. 1318, gdy z rozkazu papieża uorganizowanie św. inkwizycyi w diecezji wrocławskiej i krakowskiej mieli sobie polecane: Dominikan Peregryn z Opoła i Franciszkanin Mikołaj Hypodynek z Krakowa, a to z powodu szerzącej się sekty Dulcynów, która poprzedziła inne sekty napływające z Niemiec do Polski jak: Beginów, zwanych także Fratrycelami i Bizochami, następnie najgroźniejszej sekty czeskich hussytów, z którymi ojcowie mieli wiele do czynienia. Często znajdujemy téż wzmianki w dziele X. Barączka, że inkwizytorowie jednych nawracali, a upartych

i zatwardziałych skazywali na stos. Ani wątpić że ostateczny ten argument był w używaniu i przez naszych Dominikanów, domysleć się jednak można, że wielkiego nadużycia niebyło; inaczej bowiem herezye byłyby się więcej przyjmowały, stósownie do natury ludzkiej, mającej tem większy pociąg do męczeńskiej gloryi, im prześladowanie zawziętsze. Zresztą sam pojednawczy charakter naszego narodu nie był skłonny zamieniać inkwizycyą w system rządzenia ludźmi, jak ją zamienili królowie hiszpańscy. Tu wypada także, jakby dla dopełnienia uwag w tym przedmiocie podanych przez X. Barącza, zrobić małe wyjaśnienie co do inkwizycyi św. zbyt potępianej pojęciami dzisiejszemi. Niezapominajmy że instytucya XIII. wieku niemoże być sądzoną podług liberalnych wyobrażeń wieku XIX; a następnie, że smutną sławę inkwizycyi zrobiła Hiszpania, gdzie jój dziki charakter miał źródło więcej polityczne niż religijne. Pozorne ochrzczzenie się Żydów i Maurów, tworzyło towarzystwo tajne w łonie społeczeństwa urzędowego i publicznego; ztąd i trybunał inkwizycyjny był wyłącznie urzędem królewskim, funkcyonującym pod firmą papieską; lecz w gruncie zawisłym tylko od rządu. Są to trafiające do przekonania dowody X. Lacor-

daira, niezbijające jednak faktu, że Dominikanie byli głównym narzędziem inkwizycji tak w Hiszpanii jak u nas. Nieuwłącza to jednak zasługom zakonu, który będąc złożony z ludzi swojego wieku, miał przesady i obyczaje współczesne. Któż niewie jak nieraz przesąd silniej władnie człowiekiem, niż najczystsza prawda przedwieczna, a kaprys lub aberracja umysłowa wywraca cały porządek moralny? Dziś oburzamy się na samą myśl, żeby kto mógł cierpieć prześladowanie za swoje wyobrażenia — lecz w średnich wiekach nikt się na to nieoburzał, gdyż w ówczesnym uczuciu sprawiedliwości, każdą herezję uważano za zbrodnię główną tak przeciw społeczeństwu, jak kościołowi. Dominikanie niemogli być inni jak społeczeństwo, z którego wyszli. Ubolewać raczej nad temi czasami gdzie panował taki zamęt w pojęciach o karze cielesnej i karze moralnej; gdzie kościół w pomoc swoim klątwom wzywał świeckiego ramienia i nie wahał się obok konfesyonałów zapalać stosy... Jak dalece kary inkwizytorskie były w przesądzie wieków, mamy dowód na tych, co faktu inkwizycji najdzielniej używając na potępienie kościoła, sami przeciwników swoich na stos wskazywali. Ge-

newski kalwinizm spalił przecież Serweta, i to w najświetniejszym okresie kultury, bo w XVI. stó-  
leciu.

Czułem potrzebę zatrzymania się na tym pun-  
kcie, z tego mianowicie względu, że w Rysie dzie-  
jów Zakonu Kaznodziejskiego, przedmiot ten zna-  
lażem tylko potrącony, lecz nierozwinięty; ostatnie  
zaś potrzebném było dla wykazania natury inkwi-  
zycyi św. potwornój w oderwaniu od całości, a w po-  
łączeniu z nią dającój się usprawiedliwić. —

Ważną także w historii Dominikanów polskich  
grają rolę podziały na prowincye, dające powód  
do licznych wewnątrz walk i zatargów. Każda ca-  
łość zawsze boleje, rozpadając się na części. Toż  
działo się w prowincyi polskiej, gdy się oderwały  
od niej Czechy z Morawą i osobną zaczęły skła-  
dać prowincję od r. 1301. Zadziwiający wzrost  
klasztorów na Rusi wywołał w trzysta lat później  
(r. 1612) odłączenie się téj prowincyi; podobnie  
uformowała się osobno prowincya litewska w r.  
1644 i na kapitule jeneralnej w Rzymie za takową  
uznaną została. Z tych trzech prowincyj, ruska,  
do której sam autor należy, najlepiej jest wypra-  
cowaną; polska zaś urywa się na chwili odłącze-  
nia się od niej prowincyi ruskiej, i autor powiada:

„Odtąd — to jest od 1612 r. — zupełnie ustał związek z prowincją polską; szczególniejsze tylko zdarzenia wzajemnie podawano sobie. Dzieje prowincyi litewskiej objęte w nocie Eustachego Tyszkiewicza *wyjętej z Teki Wileńskiej*.

Cały tom drugi poświęcony jest w połowie znakomitym mężom zakonu kaznodziejskiego, idącym w porządku alfabetycznym. Praca ta ważną jest dla bibliografii, choć ilość ta nazwisk ani o włos niepomnoży téj sławy i zasługi, jaką zakonowi zdobyli Odrowążowie, Mościcki, Lubomczyk, Bzowski, Birkowski, Okolski i Falkowski i tylu innych mężów zasiadających u nas na stolicach biskupich, lub ponoszących śmierć za wiarę. Resztę drugiego tomu zajmuje opis klasztorów historyczny we wszystkich trzech prowincjach, i tu autor największą ma zasługę za staranne poszukiwania, które jednak możnaby uzupełnić, czerpiąc jeszcze bądź z dokumentów miejscowych, bądź od osób świadomych rzeczy, aby z tych pojedynczych monografi mogła powstać jedna ogólna, o ile być może kompletna. Wiemy, jakich podobna praca wymaga starań i nakładów, jak rozgałęzionych korespondencyj — lecz ile nam się zdaje, tylko tą drogą dałoby się napisać gruntowną i nic nie zostawiającą do życze-

nia historię Dominikanów w Polsce. Kto się tak już rozpatrzył w przedmiocie jak X. Barącz, kto w pierwszym zarysie tyle objąć potrafił, temu łatwiej dokonać reszty, aby monumentalny pomnik postawić Wielkiemu Zakonowi. O taką historię powinno dbać całe zgromadzenie. Historia, to pamięć życia — niemoże więc być obojętną, chyba dla tych, co żyć niepragną. —

---

# **XIĘSTWO WARSZAWSKIE.**

---

Dostatek pamiętników, niedostatek prac historycznych. — Stan Polski po ostatnim rozbiore. — Rządy pruskie. — Złudność dobrego bytu. — Konstytucya Napoleońska. — Wycieńczenie kraju. — Summy bajońskie. — Wojna z Austryą. — Pierwszy Sejm. — Ogromne podatki. — Wojna z Rosyą. — Rozmowa Napoleona z p. de Narbonne. — Rady Xięcia Bassano. — Rada konfederacyi Jeneralnej. — Nieużyteczne krasomóstwo. — Napoleon pod Fuldą. — Nowa organizacya rosyjska.

Nader mało mamy takich prac historycznych, w którychby autor był świadkiem i bystrym obserwatorem swojego czasu, w którychby nadewszystko umiał przedstawić, z głębszym poglądem na przyczyny i skutki, wierny obraz wpływów politycznych, oraz instytucyi zawiadujących krajem.

Pamiętniki licznie ogłaszane, a obejmujące najwięcej okres stu lat ostatnich, są raczej zbio-

rem obrazków i zapisków z życia towarzyskiego, i to w szerszym lub szczuplejszym obrębie; dla tego, lubo dostarczyć mogą ciekawych rysów i szczegółów do różnych miejscowości, niedają przecież téj skończonej całości, tego wielostronnego rzutu oka, tego wreszcie streszczenia wypadków, odniesionych do kierującej nimi przyczyny politycznej lub administracyjnej, jakie dać może w wyższem znaczeniu historia, zasługująca prawdziwie na miano: *magistra vitae*.

Na nieszczęście, z epok najbliżej nas obchodzących niemamy takiej historii. Całe panowanie Stanisława Augusta składa się z samych pamiętników i urywkowych pism, mogących służyć za materiały, lub z obcych prac historycznych niedość wtajemniczonych w ducha narodu. O następnych epokach lub o dziejach niektórych prowincyi przeszłych pod inne rządy, jeszcze mniej wiemy; piszący bowiem zwracali się tylko do pewnych momentów kiedy się życie narodu budziło, a od symptomatów letargu i przyczyn, co go sprowadziły w codziennym rzeczy porządku niejako odwracano oczy. Tymczasem badanie tego procesu przez jaki przechodził naród, wyrwany z publicznego najszerzego życia, a w najbierniejszą bezwładność wtrą-

cony, następcza tyle eiekawych i uczących postrzeżeń, tak otwiera oczy na charakter narodu, taką daje jasną diagnozę jego choroby — że nieraz deklamacyami wydają się te gorzkie wyrzuty, jakie od tyłu lat ciskamy na los ciężący nad nami i na ludzi wykonywających wyrok losu. Niebędąc zwolennikiem teoryi fatalistycznej, widzę w dziejach palec Opatrzności wtenczas dotykający, kiedy poprzednie ostrzeżenia, próby i kary niemogły sprowadzić godziny opamiętania się, albo ją sprowadzały za późno. — Po katastrofie dopiero odejmującej byt polityczny, organizacyą władz i przywilej, zostaje naga treść z tych uroków огоłocona i z niej to można dopiero wnioskować o stopniu żywotności, o siłach moralnych wewnętrznych; te bowiem powołane są do odgrywania roli wprawdzie trudnej, lecz mimo tego wielkiej i zaszczytnej, choć w dziejach zwycięstw i tryumfów niegłośnej. Ciche walki w obronie najdroższych interesów religii, języka, własności, obyczaju, walki prowadzone w jedności i z godnością, budzącą nawet poszanowanie w oczach przeciwników, dają najlepsze świadectwo, że z upadkiem politycznego znaczenia pozostały żywoły do organizmu sposobne.

Dziejopisowie ojczyści wymowni w opisach tych chwil, w których na hasło ofiar z krwi i majątku, naród pokazywał gorącość uczuć i gotowość poświęceń się, zazwyczaj bardzo skąpi są w dotykaniu innych stron życia, że tak powiem: codziennego, kiedy upokorzenie było chlebem powszednim, kiedy wszystko cofnięte w domowe ogniska skazane na bierną nicość, bez żadnej spójni między sobą, bez cienia solidarności w najżywotniejszych interesach. Zapewne od przykrego obrazu myśl odwraca się, aby szukać w piękniejszych objawach ducha, pocieszenia i chluby — ale same dytyramby życia dziejowego niedostarczają jeszcze téj nauki, jakiejby dla nas szukać należało w prozie zwykłego biegu spraw ludzkich. — Cośmy robili w dniach czarnej żałoby? Czy umieliśmy zastosować się do położenia, w jakie nas rzuciły wypadki i wyciągnąć z niego wszystkie możebne korzyści ku ratowaniu najdroższych własności, jakich niechce zazwyczaj szanować obca władza kiedy w ich obronie nikt stanąć nieumie i nieśmie? Czy duch spędzony z pola walk orężnych umiał się skupić około innych środków mniej głośnych i świetnych, a stokroć ważniejszych? Czy cicha praca rzędności domowej, wychowania, oświaty gromadziła zasoby na przy-

szłość w którą wierzone? Wszystko są to pytania, omijane przez dziejopisów naszych, a raczej zbywane wykrzyknikami na niesprawiedliwość losu. Tymczasem kto się rozpatrzy w te chwile upadków lub przejść z jednego stanu w inny — przekonana się, że sposobność do działań obywatelskich była niekiedy łatwa, ale nikt korzystać nie chciał, wszystko się usuwało posypując głowy popiołem, i wolać przyjmować łatwą demoralizacją, niż wy dobyć siłę moralnej samodzielności, której źródłem wiara w siebie.

W życiu prywatném jak publiczném, różne bywają drogi; niewiedzie się komu na jednej, niech innej próbuje; jest to najprostsza rozsądkowa praktyka, którą wskazuje przyrodzony konserwatyzm. Nieumieliśmy nigdy być konserwatystami w wielkiem tego słowa znaczeniu. Każde niepowodzenie wtrącało w bezwładność lub też w zgubne wetowanie tego, imajnacynemi siłami, co się straciło przy rzeczywistych siłach.

Jak już napomknąłem, w dziejach naszych nowszej epoki mało sobie zadawano trudu w oddaniu tego usposobienia w jakim się naród znajdował gdy przechodzi pod nowe mu prawa i instytucye, kiedy ducha jego w obce wtlaczano formy. Nikt

nietłumaczył z jakich przyczyn skazywano się na bezwładną bierność i czy widoczne były usiłowania w utrzymaniu tych własności, co mogą być wydzierane, lecz tylko znikczemniałym, bez skrupułu odjęte. Działanie nowych praw, wpływ instytucji, obcej ludności, języka, publicznego wychowania, zasługują przecież na studia o sto procent więcej objaśniające i uczące, niżeli wspomnienia rycerskich czynów na polach bitew; samą odwagą żołnierską nieżyje i niemoże żyć żaden naród cywilizowany, lecz żyje tém, co zdobędzie pracą, i jednnością sił solidarnie ze sobą złączonych.

Niewiem czy może być ciekawsza karta jak stan kraju naszego po upadku Kościuszki? Opisują nam zazwyczaj szeroko i świetnie o tych, co kraj opuścili; lecz o tych, co w nim zostali, co przechodzili przez wszystkie formy nowej, a tak różnej od dawniej organizacyi — o tych, których kolój zmiennój fortuny najdotkliwiej cisnęła, o tych zaledwo rzuceno nic nieznaczący ogólnik.

Najświeższa książka hr. Fryderyka Skarbka: *Dzieje Księstwa Warszawskiego*, skreślona jest właśnie w tym celu, aby dzisiejsze pokolenie obznajomić z wewnętrznymi dziejami tych prowincyi, co po ustąpieniu z tronu Stanisława Augusta, prze-

szły pod berło pruskie, a następnie pod rząd króla saskiego a właściwie pod panowanie Napoleońskie; król saski bowiem będąc niejako lennikiem Francji, był oraz scisłym wykonywaczem widoków Napoleońskich dotyczących nieraz obywateli Ks. Warszawskiego w sposób lekceważący nie tylko ich interesów materialnych, ale uczucie godności, a mianowicie uczucie samoistności narodowej, które okraszane szczyptą sławy zdobytej na klęskach obojętnych nam narodów, należało do najoczywistszych złudzeń.

Można powiedzieć że w dziele tém spotykamy się po raz pierwszy z rzeczywistością, nieobjętą w buletyny tryumfów Napoleońskich, które dotąd ćmiły wszelki trzeźwy pogląd na stan kraju i jego mieszkańców: —

Jeżeli tedy ubywa nam coś ze złudzeń naszych, z drugiej strony przybywa niejedna nauka choćby tylko ta jedna: że skazywanie się na bezwładność w oczekiwaniu jakiegoś zjawiska, co jak polityczny *Deus ex machina*, wszystko rozwiąże bez trudu — należy do najsmutniejszych symptomatów upadku ducha, i nawet w najpomysłniejszym trafie, daje jeszcze najopłakańszy wypadek. — Czy chorą i wyniszczoną osobę położysz na matach, czy ją posadzisz na ry-

dwanie tryumfalnym posypanym kwiatami, niezmiętnia to istoty rzeczy.

Jak wspomniałem ze wszech względów ciekawej i nauczającej to obraz przedstawiony, zaraz w pierwszym rozdziale Dziejów Ks. Warszawskiego, w którym autor pokazuje nam kraj, społeczeństwo i rządy pruskie.

Jaki był stan tej części dawniej Rzeczypospolitej, co się razem ze stolicą dostała Prusom? Łatwo sobie można wystawić. Upadek życia publicznego, a z nim upadek klasy uprzywilejowanej, której pozostała tylko uprawa roli; przemysł w kolebce, a prawie żaden; bo nie było innych źródeł bogactwa narodowego prócz tych, któremi ją uposażyło samo przyrodzenie. Ludność nadzwyczaj mała, bo ledwie tysiąc paręset dusz na milę; miasteczka rzadkie, bez handlu, nic nie konsumujące, gdyż sami mieszkańcy trudnili się rolą, żydowska zaś ludność opierała zyski swe na rozpajaniu i demoralizacji chrześcijan. — Rolnictwo było jedynym bogactwem. — Ale i źródła tego bogactwa nie były tak świetne, więcej bowiem wynikały one z urodzajności ziemi i z wielkiej rozległości pól uprawie poświęconych, jak z przemysłu właścicieli. Zresztą znaczny wywóz zboża w najświetniejszych chwilach

dowodził tylko, że wewnętrzne zużycie było niedostateczne, że zbywało krajowi na środkach zamiany, i na téj różnorodności płodów krajowego przemysłu, która jest zasadą wewnętrznego handlu. Dochody ciągnięte ze sprzedaży zboża za granicą, nierozdzielały się między ludzi przemysłową pracą zajętych, a tylko szły do rąk większych właścicieli dóbr.

Przy takim braku wewnętrznego przemysłu i handlu przy małych potrzebach ludu, zawsze prawie źródła dochodów publicznych były nadzwyczaj u nas skąpe. Nigdy nie było skarbu publicznego, — a tak najzbawienniejsze zamiary, poświęcenia się obywatelskie, przemijały jak dym bez tego środka aby je mógł w rzeczywistość zamienić.

Każda karta historii naszej potwierdza tę prawdę.

Z przyjściem rządów pruskich nieuregulowano podatki, i niewiele podwyższono nad postanowione przez sejm 1789 r. wszakże dążnością fiskalną nieusiłowano wysysać wszystkich zasobów krajowych; owszem po starostwach, dobrach duchownych i narodowych zaprowadzono porządek i gospodarstwo.

Autor oddaje tę słuszność rządowi pruskiemu że w ogóle postępowanie jego było łagodne i wy-

rozumiały, urzędnicy pełnili powinność swoją skromnie, w obchodzeniu się z obywatelstwem grzecznie, bez upakarzającej dumy, która właśnie cechowała władze rosyjskie — lecz mimo tego lekceważono sobie słabość i brak spójni w narodzie — bo od razu skasowano dawne magistratury, na ich miejsce wprowadzono nowe, a z nimi obcy język. Z administracją poszło bez trudności, z sądownictwem nieco więcej było zachodu. Sądownictwo bowiem oparte na prawach i zwyczajach krajowych, a tём samem w związku z duchem narodu, niemogło być zmienione od razu stósownie do widoków rządu. Jakoż obok zaprowadzonych *Justitz-komissyi*, czyli sądów pruskich, zachowano obok tego sądy niższe polskie, gdzie się wszystkie sprawy odbywały po łacinie. Żeby zaś podkopać użyteczność tych sądów, zostawiono stronom wolność udawania się do jednych lub drugich. Skutkiem większej pilności i prędszego wymiaru sprawiedliwości w sądach pruskich niż polskich, strony wołały udawać się do pierwszych; gdy potóm zaś wyszło prawo, że jeżeli sądy polskie niemają dziesięć spraw na wokandzie, zwiniętymi zostaną — juryzdykcya ta ustała r. 1799. Z tego rysu można mieć wyobrażenie jak duch publiczny musiał być słabym, kiedy od niego zale-

żała obrona jedynéj pozostawionéj mu instytucyi, a on nieumiał jéj zachować. — Tak tedy lud odmienny rodem, językiem, wyznaniem religijném, obyczajami, ustawami i skłonnościami wtłoczony został w formę nowego politycznego bytu, i stał się, jak mówi autor: martwą masą, którą bez żadnéj obawy tłoczyć, przetwarzać można było, która na powierzchni wszelkie dowolne przybierała kształty i odciski....

Raptowne dokonanie zagłady cech narodowych mogłoby uchodzić za dzieło śmiałe, gdyby niewiedziano o tém, że powodzenie tego kroku łatwém było na zgnębionych i bezwładnych; bo chociaż niewygasała w duszach siła moralna, ale ta ograniczała się na tak szczupłą liczbę, że masy niedomyślały się nawet, aby na jakiejbądź zmianie ucierpieć mogły. — Zresztą część narodu przechowująca żywą tradycyę, i jedynie mogąca coś znaczyć, skazana na życie gnuśne i nieczynne, otoczone pełnami próżności i zbytków, stawała się tém mniej niebezpieczną; a wśród dobrego bytu, który za tych czasów podwoił dochody fortun szlacheckich, łatwo zacierała się pamięć przeszłości. Zaszła téż zmiana nagle w społeczeństwie reprezentującym naród. Niedawni przewodnicy bez wszelkiego zachodu ze-

pchnięci zostali z dotychczasowego stanowiska i zredukowani do zera. Wyżsi dygnitarze i urzędnicy Rzeczypospolitej straciwszy znaczenie i udział w sprawach pospolitych, ukryli się w domowym zaciszu, szczęśliwi, jeśli im czyste towarzyszyło sumienie; inni wynieśli się z kraju. Dawni wojskowi szukali służby za granicą. Mnóstwo urzędników sądowych, i tych, co mieli pomieszczenie w starostwach i dobrach duchownych, teraz inkamerowanych, zostało bez chleba i musiało szukać przytułku w innych prowincjach sąsiednich; co wyludniało kraj i tak już nieludny, a nowym panem było bardzo na rękę, gdy natomiast spodziewali się przez naprowadzenie obcych kolonistów zatrzeć właściwy charakter kraju.

Drogi to był sposób; bo osadzenie jednej rodziny kosztowało około 1000 talarów! — Celem miało być podniesienie rolnictwa, ale się pokazało, że rolnictwo mało zyskało na tém, a rząd tak wielkie ponosił koszta, że mając co innego na względzie, niemyślał zapewne aby się nakład powrócił. Kolonistom tym zawdzięcza kraj wyniszczenie lasów — wielu bowiem prywatnych idąc ślepo za przykładem, zaczęło sprowadzać Holendrów pozwalając im rudować lasy i zakładać osady. Najczęściej je-

dnak gdy właściciele po latach domagali się od nich umówionego czynszu, Holendrzy zabierali się i szli gdzie indziej szukać lasów do zniszczenia. Donacye dóbr narodowych urzędnikom i wojskowym pruskim, także miały na widoku usunięcie szlachty i pozbawienie ją sposobu utrzymania się; dawni polscy oficyaliści zastąpieni zostali amtmanami, i obcymi dzierżawcami, a stosunek ich z ludem rolniczym stawał się bezpośredni.

Trudno było oprzeć się tym środkom z góry idącym, o mającym charakter zręcznego wyzyskiwania słabości i namiętności nieodłącznych od człowieka, zwłaszcza opuszczającego ręce i ciemnego na to, co się dokoła niego działo. Autor z całego tego nienaturalnego stosunku między rządzącymi a rządzonymi, wyprowadza dwa niezmiernie szkodliwe i zgubne wyobrażenia jakie się wszczepiły w umysły krajowców; jedno, że każda władza rządowa jest siłą działającą wbrew życzeń i potrzeb narodu, z którą zawsze w sprzeczności i wojnie być trzeba; drugie, że ludzie uczciwi i majątkowo niepodlegli niepowinni się oddawać służbie krajowej, aby się w służalców niezamienić.

Nie potrzeba przekonywać jak dwa te wyobrażenia stawszy się nałogiem, przeszły w wadę

trudną do pozbycia się nawet wtedy, gdy dobro kraju wymagało aby obywatele zajmowali wszystkie urzędy. — Poszło też za t $\acute{e}$ m prędkie otrętwienie siły działaln $\acute{e}$ j ludzi mog $\acute{a}$ cych pracować w zawodzie publicznym; zaniechano kształcenie się do służby krajow $\acute{e}$ j, przez co stracono wszelkie pojęcie o stanie i siłach produkcyjnych kraju.

Możnaby przypuszczać, że jeżeli dojrzałe pokolenie żywo dotknięte, usuwało się na bok, to przynajmniej przyspasabiało młode na przyszłych obywateli. Lecz i tu zwichniony był kierunek. Rodzicom zdawało się, że dzieci ich nigdy niemog $\acute{a}$  ani powinni być użytymi do służby publicznej, więc też woleli je kształcić na przyjemnych ludzi towarzyskich. Francuzki język i literatura łatwo daj $\acute{a}$ ca się nabyć za pomocą tułających się u nas emigrantów francuzkich, składały cały zasób naukowości; języki zaś starożytne i umiejętności ścisłe, poszły w zupełne zaniedbanie. — Szczęściem ocalałe w t $\acute{e}$ j powodzi przeobrażeń, szkoły i konwikta pijarskie, zaszczeniały w młodzieży gruntowniejsze wiadomości. — Wszakże były to tylko przygotowawcze kursa do dalszych uniwersyteckich nauk; atoli na te ostatnie mało kto się puszczał, woł $\acute{a}$ c poświęcić życie rozpustnej nieczynności niż pracy

Że ten rodzaj wychowania wywierał niekorzystny wpływ na język ojczysty i literaturę — łatwo się domyśleć. Rząd obcy nie miał interesu udzielać opieki i zachęty pisarzom polskim; do katedr nauczycielskich dawał przystęp li tylko swoim. — Mała zaś liczba pozostałych z czasów Stanisława Augusta uczonych, lubo uprawiała naukę w cichości, nie miała komu udzielać postrzeżeń i wniosków swoich.... któż w takim zwątpieniu liczył na naukę?

Wprawdzie zdarzył się wówczas fenomen, jakiego niemożnaby pogodzić z intencjami pruskiego rządu; fenomenem tym było zezwolenie na Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, mając na celu utrzymywać język i badać dzieje narodu. — Lecz była to nieszkodliwa koncessya; cóż mogło zrobić Towarzystwo Naukowe, przy tak niskim stopniu wychowania młodzieży? W łańcuchu oświaty brakowało tyle ogniw, że dwie jego kończyny, nie mogłyby się zrozumieć. — Do wszystkich tych środków jakich z wyrafinowaniem używał wtedy rząd pruski, aby europejskich Indyan wyprzeć gdzie daleko na północ, było ustanowienie w r. 1797 komisji hipotecznych, które z taryf podatku ofiary powziąwszy wiadomość o wszystkich dobrach grunto-

wych i ich właścicielach, wezwały tychże do uregulowania hipotek dóbr swoich, naznaczając im prekluzyjne terminy, wysyłały komisye na grunt do zrobienia regulacyi, i wezwały wszystkich wierzycieli do stawienia się pod utratą praw swoich. — Zdawałoby się, że ugruntowanie i zregulowanie kredytu tak potrzebnego w kraju, dało powód do zaprowadzenia hipotek — lecz z późniejszego obrotu rzeczy pokazało się, że przewidzianą była przez rząd słabość nasza w nadużywaniu kredytu, a zatem i przyszła ruina nadużywających go.

Trzeba wiedzieć, że za czasów pruskich wywóz do Gdańska zboża i wszelkich surowych produktów pomnażając dziesięćkroć dochody z ziemi, podniósł zarazem wartość dóbr nieruchomości; — właściciele biorąc chwilowy ten dochód za zasadę, nadali w hipotekach fałszywą podstawę kredytowi, zapominając o tém, że każdy przezorny właściciel gruntowy, nie podług wartości hipotecznej dóbr swoich, lecz stósownie do możności uiszczenia się z długu pożyczkę zaciągać powinien. Hipoteki stały się odtąd urzędowem omamieniem, oszukującym zarówno i dziedziców i wierzycieli. Dla większej łatwości zaszargania majątku znaleźli się ajenci banku berlińskiego, którzy zleciawszy się do Warsza-

wy, wchodzili w układy z właścicielami dóbr pożyczając im pieniądze na własną ich zubożę. —

Prócz tego wypożyczano na hipoteki majątków prywatnych z depozytów sumy małoletnich; — zgoda ułatwienia były najobszerniejsze w zaciąganiu długów. Tym sposobem wszystkie prawie dobra ziemskie obciążone zostały, po większej części nad swoją wartość; — toż od chwili kiedy ze zmianą stosunków intraty zredukowały się do zwyczajnej miary, ruina stała się powszechną a majątki zaczęły przechodzić w obce ręce. —

Był to wysoki stopień niemoralności, jak mówi autor — gdy władza z istoty swojej opiekuńcza i ojcowska, poddanych swoich demoralizuje lub z ich demoralizacji korzysta; żaden pozor dobra pospolitego niezdola usprawiedliwić takich kroków. Należało bowiem rządowi ostrzedz lekkomyślnych, że drożyzna ziemiopłodów, przez chwilowe okoliczności przywiedziona, niemogła być miarą rzeczywistej dóbr wartości; — lecz niebyło to ani zamiarem, ani interesem ówczesnego rządu; a tak byt i zamożność stały się narzędziem zagłady. —

Taki obraz téj części Polski berliu pruskiemu podległej, skreślił szanowny autor, ukazując mieszkańców pogrążonych w téj otrętwiałości, która

nierozumie nawet, ani chce rozumieć co się dokoła niej dzieje, a tylko grzęźnie w zwierzęcem zaspokojeniu codziennych potrzeb, przeradzających się w zbytek i lekkomyślną rozpustę, zwłaszcza gdy znalazły podniętę w pomnożonych dochodach i łatwości dostania pieniędzy — na kredyt. Wszystkie najdroższe interesa: język, religia, wychowanie, stanowisko społeczne, własność, wymiar sprawiedliwości — oddane zostały na łaskę.... Niezdiwimy się, że sobie lekceważono tych, co tak lekceważyli spuściznę i obowiązki po ojcach wzięte.... jeszcze tak świeże w pamięci.

Stan ten prowineyi niezmieniał się w niczem, i zapewne byłby się rozwiązał okropną katastrofą wywłaszczenia polskiej szlachty, gdyby nie zwycięztwo Napoleona pod Jeną, i dalsze następstwa kroków wojennych, co przywiodły Francuzów na brzegi Wisły.....

Cała ta wojna prowadzona na przestrzeni od Warszawy do Królewca znaną jest z historyi. — Więcej by nas obchodziły szczegóły odnoszące się do ruchu sprawionego w kraju przez otwierające się dlań widoki udziałnego bytu. Lecz autor dotknął ich dość ogólnie, chociaż ku temu miał źródło niepodejrzane; bo pamiętniki Wybickiego, który

jak wiadomo, najbliżej był przypuszczony do osoby cesarza i miewał z nim rozmowy dające poznać, co ów wielki wojownik myślał, i jakie miał wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach, którym chciał być polityczny przywrócić. Sądzę, że przytoczenie kilku słów trafnych napisanych przez Wybickiego o Napoleonie odnośnie do sprawy narodu, byłoby rzuciło poważne światło na wszystko, co dla nas robił. Jeżeli je hr. Skarbek pominął, to nie od rzeczy tu je przypomnieć: „Rozumieliśmy, powiada Wybicki — że Napoleon sejm r. 1791 wskrzesi, że nam pewne da nadzieje. Ale się pokazało, że on nie mając jeszcze pewnego względem nas systemu, wychodził z nami nic nieznaczącą polityką; a często i przykro przypominał nam z Rulliera zamieszki i anarchią, która od sejmu konstytucyjnego już miejsca nie miała. Niekiedy tak nedorzecznie ten wielki człowiek mówił, iż słuchać przykro mi było; jedną tylko nam przyjemność powiedział, że w żadnym traktacie podziału nie zatwierdził.“

Jeżeli słowa cesarza wyrzęczone do deputacyi obywateli naszych w Berlinie, niezaspakajały oczekiwań narodu, któremu kazał powstawać, krew przelewać i ofiary ponosić, niby dla przekonania

się czy warto coś zrobić dlań zato; to po pokoju tylżyckim zaszły większe jeszcze rozczarowania. Wprawdzie trudno było wymagać jakichś poświęceń się ze strony Francyi, tam gdzie zachodziły inne interesa i polityczne rachuby, — ale te uwagi zimnego rozsądku nie miały wówczas przystępu do umysłów oczekujących zupełnej restauracyi.

Gdy zaś w punktach traktatu tylżyckiego, nie było innej wzmianki tylko o Księstwie Warszawskiem utworzonym z zaboru pruskiego — o wiele osłabła wiara w potęgę i wspaniałomyślność Napoleona.

Mimo tego jednak zawodu, choć ściśle biorąc nie było poprzednich obietnic, utworzenie Księstwa należało do prawdziwych dobrodziejstw; bo obywateli wyrwało z tego zabójczego otrętwienia, do jakiego byli doprowadzeni; nadana zaś konstytucya przez Napoleona, choć niecałkiem odpowiednia duchowi narodu, powoływała go jednak do publicznego życia, oddając mu w ręce reprezentacyę i wszystkie urzędy.

Autor poświęca kilka kart rozbirowi téj konstytucyi, z lekka jednak dotyka szczególnie historyczny tyczący się jęj powstania. Wybięki jako

naoczny świadek wybornie skreślił go w swoich Pamiętnikach.

Napoleon po traktacie tylżyckim przeleciał przez Polskę i nie zatrzymał się aż w Dreźnie, wezwał świeżo w Warszawie ustanowioną komisję rządzącą, aby stawiła się po odebraniu konstytucyi, a raczej żeby stawił się Stanisław Potocki i Wybicki. Ten rodzaj nominalnego wezwania, pokazujący że inni członkowie nie są potrzebni, sprawił przykre między nimi wrażenie; przykrzejsze jednak były spory o jaką konstytucyę prosić cesarza; jedni abstawali za ustawę 3 Maja, inni żądali zmian odpowiednich czasowi. Zapomniano że spór daremny, gdzie rzecz sama z góry już była rozstrzygnięta. Jakoż kiedy Potocki z Wybickim stanęli w zamku drezdeńskim w obec Napoleona i zaczęli mu dziękować za przyrzeczoną konstytucyę, cesarz na to: Wiem że jesteście nie kontenci że tylko zrobiłem Księstwo Warszawskie, ale ja interesów Francyi dla was kompromitować nie mogłem! — Poczem wzięwszy kapelusz, łamał go w ręku mówiąc: „Wszystko to jeszcze się tak połamie — macież jaki projekt do konstytucyi waszej?” — Potocki na to zaczął czytać świeżo ułożony projekt, lecz Napoleon nie dał mu dokończyć,

mówiąc: dziś wam trzeba dać inną konstytucję reprezentacyjną — poczem zawołał księcia Bassano, aby mu dyktował. Dwaj delegowani przedstawili, że w przedpokoju był prezes komisji rządzącej z członkami. Na to kazał ich przywołać, i zaczął wszystkim robić nieprzyjemne wyrzuty niezgody, dążności do anarchii, i dodał: Zniósę u was na przód poddaństwo i dam wam konstytucję reprezentacyjną pod berłem króla saskiego — i nieczekając, dalej zaczął dyktować ową konstytucję dla Ks. Warszawskiego. Dyktował ją prędko chodząc po pokoju.... Do deputacyi obracał się niekiedy i pytał czy z niej kontenta; a gdy książe Talleyrand przybył nieco później, odezwał się do niego: lubisz wygodki, a ja kończę już nadanie konstytucyi nowemu krajowi, i z wielką radością dodał: Zniosłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to mych zwycięstw laur dla mnie najmiłszy.<sup>6</sup>

Są to rysy, które wcale dobrze mogły się być w znakomitým dziele hr. Skarbka pomieścić, zwłaszcza, że pamiętniki zawsze są najszacowniejszym materiałem dla historyka; one dają życie i barwę uobecniają to, co się działo, i podnoszą interes historyczny.

Autor oceniając konstytucję, robi uwagę, że

aczkolwiek takowa różni się w zasadzie od późniejszych ustaw z współdziałaniem parlamentarnem, z tém wszystkiém podziwiać wypada, że samowładność rządów Napoleońskich tyle praw i swobód podbitym narodom zostawiała. W rzeczy samej konstytucya uznawała obok wolności wyznań religię katolicką jako religię państwa; znosiła niewolę; wprowadzała równość w obliczu prawa; utrzymywała język narodowy; wyłączała cudzoziemców od urzędów; przytém ustanawiała wojsko krajowe; niepodległość sądownictwa; dopuszczała reprezentantów do udziału w prawodawstwie; i dawała obywatelom prawo wybierać na sejm posłów, radców po departamentach i powiatach, oraz sędziów pokoju. — Pod skrzydłami téj ustawy mógł się swobodnie rozwijać duch narodowy, co było jój największą zaletą. W gruncie zaś odkładając na bok zbawienne jój wpływy, nie miała żadnych rękojmi praw i swobód przyznanych; był to rząd samowładny, pod formami i pozorami konstytucyjnymi, co może najlepiej odpowiadało ówczesnej potrzebie, a nawet i usposobieniu narodu; był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie władz niższych wykonawczych szło od władzy najwyższej. Napoleon potrzebujący ślepych swój woli wykonawców, niebyłby

przystał na żadną formę rządu, krzyżującą jego postanowienia.

Taki stan rzeczy zadawalniał jednak ówczesnych obywateli Księstwa, choć może przy téj gwałtownej zmianie, boleśnie czuć im się dały niektóre reformy. Szczególniej 47 art. konstytucyi znoszący niewolę i stanowiący równość w obliczu prawa, był więcej szumnym podkadzeniem rewolucyi francuzkiej 1789 r. niż szczerem zajęciem się dolą naszego ludu. Posłuchajmy co hr. Skarbek powiada o skutku tego paragrafu ustawy: Usamowolnieni chłopci nieotrzymawszy obok wolności, ani własności gruntu, ani zwolnienia siebie z obowiązków pańszczyźnianych, użyli téj wolności na to, aby porzucać rodzinne wioski, i pewien rodzaj wędrówki ludu po kraju odbywać. — Zerwane zostały dawne stosunki panów z włościanami, ostatni utracili opiekę pierwszych, a pierwsi przychylność i wpływ nad ostatnimi. Najgorszy zaś ten był skutek téj reformy, że w kraju dość nieludnym, zupełnie rąk do uprawy roli zabrakło, co niemało przyczyniło się do zubożenia tego kraju wysysanego przechodami wojsk i ogromnemi kontrybucjami wojennemi.

Zobaczmyż jaki po zaprowadzeniu władz i or-

ganizacji Ks. Warszawskiego okazał się stan tego kraju, będącego niedawno teatrem wojny.

Razem ze wstąpieniem Francuzów na ziemię polską, zdarzył się jedyny może wypadek w dziejach gospodarstwa krajowego, gdy bogactwo narodowe oswoobodzonego kraju tak nagle zmniejszyło się, iż pociągnęło za sobą bankructwo, nie już publicznego skarbu, nie kilku bankierów, ale całego narodu, a mianowicie właścicieli gruntowych.

Jak się to stało, łatwo sobie wytłumaczyć, gdy zważymy iż za rządu pruskiego cała zamożność kraju polegała na produkcyi surowych płodów i ich wywozie za granicę; zresztą żadnego przemysłu, ani żadnej prawie wewnątrz konsumpcyi. Owóż z przyjściem Francuzów, z oblężeniem Gdańska, i z zaprowadzeniem systematu kontynentalnego, przerwał się cały wywóz. Co było w kraju zboża zużytem zostało na liwerunki dla wojska, wielka część na składach Gdańskich przepadła, a brak rąk i lata nieurodzajne dokonały reszty, a chociaż pokój powrócił, niewróciły dawne pomyslnie stosunki. — Dopieroż jak niebyło z czego opłacać procentów z zaciągniętych sum na urojone hipoteki; jak się pokazało że wartość dóbr drogo, a najczęściej za pożyczone pieniądze nabytych, spadła —

posypały się bankructwa jedne za drugimi. Środki zaś przedsiębrane przez rząd dla ratowania obywateli jako: *juristitium* czyli zawieszenie wymiaru sprawiedliwości, następnie *moratorium* czyli zawieszenie wypłaty długów, dokonały znowu upadku tych, których całe mienie utopione było w wierzytelnościach hipotecznych. Tym sposobem bankructwo stało się ogólnem, a nędza nieuchronną. Rząd przez własnych kraju obywateli sprawowany, mógł być przy pilności i oszczędności prędko złemu zaradzić; lecz jakież to brzemię wydatku nieciążyło na kraju! to na wojsko swoje, to obce, to na zaprowadzenie nowych instytucyi; a tu od zniszczonych, i pozbawionych dotychczasowych źródeł dochodu mieszkańców, trudno wyciskać grosz, którego niebyło. —

Gdy tedy skarb publiczny niemógł wystarczyć wydatkom, a zewsząd szły utyskiwania na upadek fortun i gospodarstwa, zrobiono trzy operacye finansowe; z tych najciekawszą było odstąpienie przez Napoleona dla skarbu Ks. Warsz. 47 milionów franków, przez rząd pruski, właścicielom dóbr rozpozyczonych, którym nadano w ówczas nazwisko sum Bajońskich, dla tego, że odstąpienie onychże w Bajonie dokonaniem zostało. — Operacya ta przy-

pisywana wspaniałomyślności cesarza, była, jak mówi autor, złudzeniem, a nawet i główną klęską kraju: bo kosztowało go 20 milionów franków, które przeszły do kas francuzkich. Owe pruskie wierzytelności, lokowane na złudnych hipotekach, niemogły mieć już żadnego znaczenia: bo nawet za nie procentu by nieściągniono. Tak tedy nie był to żaden zasilek skarbu Ks. Warsz. ale przeciwnie główna przyczyna jego niedostatku i niepowetowanych strat dla kraju; wszystkie bowiem dochody zebrane od wycieńczonych mieszkańców, przelewały się do kas francuzkich. Dla dopełnienia tego obrazu niedoli przychodzi mi na myśl, trafny dowcip, powiedziany wówczas przez ministra Badeniego na te kosztowne rządy francuzkie: Prawda! zdjęto nam pęta, ale z nimi i buty.

Mimo tego wszystkiego duch publiczny ożywał się, nie tylko w Księstwie, lecz i w sąsiednich prowincjach; we wszelkiego rodzaju ofiarach nieznano granic; biedę słodzono sobie myślą, że musi być lepiej, bo wielki Napoleon czuwał; zresztą nie umiano jeszcze wtedy jak mówi autor, brać wszystkiego ze złej strony, co się zdarzało w życiu politycznym; bo gdzie wątpliwą była korzyść narodu, lub prawość zamiarów władców naszych, tam szu-

kano koniecznie powodów do usprawiedliwienia postępku i zawsze złudzeniem rzeczywistość pokrywano. Ludność Ks. Warszawskiego materialnie niedostatkami i klęskami dręczona, była moralnie spokojną i pełną ufności.

Prawie trzy lata życia miało już nowo utworzone Księstwo Warszawskie; postawione na stopie autonomii, choć nie politycznej, lecz pozwalającej swobodnego rozwijania się wewnętrznych sił tej części kraju, pomimo ubóstwa pochodzącego z zamknięcia handlu, wycieńczenia publicznego skarbu, niedostatku kapitałów w rękach prywatnych, upadku kredytu, nagłej, niezbyt oględnej zmiany stosunków włościańskich, a nadewszystko pomimo ogromnych ciężarów wojskowych, zaczęło się, wewnątrz organizować i skutkiem ofiar prywatnych, gorliwych usług obywatelskich, wychodzić z pierwiastkowej niemocy, i dawać już znaki życia narodowego. Cudownem można nazwać działanie wszelkiej niezawisłości; prowincye najbiedniejsze, najbardziej materialnie i moralnie upadłe, raz zestawione własnym siłom, z zarządem pojmującym miejscowe potrzeby, nieparaliżującym objawów życia wewnętrznego, daleko prędzej przychodzą do siebie, organizują się na trwalszych, odpowiedniej-

szych podstawach bytu, niż środkami najgorliwszej protekcyi, która obca duchowi i potrzebom kraju, wymyśla dlań na papierze najpiękniejsze nieraz teoretyczne projekta, lecz jak niezastósowana do gruntu roślina, prędko usychające, lub wyniszczające ziemię. Wprawdzie i w Księstwie Warszawskim wprowadzono niektóre obce instytucye, narzucono kodex cywilny francuzki — jednakowoż, gdy zmiany te przeszły bezpośrednio przez ręce obywatelskie kraju, zatarły się szorstkości, zmodyfikowało się wiele przeciwieństw, jedynie dla tego, że naród miał pozostawioną sobie wolność wprowadzenia tych instytucyj w sposób najodpowiedniejszy i najdogodniejszy dla siebie.

Przy takim zajęciu się wewnętrznymi sprawami, mało zwracano baczenia na sprawy polityczne Europy, tém bardziej, gdy ufność w gwiazdę Napoleońską odsuwała wszelkie obawy o los Księstwa. Tymczasem zjazd Erfurcki na którym znajdowało się dwóch cesarzów, czterech królów, trzydziestu czterech książąt panujących, z wyjątkiem jednego monarchy Austrii, ostrzegął, że na widowni politycznej, nowa gotowała się burza, mogąca Księstwu bardziej zagrozić niż się spodziewano. Jakoż w r. 1809 w kwietniu, już się toczyła w Ba-

wary wojna między wojskami francuzkiemi i austryackimi — w Księstwie tylko nikt nieprzewidywał, że na granicy Galicyi zachodniej dochodzącej o kilka mil od Warszawy, stał korpus Arcyksięcia Ferdynanda gotowy do wkroczenia. Po wydanej przez tego wodza proklamacyi w Ryczywole, rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Armia czterdziesto-tysięczna weszła w granice Księstwa na d. 14. kwietnia, a jak powiada hr. Skarbek, w d. 18 kwietnia niebyło nawet żadnej wzmianki w pismach publicznych Warszawskich, że nieprzyjaciel zbliża się pod mury stolicy. — Rada Stanu dopiero w dzień później wydała odezwę o postanowieniu bronięcia się od napaści, wzywającą obywateli do broni; co miało tę stronę smutnie komiczną, że w wielu miejscach o istnieniu tej odezwy dowiedzieli się obywatele od samychże wojskowych austryackich. — Było i innych jeszcze odezw i postanowień co nie miara, lecz te nieposłużyły na nic, tylko żeby w aktach zostały, jako dowód, że rząd wypełniał swój obowiązek, choć zapóźno. Wiadome są koleje tej całej kampanii, zapisane pamiętnymi rozprawami pod Raszynem, Górą, Sandomierzem. Autor acz niepodaje nowych szczegółów, ma jednak tę nieocenioną u historyka zasługę, że jest dokładnym,

że z jego opowiadania można powziąć jasne wyobrażenie o całej tej kampanii prowadzonej przez Księcia Józefa i Dąbrowskiego, mającej w znacznej części charakter podjazdowy, a zatem toczonéj jednocześnie na różnych punktach. — Aczkolwiek siły wojenne Księstwa były szczupłe i świeże, osiągnęły jednak niemałe korzyści, które się zredukowały do mniejszych rozmiarów; los bowiem Księstwa zostający w ręku Napoleona przycięty był do warunków traktatu zawartego w Wiedniu na d. 14 października tegoż roku. Jakkolwiek bądź szczupłe granice Księstwa powiększyły się w skutek tej wojny o cztery departamenta jako to: Lubelski, Siedlecki, Radomski, Krakowski; dwa powiaty: Stanisławowski i Sienicki, niemniej o dwa punkta ważne w obronie kraju jak: Zamość i Kraków, a w końcu przybyła Wieliczka z całym terytoryum na wspólną własność Austrii i króla Saskiego; — w ogóle nowe to połączenie przyniosło 919 mil kwadratowych i półtora miliona ludności — nade wszystko zaś wzbogacił się kraj wieloma potrzebnymi zakładami wyrobów żelaznych w Suchedniowie, Samsonowie i innych miejscach obfitych w ten kruszec. Tak powiększone Księstwo mogło być niesłychanie prędko zagospodarować się i przejść w stan

kwitnący, gdyby przeznaczenie jego nie zależało od obrotów wojennej polityki napoleońskiej; — gdyby wreszcie kraina ta była czém inném, jak zakładem wojennym dla Francyi, jak ostatnim jój posterunkiem wysuniętym na wschód i północ. Utrzymywanie armii nieodpowiedniej możności Księstwa, liwerunki, przechody wojsk francuzkich, równie wymagających jakby w nieprzyjacielskiej ziemi, coraz gorszy stan finansów, wreszcie w trzy lata nowa wojna z Rosyą, wprzód wyczerpały siły żywotne tego porodu politycznego, nim jeszcze żyć zaczęł. Przybytek kilku departamentów w pewnym względzie dodał biedę do biedy, a to głównie przez spadek wartości monety papierowej austryackiej i wywołanie jój z obiegu; wreszcie na potrzeby wojenne poszły zasoby jakie kto miał, czy w gotówce, czy w krescencyi, a tak skarb publiczny niemając źródeł dochodów, zawsze pozostawał w niemożności wykonywania tych ulepszeń, jakie tylko przez rząd mogą być wykonane, a bez których niepodobna myśleć o postawieniu kraju w bycie kwitnącym.

Nic to jednak nieprzeszkadzało dobrej myśli; bo w całym Księstwie nietylko w stolicy ale i po miasteczkach departamentowych i powiatowych wyprawiano przez cały rok uroczystości na powrót

wojsk, na zawieszenie orłów, rozdawanie krzyżów, na tryumfy Napoleona, imieniny króla Saskiego, w czém trafnie je autor porównywa do owych scenicznych obrazów okazujących się widzom po szczęśliwie rozwiązanym dramacie. Odurzano się tém, jakby z obawy patrzenia w rzeczywistość.... Szukano publicznych radości: bo w domu czekał smutek i kłopoty niedostatku.

W tych chwilach ogólnego wesela zdarzył się powód powszechnego żalu — była to śmierć Stanisława Małachowskiego nieskażonego marszałka czteroletniego sejmu. Autor z tego powodu robi smutną, lecz zresztą sprawiedliwą uwagę, że szczere wynurzenie poważania całego narodu nad grobem jednego obywatela, jest rzadkiem zjawiskiem: bo rzadką jest taka zasługa, która zawiść współczesnych pokonać, a ich poważnie potomnym przekazać może. Dla tego powodu mniej słusznym uważam zarzut zrobiony naszemu narodowi, że jest zbyt skłonny do potępienia ludzi u steru rządu będących. Jabym sądził przeciwnie, że umie czuć całą wdzięczność dla tych, co mu dobrze głową i sercem służyli; to zaś że najnotliwszy i najzdolniejszy mąż będący na urzędzie nie wszystkim może dogodzić, i nie wszystkie głosy mieć za sobą, pra-

ktykuje się we wszystkich narodach, wyjąwszy narody, które się obchodzą bez opinii o ludziach sprawujących nad nimi władzę. —

Że Stanisława Małachowskiego uczcił kraj, nie jest to wyjątkiem — bo przecież taką samą czią otoczył pamięć Ks. Józefa, Kościuszki, Staszycy — jeżeli zaś bywają niepojęte przez ogół cnoty i zasługi, nie wina w tém ogółu; ale okoliczności niedozwalających tym cnotom i zasługom pokazać się jakimi były. — Zresztą w oddawaniu pozgonnej cześci niejesteśmy skąpsi od innych narodów; za życia tylko lubimy trapić tych, co się oddali służbie publicznej w celach bezinteresownych lub zapominać o nich, kiedy już siły stargali.

Bardzo zajmującemi są te ustępy gdzie autor przechodzi i rozbiera krytycznie różne urządzenia wewnętrzne i postanowienia władz względem podatków, monopou, banku kredytowego, monety papierowej, zgoła tysięcznych środków zasilenia pu-stego skarbu. Na drodze legalnej wszystkie te sposoby niedość że niedoprowadzały do uiczego, lecz owszem do szczętu podkopywały kredyt. Jedyne dobrowolną ofiarą mogła stać rzecz publiczna w tak zniszczonym kraju — atoli do ciągłej ofiary nie-mógł się kraj poczuwać w zwyczajnym biegu spraw

ludzkich, tém bardziej, gdy po dwa kroć widział się zawiedzionym w swych nadziejach. Nieurodzaj z posuszy roku 1811 dodany do klęsk politycznych i handlowych napełniał trwogą mieszkańców; przewidywano bowiem nie już niepodobieństwo wydolań potrzebom kraju, ale zapowiednią nędzy i głodu. — Po bezskutecznych próbach ratunku, nastąpiło jawne bankructwo skarbu; wojsko, urzędnicy, niepłatni; ugody niedotrzymywane; ztąd wiara w zobowiązania się rządu, stracona. W takich trudnych przypadkach kiedy machina rządowa nie jest już w stanie funkcjonować, bywa zazwyczaj ucieczka do narodu, którego przypuszcza się do udziału w sprawie publicznej. Z tego pewnika wychodząc, można twierdzić bez wyjątku, iż matką rządów reprezentacyjnych nie jest żaden postęp, oświata, liberalizm, jakto zazwyczaj głoszą, tylko po prostu ruina finansowa. Do experymentu tego ucieczono się i w Księstwie Warszawskim. Od kilku lat niebyło mowy o sejmikach i sejmie, dopiero jak złe doszło najwyższej miary, zjechał król saski do Warszawy i nakazał zwołać sejmiki dla wyboru nowych posłów i deputowanych — poczem wydał uniwersał naznaczający otwarcie sejmu na dzień 9. grudnia. Nastąpiła téż zmiana w osobach składa-

jących ministerium; między innemi na ministra skarbu powołany został znakomitych zdolności mąż: Tadeusz Mostowski, którego czekało nader trudne zadanie; bo jeśli niepodobna mu było wyratować finansów, to należało przekonać reprezentantów narodu iż nawet ofiarą ostatniego grosza powinni byli ratować skarb publiczny. Jakoż w mowie mianej na posiedzeniu sejmowém dnia 17 grudnia sprawił mocne wrażenie na umysłach, i przekonał o potrzebie ofiar, tak dalece, iż bez żadnej dyskusyi a tém mniej opozycyi, izba poselska zamieniała w prawo najuciążliwsze podatki. Naród biorący udział we własnym rządzie, nigdy niecofa się przed ofiarami, — jeżeli widzi, że takowe są niezbędne na potrzeby kraju; w czasach tylko upadku naszej Rzeczypospolitej reguła ta nie miała ścisłego zastosowania, z powodu, że działanie przeciwnych sobie stronnictw niszczyło uczucie obywatelskiej powinności względem ogółu państwa, tak samo, jak w składzie różnoplemiennych narodowości trudno o takie uczucia dla ogólnych interesów monarchii.

Sejm ten, którego uchwały niezawodnie byłyby się przyczyniły do wydzwignienia skarbu z finansowych trudności, na krótko tylko poprzedził nową wojnę, jaką Napoleon wypowiedział Rosyi.

Co trzy lata tedy przychodziły ciężkie plagi na ten kraik, niepozwalając mu dojrzeć ani się rozwinąć własnymi siłami. Przygotowania wojenne nakazane na wielką stopę pochłoneły od razu wymożone przez sejm ofiary — wszakże bolesnemi nie były, nadzieja bowiem powiększenia się prowincjami zostającymi pod panowaniem Rosyi, budziła entuzjazm nierozłączony od chwil stanowczych w życiu narodu.

W pierwszych dniach czerwca 1812 r. przeszła Wisłę wielka armia francuzka — Napoleon z niezwykłą okazałością przybył do Poznania, ztamtąd puścił się do Torunia, Gdańska, Królewca, gdzie główną założył kwaterę. Aczkolwiek pisma publiczne milczały o celu wyprawy i nawet o wypowiedzeniu wojny, jednakowoż z tych ruchów wojsk ku granicom Rosyi można było miarkować z kim będzie walka. Nareszcie i *Monitor* zamieścił notę księcia Bassano adresowaną do kanclerza Rumiancowa, w której pomiędzy innymi punktami dającymi powód do kroków nieprzyjacielskich był i ten, że byt Księstwa Warszawskiego już w r. 1809 dawał powód do okazania nieufności ze strony Rosyjskiej, — i że Rosya tajemnie zmierza do tego, aby i samo Księstwo Warszawskie zagarnąć. Z całej téj noty pokazuje się wyraźnie, iż kwestya Księ-

stwa była bardzo podrzędna; bo gdyby inne trzy kwestye tyczące się stosunków handlowych z Anglią, były załatwione w sposób zgody, o téj nie wspomniano by nawet. Tymczasem wcale inaczej brzmiała instrukcyja dana X. Pradtowi posłanemu w misyi dyplomatycznej do Warszawy. Jest tam wyraźna zachęta do skonfederowania wszystkich prowincyi, do polegania na własnych siłach, które wsparte będą wojskami francuzkiemi. Zgoła Napoleon pragnął aby usiłowania Polaków nosiły pozór że nie od niego, lecz od nich samych wyszły. W tém dwóznaczném postępowaniu znać było jak sam nie był zdecydowanym co ma zrobić, a raczej niechciał tak zrobić jak mu jego zdrowy i bystry sposób widzenia nakazywał. Najlepiej w tym przedmiocie mogą nas objaśnić rozmowy Narbonna z Napoleonem\*). Przytaczam ten ciekawy ustęp; cesarz czytając w głębiach duszy swojej, tak mówił o wyprawie na Rosyę: „Cała trudność téj wojny mieści się w sferze moralnej. Posługując się materyjalną siłą powiększoną przez rewolucyę, nienależy pozwalać wybuchu namiętności; przywrócić Polskę, bez usamowolnienia jój, zapewnić niepodległość Eu-

\*) Souvenirs de Mr. Villemain.

ropy zachodniej, bez rozdmuchania zarzewia republikańskiego.

W tém cała zagadka.... Wojna była w ręku mojem lekarstwem na anarchią; i teraz jeszcze chcę jęj użyć na zapewnienie niezależności zachodowi; wojna niepowinna tego podniecać, com stłumił, to jest ducha wolności republikańskięj. Posłuchaj Bassana, będzie ci dużo gadał o moich trudnościach z Polską; będzie ci prawił o trzech podziałach, o planach Vergenna... Zresztą Bassano ma literackie marzenia... Kocham Polaków na polu bitwy; dzielne to plemie; ale za nic w świecie niechcę ich sejmikowania, ich *liberum veto*, ich zbrojnych zjazdów. — Czy niedosyć że mamy na stałym lądzie te szalone kortezy w Kadyxie?.... Utworzenie Polski republikańskięj byłoby, prawdziwym kłopotem... Dla tego chcę mieć w nięj obóz, a nie forum. Jednakże w Warszawie niech sobie będzie coś na kształt sejmu, aby tém łatwięj udał się pobór żołnierza. Szlachetną bronią będę walczył z cesarzem Aleksandrem — dwa tysiące dział i pięćkroć stotysięcy żołnierza obejdzie się bez kup powstańczych. Zdobę na nim Moskwę, wyprę go w głąb Azji; lecz przytém nie ścierpię żadnego klubu ani w Warszawie, ani w Krakowie,

ani nigdzie.... wcale niemam zamiaru wskrzeszać ognisk republikańskich w Europie, do tego w dwó-dziesto-milionowym narodzie, wojennym, bez prze-mysłu, położonym w sąsiedztwie Czech, téj staréj kolebce Husytów i Taborytów, w narodzie, co go-tów dopuścić się Bóg wie jakiego wybryku misty-cznego lub demagogicznego, któryby wcale niebył mi na rękę.“

Lecz jak marszałek Bassano, tak i pan de Narbonne, inaczej rozumiał tę kwestyę. — Ville-main przytacza odpowiedź tego ostatniego męża stanu, który przewidywał jakie niebezpieczeństwa zagrażać mogą wyprawie w głąb Rosyi. „Nie — Naj. Panie! — mówił p. de Narbonne — Niepo-trzeba rewolucyonować, lecz zorganizować w duchu narodowym prowincye dawnéj Rzeczypospolitéj; za-kryć armią francuzką cały bieg Wisły i Niemna, i za tym szanćcem naród przywołać do życia, który wystawi najmniej dwakroć sto tysięcy żołnierza; ty zaś Naj. Panie z środkowego punktu, czyli z dzi-siejszego Ks. Warszawskiego kierować będziesz tém odrodzeniem, i stanąwszy na krańcach dawnéj Rze-czypospolitéj możesz oczekiwać nieprzyjaciela. Je-żeli nieprzyjdzie, to jakby wygrana bitwa; tym bo-wiem sposobem uwolnisz ogromny obszar kraju

i wiele milionów ludzi. Podług mnie ten, a nie inny powinien być cel kampanii 1812 r. A dalej: Z Rosyanami mierzyliśmy się we Włoszech, Prusiech, Niemczech, i wszędzie mieliśmy nad nimi przewagę; wszakże nie wiemy czém mogą być na własnych śmieciach, silni swoim klimatem, dzikością i fanatyczną rozpaczą.“

Przytoczyłem umyślnie tę ciekawą rozmowę ażeby rzucić jasne światło na główne źródło klęski, która przyprawiła o zgubę, nietylko ogromne zastępy armii podbójczej, ale... i człowieka, co losami świata potrzasał. Poznał się i Napoleon na swoim błędzie — lecz zapóźno. Było to w roku 1813 po bitwie Lipskiej, kiedy wojska jego pobite cofały się ku Francji. Jednego dnia, w marszu, stanął cesarz na wzgórkku w bliskości Fuldy, i zawezwawszy do siebie na rozmowę starszych oficerów korpusu polskiego, długo tłumaczył im konieczność pozostania pod jego chorągwią; w końcu robił wyrzuty, że w czasie powrotu z Moskwy nie znalazł gotowych sto tysięcy żołnierza. — Na co odpowiedział mu były adjutant Ks. Józefa, Hr. Artur Potocki, że naród niemógł robić nowych wysiłków, kiedy mu niezrobiono nawet obietnicy przyszłej exystencji. Po tej trafnej odpowiedzi, która była

oraz gorzkim wyrzutem, odparł Napoleon, że będąc zmuszonym do oszczędzania swych sprzymierzeńców działał półśrodkami, a te nigdy nic niewarte (*j'ai agi par demi-mesures, et celles-ci ne valent jamais rien, et chez vous moins qu'ailleurs*).

Półśrodkami, jak sam się przyznał Napoleon, zgubiły wyprawę do Rosyi; co więcej, była to czysta komedia, którą kazał odgrywać w Warszawie za pośrednictwem złego księdza i lichego dyplomaty, jakim był Pradt, arcybiskup Mechliński. Zwołany sejm odrazu idzie drogą nielegalną, i zawiązuje się w konfederacyą, wzywającą do łączenia się nawet takie prowincye, których całość zagwarantowaną była sprzymierzonym przez Napoleona. Ile tu sprzeczności! ile złej wiary! Hasło łączenia się wychodzi z łona reprezentacyi narodu, a siły jakiemiby należało dokonać tego, pociągnęły z Księciem Józefem daleko na północ. Została tylko na bruku sama rada jeneralnej konfederacyi, niemająca żadnej władzy, niemogąca nic zrobić bez pozwolenia księdza Pradta, i ograniczona tylko do ćwiczeń krasomówczych. Trafnie zdefiniował rolę tych skonfederowanych krasomówców hr. Skarbek, gdy mówi „Pewne uczucie smutku i politowania ogarnia umysł czytając dzisiaj dziennik konfederacyi, który poda-

wał do wiadomości publicznej wszelkie czynności rady jeneralnej; bo to jest uwłaczające godności narodowej, gdy namiestnicza jego władza, lub ci, co w jego imieniu działać mają, martwą wyrazów siłę, siłą rzeczywistą zastąpić usiłują, lub gdy z zarozumiałością lub przechwalstwem zapowiadają czynny i ich skutki, do których wykonania siły i możności nie mają.“ — Wysłana deputacya do Napoleona, który był w Wilnie, nic innego nie przyniosła w odpowiedzi, tylko zachętę do usiłowań i poświęceń się; przyjęto ją jednak z entuzjazmem, niepytając czy po tych wysileniach i poświęceniach się będzie jakaś dla narodu pewność, czy téż ma on służyć za narzędzie postrachu dla nieprzyjaciół? — Ks. Adam Czartoryski jenerał ziem Podolskich przewodniczący konfederacyi, prędko poznał się na całej farsie i na początku września opuścił Warszawę dowcipnie charakteryzując czynności téj władzy bez władzy: *les graves inutilités de la Confederation*, od którego momentu, ustała nawet retoryczna jój czynność. Wszystko miało oczy zwrócone na północ gdzie się rozstrzygały losy, wszystko trwożliwie oczekiwało wypadków....

Stan ten niepewności, a raczej płonnych nadziei, utrzymywał się bardzo długo; — kłamliwe

bowiem buletyny Napoleona, chociaż niedobitki jego przerzucono nawet za Wisłę, nieprzestawały ogłaszać coraz nowych zwycięstw nad Rosyą. — W końcu, kiedy i gazety oficjalnie kłamać już nie śmiały, rada konfederacyjna wydała dnia 8 stycznia 1813 r. odezwę do wojska zagrzewając do mężstwa i wytrwałości... a za nią w trop rada ministrów ogłosiła uchwałę zwołującą pospolite ruszenie! Jeszcze raz retoryka miała pole pięknego popisu...

W pogoń za armią Napoleońską wojska rosyjskie wstąpiły w granice Księstwa Warszawskiego... Były to chwile między życiem a śmiercią — wojsko z Księciem Józefem poszło do Czech i Saksonii... Ministerya w początkach lutego opuściły Warszawę i coraz usuwając się dalej, rozwiązały się w Czechach. — Rosyjski generał Miłoradowicz odebrał klucze Warszawy, złożone mu od deputacyi miasta — i odtąd wszystkie rozkazy i rozporządzenia krajowe wychodziły w imieniu Feldmarszałka Księcia Kutuzowa, naczelnego wodza rosyjskiego. — Pierwsza odezwa uspokoiła obawy mieszkańców; bo przyrzekano kraj zabezpieczyć od klęsk wojennych i wzywano urzędy, aby funkcjonowały jak dawniej. —

Władza wojskowa, jaką zrazu zaprowadzili

Rosyanie przy zajęciu Ks. Warszawskiego, zmieniła się niebawem na władzę cywilną, którą objął tajny radca i senator Łanskoj, tymczasowy naczelnik rządu Księstwa. Odezwa wydana przeczeń jeszcze bardziej uspokoiła umysły, gdy została ustanowioną rada najwyższa, do której powołano kilka osób, znanych z zacnego charakteru, jak książę Adam Czartoryski (syn), osobisty przyjaciel cesarza, Wawrzecki i książę Lubecki. Gdy przytem nastąpiło wiele zmian na lepsze, jak zmniejszenie ogromnych podatków, zaprzestanie poboru rekruta, a nakoniec zachowanie dotychczasowego rządu cywilnego i wszystkich władz miejscowych, kraj nieuczuł żadnego wstrząśnienia, owszem dopiero po tych bezowocnych wysileniach, oddychać zaczął, lubo z drugiej strony nieprędko oswajał się z myślą żeby ten, który dotąd był panem losów świata, z którym łączyło go tyle gorących nadziei, miał zostać tylko wspomnieniem znikającego meteoru. — Nic téż dziwnego, że przejście w umysłach było powolne, zwłaszcza gdy po twierdzach stały jeszcze francuzkie i polskie załogi, a wojsko narodowe do ostatka wierne, znaczyło krwią swoją każdy krok broniącego się bohatera na polach uemieckich i francuzkich. Po wnijsciu sprzymierzo-

nych do Paryża i abdykacyi Napoleona, resztki armii polskiej otrzymały pozwolenie powrotu do ojczyzny — ogółem wróciło około 20,000 ludzi.

W obejściu się cesarza Aleksandra z wojskiem polskiem to najwięcej ujmowało, że umiał uszanować jego mężstwo i wszystkiego unikał, coby ubliżało godności żołnierza. — Zachowanie znaków i barw narodowych było niejako zarodem przyszłego politycznego życia, do którego ta cząstka kraju powołaną być miała. Jak dalece ujmował postępowaniem swoim monarcha rosyjski serca narodu, dowodzi że i Kościuszko widział w nim zbawcę, gdy w zaufaniu prosił go o trzy łaski: aby dał amnestyą ogólną; aby się ogłosił królem i konstytucyę nadał znosząc pańszczyznę, — nakoniec żeby dał urząd jego przyjacielowi Zeltnerowi. — Oprócz pańszczyzny, której niezniesiono, a tylko zatrzymano ten sam stan włościan jaki był za Napoleona, reszta życzeń bohatera spełnioną została...

Zwołany kongres w Wiedniu miał ostatecznie ustanowić porządek w zamieszanych stosunkach państw. Ks. Warszawskie niemogące się niczego już spodziewać od Francyi ani od żadnego innego mocarstwa, zwracało się z pełną nadzieją do cesarza Aleksandra, który delikatnem i wyrozumiałem

postępowaniem swoim utarował był sobie drogę w opinii publicznej. Przejazd jego przez Polskę, pobyt w Puławach, gdzie się swobodnie wynurzał z najprzychylniejszymi uczuciami dla narodu, jeszcze bardziej zwróciły umysły ku niemu i kazały się spodziewać przychylnych dla kraju postanowień na zbliżającym się kongresie.

Dalsze wypadki należą już do dziejów Królestwa Kongresowego, które w tém szczególnież zawiodło oczekiwania, że było w rozmiarach swoich szczuplejsze niż ów polityczny poród Napoleona, Księstwo Warszawskie. Spodziewać się, że autor, co z taką ścisłą znajomością stanu rzeczy, zbadaniem przyczyn i skutków, zestawieniem stosunków skreślił sześćioletnie dzieje Księstwa, — skreśli i dzieje Królestwa Kongresowego przez ciąg piętnastoletniego życia, co zapewne tem łatwiej mu przyjdzie, że urzędując na wyższej posadzie, miał sposobność poznać cały skład maszyny rządowej, chociaż z drugiej strony spotkają go niemałe trudności tak w ocenieniu osób jak wypadków. Zwolennik konserwatywnego kierunku, przychyłający się do powolnego lecz pewnego rozwijania się żywiołów narodowych, musiałby przy wypowiedzeniu bezstronnego sądu, wiele żywych wspomnień zadra-

snąć, a może i potępić jawne objawy publicznego ducha, co mając i wzniosłą swoją stronę, miały i ujemną, co parte młodzieńczą niecierpliwością, prześcigały dążność spokojną: bo wyrachowaną dojrziałych polityków i samsoniami siły zatrząsły sklepieniem. ... Bliskość téj epoki utrudnia dziś zadanie bezstronnego historyka, atoli tylko o tyle, o ile piszący badacz napadłby na niezbite dowody i na był głębokiego przekonania, że polityczna dojrzałość systematycznie czuwała nad losem narodu i że byli mężowie świadomi środków i celów, nad namiętności wyżsi, czyści sumieniem, w tém. tylko nieszczęśliwi, że niepoddano się ich powadze moralnej i lekkomyślnie inną zatknięto chorągiew....

Co do niniejszego dzieła, tyle jeszcze wypada o niem powiedzieć, że należy do rzędu pism gruntownych, świadczących o nauce i doświadczeniu pisarza; czytelnik oświeca się na każdej karcie; bo rzeczywistość ujęta i oceniona podług zdrowej życia praktyki, nie mgli się ani złudnemi barwami, ani rozdęta namiętnem tchuieniem traci na wyrazie prawdy.... Na jedno tylko możnaby się uskarżać, że autor mało ożywił swoje opowiadanie temi barwami życia, które acz stanowią główną pamiętników zasługę, niemniej jednak użyte w pe-

wniej porporcyi, wiele dodają wdzięku nawet naj-  
poważniejszej historyi. Tymczasem w dziejach Ks.  
Warszawskiego daje się czuć niejaka suchość po-  
łączona z rozwlekłością pochodzącą z powtarzania  
jednych i tych samych uwag. Być może, że sza-  
nowny autor chciał zbawienne swoje uwagi i pra-  
wdy tem mocniej wrazić w pamięć i przekonanie  
czytelników, dla tego wracał się do nich, — lecz  
zdaniem mojem raz a dobitnie rzecz wyrażona,  
robi swój skutek — powtarzanie, niecierpliwi czę-  
stokroć czytelnika.

---

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text is mostly illegible due to fading and bleed-through.

# DYPLOMACYA.

---

Baron Bignon i jego Pamiętniki o Xięstwie Warszawskiem. — Odraza do dyplomacyi. — Nigdy nieznano u nas téj sztuki. Poselstwo Działyńskiego do królowej Angie'skiej. — Dyplomaci z czasu sejmu czteroletniego. — Dzisiejszy postęp téj sztuki.

Ludwig baron Bignon, którego Pamiętniki o Polsce w roku 1811 i 1813 świeżo ogłosiło czasopismo *Revue Contemporaine*\*), był jednym ze znakomych francuzkich dyplomatów, publicystów i historyków. Urodzony w roku 1771 w Guerbaville (w dep. niższej Sekwany) odbył nauki w Lisieux i w Paryżu. Gdy zaś wybuchła rewolucya w roku 1789, a cudzoziemskie wojska zagroziły wkroczeniem w granice Francyi, zaciągnął się w szeregi ochotników. Zawód wojskowy nie odpowiadał je-

---

\*) Przekład polski tych pamiętników wydałem w Krakowie pod tytułem: *Pamiętnik Dyplomaty*.

dnak usposobieniu młodzieńca; marząc o właściwszej dla siebie karyerze, napisał wiersz do Talleyranda prosząc go o pomieszczenie w dyplomacyi dyrektoryatu. Niezwykły ten krok stał się początkiem jego wyniesienia. Jakoż niebawem mianowano go sekretarzem legacyi francuzkiej w Szwajcaryi, a następnie w tym samym stopniu przy Rzeczypospolitej Cysalpińskiej. Za rządów konsularnych był przy poselstwie w Berlinie, następnie ministrem pełnomocnikiem przy elektorze Hessen-Kaselskim.

Odtąd Bignon brał udział we wszystkich niemal olbrzymich zamiarach polityki cesarskiej. Po bitwie pod Jeną, Napoleon mianował go jeneralnym administratorem dóbr i skarbu w Prusiech, na której to posadzie odznaczył się uczciwością i talentami dobrego administratora. W roku 1808 wrócił do dyplomacyi i miał sobie dane poselstwo przy dworze Badeńskim; w 1809 roku znowu poszedł na administratora w krajach zdobytych na Austrii. W przewidywaniu wojny z Rosyą, Napoleon potrzebował człowieka, któremoby mógł ważne stanowisko powierzyć w Księstwie Warszawskim; wybór jego padł na Bignona, który w początku 1811 roku na urząd rezydenta francuzkiego

przybył do Warszawy; w 1812 był komisarzem przy rządzie francuzkim, w Wilnie; a w 1813 po oddaleniu Pradta z niedołącznie sprawowanej ambasady warszawskiej, wrócił na tę trudną posadę wtenczas, kiedy nieprzyjaciel wojskami zalewał Księstwo, a panowanie Francyi tylko tam sięgało, gdzie powiewały sztandary pułków polskich. Wstrzymać pospieszne cofanie się posiłkowego austriackiego korpusu, opóźnić wyjście polskiego wojska za granicę, a tém samém rosyjski korpus Sakena zatrudnić, aby się nie mógł z wielką armią połączyć na polach walnej bitwy pod Bautzen — winien był Napoleon zręcznej dyplomacyi Bignona, popartej nieugiętością charakteru księcia Józefa Poniatowskiego.

Z upadkiem cesarstwa Bignon oddał się pracy naukowej. Dzieło jego pod tytułem: *Porównanie stanu finansowego, wojskowego, politycznego i moralnego Francyi z innemi mocarstwami, wydane w roku 1815* sprawiło mocne wrażenie w Europie, a Francyi wróciło uczucie wyższości jej nad innemi państwami.

Za restauracyi, lubo od funkcyi rządowych odsunięty, żył w pamięci prawych obywateli i w 1817 wybrany został do izby deputowanych, gdzie zaw-

sze stawał po stronie obrońców swobód publicznych. Wtedy wyszła na widok książka jego o *Proskrypcjach*. Był to 'głos sumienia i wielkiej odwagi, osobliwie wśród okoliczności ówczesnych, kiedy wygnanie było chlebem powszednim.

Napoleon umierając przekazał Bignowi testamentem sumę stu tysięcy franków za napisanie *Historji dyplomacyi francuskiej od roku 1792 do 1815*. Przyjął to i sumiennie wywiązał się z zadania, ogłaszając tę obszerną pracę w dziesięciu tomach od roku 1829 do 1840. Dzieło to lubo ściągające krytykę na niektóre części, lecz szlachetnem uczuciem natchnione, jest zarazem utworem prawdziwego statysty, biegłego pisarza i prawego obywatela. W rewolucyi lipcowej znalazł się Bignon po stronie najznakomitszych ludzi zwyciężkiego stronnictwa; mianowano go téż natychmiast tymczasowym komisarzem rządowym do spraw zagranicznych a następnie ministrem oświecenia publicznego. Z tem wszystkim tekę tego ministerstwa piastował tylko do 27 października 1830 roku. Zostawszy prostym deputowanym do izby, zajął miejsce w szeregach opozycyi, i dzielnie stawał w obronie sprawy polskiej, nikczemnie opuszczonej przez gabinet pana

Périer. Na tém się kończą zapasy parlamentarne Bignona.

Wyniesiony w roku 1837 na godność para Francyi, przepędził resztę dni życia w milczeniu i rozczarowaniu. Towarzysząc w roku 1840 karawanowi wiozącemu zwłoki Napoleona do kościoła Inwalidów, zachorował, i w parę tygodni, to jest 6 stycznia 1841 roku rozstał się z tym światem.

Oto jest krótki żywot męża nieobojętnego nam jako doświadczonego i rozumnego przyjaciela sprawy naszej. Szczególniej pośmiertne jego dzieło: *Pamiętniki dyplomaty* poświęcone wyłącznie rzeczom polskim, z chwili tak stanowczej jak ostatnich lat dwa bytu Księstwa Warszawskiego, daje go poznać nietylko ze strony szlachetnego sposobu myślenia, lecz i z dokładnej znajomości naszych stosunków publicznych i domowych, znajomości różnie dalekiej od nienawistnych uprzedzeń zarozumiałego w swój wyższości cudzoziemca, jak od pochlebstw nie szczyrych bo interesownych.

Pamiętniki te rzucając niemałe światło na ówczesne wypadki i stosunki znane nam więcej ze strony militarnój i oficjalnej, niż w tajnych sprężynach poruszanych w gabinetach notami i oświadczeniami dyplomatycznymi, budzą uwagę czytelnika

i wymuszają na nim, że tak powiem, uznanie tej wyższości jaka się należy dyplomacyi, ilekroć takowa nie kłamstwami i przewrotnością, lecz mocą do rozumu trafiających przedstawień, zręcznych insynuacyi, przenikliwych wyrachowań, do celu zdąża. Zwycięstwa na tém papierowém polu nieustępują tryumfom na polu bitew, a chociaż najłatwiejsze bywa zadanie dyplomacyi, jeśli jej notom towarzyszy kula działowa, to przecież zła dyplomacya, choćby grozą armat poparta, może zamierzonego nieosiągnąć celu. Dyplomacya napoleońska namiętna i zarozumiała osobliwie w r. 1813, kiedy wypadało menażować sprzymierzeńców na słabiej nitce trzymających się Francyi, przekonała jakie mogłaby oddać usługi przywieszając Austryą do sprawy napoleońskiej, Austryą niedowierzającą rosnącej przewadze Rosyi i Prus stojących na czele powstania Rzeszy niemieckiej. Ta osobliwa część Pamiętników Bignona, co rozbiera szczegółowo wszystkie te czynności wyższych sfer dyplomacyi i łączy je z ostatnimi scenami dramatu odgrywającego się na ziemi polskiej, a mającemi rozstrzygnąć o politycznym bycie Księstwa Warszawskiego — niezmiernie jest pouczającą, bo nową stronę odkrywa stronę dość lekceważoną przez tych, co pisali tej

epoki historyę. Zapewne rzadko komu dostępnými były tajne archiwa ministerstwa spraw zagranicznych, rzadko téż odpowiedna znajomość gabinetowych sprzęzyn kierowała piórem; nieidzie zatém, żeby nieuznawać wpływu działań dyplomatycznych i obrzucając je sarkazmem, potępiać sztukę starą jak świat i w dziejach wszystkich narodów odgrywającą niezmierną rolę.

Opinia rozszerzona u nas, niewątpliwie w skutek ciężkich krzywd zadanych nam przez przewrotną i korsarską politykę ze szkoły Fryderyka II., wszystko złe przypisuje dyplomacyi gabinetów i z góry nagania cokolwiek mogłoby się robić w drodze negocyacyi. Czuł to i wytknął znany z obywatelskich zasług wojewoda Antoni Ostrowski pisząc żywot swego ojca Tomasza, żywot spleciony z dziejami ostatnich dni istnienia, upadku i dźwignia się narodu; gdy mu bowiem przyszło zastanowić się nad dyplomacyą usiłującą oderwać Szwecyą od sprawy napoleońskiej, co się jój nadpodziw powiodło — zatrzymał się, i te godne pamięci wypowiedział słowa: „Niechże kto teraz powie, że dyplomacya nie jest sztuką, że bez jój znajomości „obejść się może człowiek stanu? . . . Właśnie że „dyplomatycznój sztuki mało się uczyli Polacy, że

„ona nie była w charakterze narodowym, dlatego właśnie, tylekroć jęj dobroduszną stawaliśmy się „ofiarą. Wierzyliśmy każdemu: gwarancyom Mo- „skwy, aliansomu pruskiemu, obietnicom innych mo- „carstw. . . . aż nareszcie oszukani, od dyplomacyi, „stanęliśmy tak nisko, że niżej trudno. Deklamuj- „myż więc na dyplomacyę; jest to zwykłą oszuka- „nych rola i słaba ich pociecha! Wypada raczję „uczyć się tęg sztuki, nie aby drugich, jak ona „czyni, zwodzić; lecz aby bliżję znając jęj kręte „drogi, podejrżane słowa, nadal nie być zwodz- „nymi.“

Słuszny ten wyrzut nabiera tęg większję słuszności, im obficięj tajne archiwa dostarczają dziś dokumentów objaśniających czynności gabinetów w sprawach dotyczących Polski, z których nieraz się pokazuje, żeśmy zostawali w niewiadomości, co do przebiegu tych spraw w sferze dyplomatycznję; a chociaż los w szczęśliwszych momentach robił nas panami sytuacji, pozwalaliśmy się zepchnąć ze stanowiska, lub mimowiednie stawaliśmy się narzędziem lepięj obrachowanych kombinacyi.

Nietrudno o przykłady nieudolności naszję w negocyacyach w dawnjęj jak w nowszjęj historii. Przypomnijmy sobie ową delikatną misję Pawła Dzia-

łyńskiego do stanów holenderskich i do Elżbiety, królowej angielskiej, misję, mającą na celu bezpieczeństwo handlu polskiego na morzu. Z jaką niezręcznością urodziwy ów poseł stając w obec królowej mórz, groził jój potęgą swego pana, jeżeliby jeszcze i nadal odważyła się przeszkadzać handlowi polskiemu z Hiszpanią! Podobna groźba w ustach reprezentanta monarchy pozbawionego Szwecyi, — a ufnego tylko w przymierze z Austryą, potencją tak samo kontynentalną jak Polska, wzbudziła politowanie w Anglikach, w Elżbiecie gromką odpowiedź: „Spodziewałam się ambasadora, a widzę przed sobą herolda. . . . Jeżeli z podobnem poleceniem przybywasz Waszmość od Króla Imci, o czém bardzo wątpię, to mogłabym mniemać, że niewiadomy mu sposób, w jaki poprzednicy jego traktowali z Anglią. Co się zaś Waszmości tyczy, snąc żeś więcej zabawiał się książkami, niż polityką i t. d.“ — Skonfundowany ambasador tłumaczył się potem przed ministrami królowej, że gotową mowę dano mu, kiedy wyjeżdżał i kazano tylko powtórzyć. . . . Ambasada nie udała się, chociaż polityka nakazywała przeciw niebezpieczeństwu od Szwecyi szukać sojuszu z Anglią.\*) . . .

\*) Wicquefort, plenipotencyaryusz polski do Stanów

Nielepij dyplomatykowano u nas i nowszemi czasy ze sejmu konstytucyjnego, kiedy wszystkim pozawracał głowy alians z królem pruskim tak zręcznie podsuwany przez jego ministra przy dworze warszawskim, Lucchesiniego, a z naszej strony na seryo wzięty przez Ignacego Potockiego. Pełnomocnik Rzeczypospolitej przy dworze wiedeńskim, Wojna, przysłał depeszę donoszącą o chęciach gabinetu austriackiego wejścia w przymierze z Polską. Niepotrzeba było wielkiej filozofii, żeby nie postrzedz od razu jaka otwierała się sposobność działania przez wyzyskiwanie rywalizujących ze sobą mocarstw, a mających rzeczywisty interes w powstrzymaniu zaborczych dążeń Rosyi, szczególnie od strony Turcyi; lecz namiętne uprzedzenie przemogło. Ignacy Potocki zawiadujący wtenczas sprawami zagranicznymi, nabiwszy sobie głowę aliansem pruskim, pogardliwie odrzucił tę insynuację, wyrażając się, że ponieważ w Warszawie jest tylko ze strony austriackiej pan Decaché prosty chargé d'affaires, więc nie ma z kim traktować. Był to krok wcale niedyplomatyczny; po-

---

holenderskich za Jana Kazimiérza w swém sławnem dziele: *L'ambassadeur* (à la Haye 1681) poselstwo Działyńskiego zamieścić w kategorii nieoględnego mówienia.

na insynuacya niebyła jeszcze otwartem wystąpieniem; należało zatem zostawić rzeczy zwykłemu porządkowi przyjętemu w dyplomacyi i czekać na wyraźniejsze oświadczenie, które już przygotowało się w gabinecie Kaunica. Thugut, jeden z pierwszych dyplomatów austryackich, był wyznaczony na posła do Warszawy. — Wojna nieotrzymał żadnej odpowiedzi; a tak ów alians wpadł w wodę, nieprzyczyniając się w niczem do utrwalenia aliansu pruskiego, z którym po niedługim czasie osiedliśmy jak na lodzie, nagromadziwszy na siebie nie mało zemst Katarzyny, drażnionej zawczasie; jakby to projekt stutysięcznej armii na papierze, mógł być upoważniać do przyjęcia tak groźnej postawy?

Przypuściwszy nawet, żeby czynność i czujność naszej dyplomacyi nie była w stanie zapobiedz katastrofom, jakie na naród jedne po drugich spadały, o czém jednak możnaby wątpić — to przecież niezmiernie u nas rozszerzone wyobrażenie o małym znaczeniu dyplomacyi w obec faktów dokonanych orężem, potrzebuje zaprzeczenia a raczej sprostowania. Nieidzie tu o zdanie popolitéj opinii\*), zwykle nie sięgającej daleko, ile

---

\*) Jak dalece opinia ta u nas zawsze się przeciw dy-

o zdanie ludzi chcących nam tłumaczyć jakie przyczyny i sprężyny poruszały wypadkami osobliwie w końcu przeszłego i w początkach bieżącego wieku. Zazwyczaj bowiem w homerycznej prostocie widzą oni przeciwnika tylko na polu bitwy, kiedy już przychodzi do rozprawy, a nie raczą go pokazać w zabiegach przygotowujących krok stanowczy, — zabiegach, przeciw którym rozum polityczny narodu nakazywał działać, ażeby zbliżając się katastrofę zakląć, odroczyć, lub nakoniec mniej dotkliwą uczynić. Winą tu jest zapewne, żeśmy się trzymali a raczej że nas trzymano po za obrębem działań dyplomatycznych; lecz właśnie ta nieumiejętność w zajęciu stanowiska dyplomatycznego, to ciche zgadzanie się na radzenie o sobie, bez siebie, powinno było dawno być podniesionem i wytkniętem, jako jeden z niedostatków naszych mężów stanu. Tymczasem owe niewłaściwe uprzedzenie do dyplomacyi jeszcze bardziej wzrosło za ostatniej wojny, 1831 r., gdy w negocyacye z nie-

---

plomacyi oświadczała, za dowód posłuży, że śp. Adam Czartoryski, jedyny prawie z naszych mężów stanu, zdolny o dyplomacyi napisać dobrą książkę, skoro takową rzeczywiście napisał, nie ośmielił się jój wydać w kraju, tylko za granicą, po francusku i pod pseudonimem.

pobitym nieprzyjacielem wchodzona wtedy, kiedy wprzód pobić należało. Historycy powstania listopadowego potępiali ten krok i słusznie, ale w ten sposób, że kłutwą obrzucili całą umiejętność dyplomatyczną, czém większą moc nadali staremu uprzedzeniu.

Historja jednak na licznych kartach wręcz temu zaprzecza i pokazuje, że państwa nietylko niemogły się obejść bez dyplomacyi, ale że nawet zawdzięczały jój większe nieraz korzyści, niż te, jakie szczęśliwy oręż odnosił. Dowód na Hiszpanii wojującej z Ludwikiem XIV. Bitwa prawie wszędzie, nigdy jednak nie podpisała żadnego traktatu, nawet najbardziej zgnębiona, któryby jój korzyści nieprzyniósł, i tym sposobem jedném pióra pociągnięciem umiała wynagrodzić sobie straty w kilku poniesionej kampaniach. Przeciwnie znów dyplomacya napoleońska, acz oparta na zwycięstwach, a używająca w negocyacyach tonu szorstkiej impozycji wyniesionego z czasów rewolucyi, pozwalała się często wywieść w pole przez dyplomacyę państw pobitych, gładką w słowach, cierpliwą i wyczekującą. —

Jak wszystko, tak i ciało dyplomatyczne przeszło w nowszych czasach przez pewne przemiany.

W wieku ubiegłym służyło zwykle polityce osobistej panującego lub dworskiej, żyjąc prawie z dnia na dzień; — dziś zmuszone jest brać za podstawę szersze widoki, głębsze pojęcia i stałe zasady. — Widocznie uprościło się powołanie dyplomaty, raz że polityka mniej się dziś zajmuje wyłącznymi sprawami panującego lub dworu, powtóre, że jawność opinii i parlamentarne instytucje o wiele podkopywały tajemnicę dawniejszych sztuczek. Z drugiej strony umiejętność sama stała się trudniejszą. — Oprócz znajomości prawa publicznego narodów, zbadania ducha mieszkańców, wewnętrznego położenia państwa, a głównie taktu odgadywania opinii, potrzeba jeszcze niepośledniej biegłości w ekonomii politycznej, w statystyce i innych naukach socyalnych; a przytem utrzymania się na wysokości postępu umysłowego we wszystkich jego gałęziach. —

Jest to więc umiejętność niepozwalająca się lekceważyć, ani zapoznawać, jeśli przez kogo, to najmniej przez nas, cośmy nieraz padali jój ofiarą, a poszkodowani miotali przeciw niej niedołęzne pociski.

Oby tych kilka przedwstępnych uwag, — natchnionych Pamiętnikami Dyplomaty, tak znako-

mitego jak Bignon, posłużyło do sprawiedliwszego oceny umiejętności dyplomatycznej, mianowicie przez badających dzieje ojczyste. Zwrócenie bacności w tę stronę mogłoby niejeden taki fakt objaśnić, co uchodzi jakby za dzieło fatalizmu, — a w gruncie jest tylko wynikiem sprężyn poruszających w tajnikach gabinetów.

---



# FILOZOFIA MORALNA.

---

*Stary Orbis pictus i Nowy Komeniuss.* — Literatura moralno-polityczna. — W rodzaju tym mamy znakomitych pisarzy. — Autor *Nowego Komeniussa* powiększył ten zastęp. — Jego definicje. — Filozofia muzyki. — Dobra książka służy nie na jeden raz.

Bardzoby się pomylił, ktoby sądząc z tytułu, wziął *Nowy Komeniusz*\*) za dalszy ciąg lub przeobrażenie owego *Orbis pictus* sławnego pedagoga Amosa Komeniusza, który wyemigrowawszy z Czech w XVII. wieku, przytułek znalazł w Lesznie, i tam pisał swoje książki edukacyjne i religijno-polemiczne. Bezimienny autor Komeniusza, pożyczył tylko dla swych moralno-filozoficznych aforyzmów, tego, zbyt głośnego w pokoleniu uczącym się nazwiska; i jeżeli ma jakie z nim powinowactwo, to

---

\*) *Nowy Komeniusz*, w Wiedniu.

nie inne, jak że Stary i Nowy Komeniusz oba świat malują; aczkolwiek pierwszy malował go ze zwyżniej, czysto realnej powłoki jak się najpospolitszemu przedstawia oku, a drugi zajrzał w głąb' duszy i odmalował świat wewnętrzny człowieka, przymioty i własności jego serca i głowy, złe i dobre, z wszystkiém tém, co rozum działa, wyobraźnia tworzy, uczucie ożywia — zgoła ów świat moralny, w jakim się obraca wykształcona społeczność.

Jest to moralista z rodziny Montaignów, Pascalów, Labruyerów, a przede wszystkim z bliższej nam rodziny Rejów, Fredrów, Lubomirskich, Leszczyńskich, Wiśniewskich, których pisma liczą się do ozdób naszej literatury niezmiernie w tej gałęzi bogatej, zwłaszcza gdy w ten poczet wliczymy naszych pisarzy religijnych, będących wybornymi moralistami nawet z czysto humanitarnych względów.

Było więc podwójnie niebezpiecznym to przedsięwzięcie Nowego Komeniusza, wkraczać w tę krainę tak uprawną, że zdawałoby się iżby nic nie dało się powiedzieć, coby już przez kogoś powiedzianem nie było. Zaiste zastraszającą mogła być ta falanga moralistów obcych i ojczystych,

lecz nie dla umysłu oryginalnego myśliciela, który chciał snuć ze siebie, z doświadczenia długich lat, i obserwacye zdjęte bystrym wzrokiem, odnosić do medytacyi i rozważania samego siebie, wiedząc, że każdy człowiek to prawdziwy mikrokosmos, w którym fotografuje się w drobnutkich rozmiarach obszar namiętności ludzkich. W tej to księdze niezawodzącej nigdy, tylu myślicieli robiło już swoje badania nad światem, i w odosobnieniu poznało go równie, jak ów co przeżył wiek cały.

W najoklepańszym, najbardziej zużytym przedmiocie, jak filozofia moralna, można tedy być nowym, czyli nadać mu połysk nowości, byle o serwator miał własny swój sposób widzenia, zwłaszcza gdy „jeden i ten sam pomysł przez inną przedystylowany głowę w inną się przeradza substancję.“

Nowy nasz Komeniusz miał to przekonanie, kiedy pisał tę książkę, że serce ludzkie z tysiącem swych namiętności, z mnóstwem najróżnorodniejszych i najsprzecznějších uczuć i wrażeń, z swojemi wielkościami i słabościami, z niedostępnymi tajnikami zawitych labiryntów, w których gubi się wszelka mądrość i najcierpliwsza analiza, że serce ludzkie jest zbyt szerokiem państwem, aby po tylu a tylu badaniach w rozmaitym kie-

runku, nie miało się znaleźć co w niem zapomnianego, lub przedstawiającego się inaczej w pryzmacie dzisiejszych pojęć. Tego rodzaju przedmioty nie chorują na przedawnienie; każda epoka inaczej je widzi różniąc się nie tyle co do gruntu rzeczy, ile w sposobie plastycznego odmalowania. Autor w przedmowie przywiązuje wagę do tych obserwacji i radzi, żeby każdy wiek, właściwym charakterem nacechowany, miał swego Teofrasta, Maksymiliana Fredrę; zapiski ich posłużyłyby za materiał do historii ducha ludzkiego. Byłoby to coś nakształt pamiętników duszy społeczeństwa. Lecz w tém wyręczają już owi fizyologowie, anatomicowicie społeczeństw dając to pod innemi formami: — obrazków z życia, które aczkolwiek często przechodzą w karykaturę, niemniej dostarczają wiernych kopij. Wszakże dla filozofa zajmującego się człowiekiem w ogólnem znaczeniu, niebezpiecznie bywa niekiedy badać jego naturę na złym egzemplarzu, podobnie jak się to zdarzyło sławnemu księciu de la Rochefoucauld w jego Maksymach, który obrócił się w mizantropa poznawszy ludzi w téj dziecinnój wojnie Frondy i mazarinad, gdzie ze stronnictwa do stronnictwa przechodzono tak lekkomyślnie jak od kochanki do ko-

chanki, gdzie przywódcy mieli się za ludzi ambitnych, a byli tylko prostego gatunku zawieruchami. Przypatrzywszy się z bliska płaskim i drobnym namiętnostkom, komerażom, zazdrościom, intrygom pokojowym, labusiom udającym głębokich polityków, pięknym paniom mdlejącym na widok żaby, a rwącym się hetmanić zastępom — przypatrzywszy się tym nędzom współczesnym, jakżeż nie miał z góry traktować tę biedną ludzkość występującą przed nim w tak śmiesznej, jeżeli nie pogardliwej roli. Taki stan jednego stronnictwa wziął on za całą społeczność, i zaczął z dziwną przenikliwością w najnieдоступniejszych kniejach serca ludzkiego polować na najdrobniejsze poszlaki występku lub słabości. — Jego Maxymy dzięki Bogu, są tylko ujemną stroną natury człowieczej a nie samym człowiekiem.

Autor Nowego Kameniusza, aczkolwiek żyjący w epoce niebardzo budującej, nie zatrzymał się na samej powierzchni, ani to wziął za regułę, coby obywatelski sposób myślenia razilo; uważając naturę i ducha człowieka jak grunt dziewiczy, wie jakie plony może wydać słowo religii objawionój, wsparte miłością, szukania prawdy w sprawach ziemskich. Dla tego też dzieło jego utrzymuje się

w pogodnych wyżynach postrzeżeń ogólnych i czystej filozofii; nie goniąc za innemi środkami zainteresowania prócz przez żywość i obrazowość stylu i postrzeżeń, pozwala sobie od czasu do czasu uciąć dowcipnym epigramem, zaprawnym wyborną solą attycką, w czém poznać człowieka wyższej sfery, przywdziewającego maskę satyrycznego obserwatora.

W książce téj traktującej o takich przedmiotach jak: niebo, ziemia, człowiek, kobieta, żywioły, pory życia, wieczność, nieśmiertelność, los, piękność, harmonia, zmysły, rozum, pamięć, wyobrażenia, rozsądek, geniusz, uczucie, miłość własna, sumienie, radość i smutek, mowa, religia, fanatyzm, tolerancja, filozofia, literatura, matematyka, nauki przyrodnicze, estetyka, narodowość, arystokracja, szlachectwo, komunizm, rolnictwo, rzemiosła, wojskowość, małżeństwo, czystość, szczerokość, gościnność, rezygnacja, zbytek, pochlebstwo itd. z ogarnięciem wszystkich tych własności, doskonałej i ułomnej natury, jakich tu z katalogować niepodobna, spotkać się można z mnóstwem pomysłów nienależących w prawdzie do niego; lecz niemniej będących jego własnością, dla téj formy niezwyklej, szczęśliwego zestawienia, obrazków trafnie schwyconych i niezróż-

wnaniej jędrności stylu. — Te przymioty pisarskie, należące do wyższego rzędu, nieprzeszkadzają mu zajmować się przedewszystkim prawdą i trafnem jej zastosowaniem; zamiast ustawnie ubiegać się za nowością, woli być ścisłym w tém, co już znane, pomnąc, że w dziele poświęconem filozofii moralnej, gonienie za czém nowém może najłatwiej na niebezpieczeństwo narazić; od nowości do paradoxu droga nader śliska. Nowy Komeniusz nie wpadł na szczęście w manię paradoxu, dziś grasującą u nas jak zaraza.

Aczkolwiek Nowy Komeniusz składa się z oderwanych na oko aforystycznych artykułów prozą i rymem, niemniej jednak znać w nich pewną całość tworzącą dzieło filozoficzne, rodzaj encyklopedyi moralnej. Nie można powiedzieć, żeby wyczerpywał przedmiot każdy o jakim mówi; niektóre są ledwo kilku dotknięciami odprawione; rys wybitny, dowcipne słówko, zastępuje banalną gadaninę o rzeczy wiadomej. Inaczej trzebaby się było nieraz spotkać z Manualikiem poczciwego człowieka, a tego właśnie autor sobie nie życzył.

Pragnąc choć w drobnej części dać wyobrażenie czytelnikom, o sposobie pisania autora, a raczej o talencie definiowania każdej rzeczy z trafno-

ścią poglądu i głęboką nieraz znajomością natury człowieczej, przytoczymy niektóre definicje i szczególne powiedzenia. Szczególniej w definicji, bez której w ocenieniu moralnych własności i objawów, obejść się nie można, celuje Nowy Komeniusz; znać nawet, że na to wyteęza swój umysł, że mu na tém najwięcej zależy, co téż sam mówi w przedmowie: „Rozkiełznana ideologia z dzikimi systematami, pyszną filozofią, zagnały na mieliznę negacji. Długie bezkrólewie wywołuje i zapowiada restaurację prawowitego rządu. W tém przewidywaniu, co przydatniejsze na powszedni użytek doświadczenia objawy, w ścisłe ramy definicji ująć przedsięwziąłem, pomnąc jak ludzkość drogo orzeczenia fałszywe przepłaca.“ I słusznie. Z pomięszaniem rozumów, wikła się i definicja, a raczej przychodzą takie momenta, że na definicyą braknie odwagi, bo zdefiniować jest to samo, co osądzić.

Weźmy niektóre spotykane za lada otwarciem książki:

*Rospacz*, — obłąkanie bóleści. — *Nadzieja*, czém powietrze dla organu pulmonicznego, tém ona dla ducha; żywotnym zasiłkiem, ochłodą. *Nadzieja*, która żądzą strapionego kołysze, snem jest na jawie. Owa zamki na lodzie buduje, które ją i dru-

gich jeszcze przywalają. Różna, niedorzeczna, głupiemu radość. Więcej pożałowania godzien przesycony: nie ma się czego spodziewać, a boi się wszystko utracić. — *Przyjaźń*. Najwyższy stopień miłości. Kto pojął myśl Stwórcy litującego się nad upadłym człowiekiem, ten może zostać prawdziwym brata swego przyjacielem — a znajdzie drogę do świątyni bezinteresownej miłości. — Zamiast jednego fenomenalnego, rozumniej podobno, o ile można zjednywać sobie przyjaciół. — *Namiętność*. Wyskok uczucia z ogniska czystej miłości, albo z krateru niecnych pożądań wynikający. *Emulacya*. Szlachetny ducha popęd nie pozwalający mu w tyle za innemi pozostać. U nas współzawodnictwo często próżny cel sobie obiera. Biada szlachcicowi, którego sąsiadem pan możny! — *Pamięć* doznana obrazę zapisuje na stali, dobrodziejstwo na piasku. Lokalnej pamięci potrzebują szczególnie nomenklatorowie i łgarze. — *Geniusz*: talent rozumu. Wolałbym definicyą innego moralisty: *geniusz* — rozum natchniony. — *Encyklopedia* rozkłada przed tobą próbki wszystkiego co chcesz; zapytaj o towar — niema.

*Prawda* — nić z boskiej wyprzedzona substancji. — Prawdy absolutnej w tém życiu nie znamy,

bo ta, jako wynik doskonałości nie może być od naszego rozumu ogarnioną, zgłębioną. Każdy z jej promieni pod różnym padając kątem inaczej w oku naszym się reflektuje. Pryzma: młodość, miłość: wszystko upięknia; starość i nienawiść oszpeca; duch partyi wszystko przeistacza. — Jakżeż trafić do niej? Na to takim wierszykiem odpowiada Komeniusz:

„Chcesz wiedzieć jaką drogę obrać ci należy?

Rozumowi nie wierzyć, a rozum niech wierzy.“

*Piękność.* Jak siostrzyca jej prawda, piękność abstrakcyjnie zważana jedną jest i bezwzględną. Jój wiara nie w niej ale w nas samych. *Harmonia:* Jawna, lecz niepojęta kombinacja wszelkich rozmiarów i kształtów; równowaga sprowadzająca do zgody różnorodnych ciał i substancji naturę; potęgę, własność i znamię; łańcuch misterny przyczyn i skutków, ostateczności kończyny wiążący, który wszechświata koło opisuje. Wyższa intuicya, objawienia słowem wzmożona, widzi w niej impuls światu nadany na drogę doskonałego porządku — jednym słowem: Zarząd Ducha Świętego.

„Przeznaczenia swego sam człowiek sprawcą.“

„O wegetującym stworzeniu Bóg myśli; człowiek o sobie i na siebie pamiętać musi.“

*Duch*: Mieszkaniec innego świata; z Bożego umiłowania w człowieczej lepiance przebywający.

Od takich definicji i wywodów z nich wyciągniętych, lubi przechodzić nasz Nowy Komeniusz do jakiego apologu, lub wierszyka dowcipnie charakteryzującego dzisiejsze nasze wyobrażenia. Dopiero mówił o istocie ducha, teraz jakby chcąc wynagrodzić czytelnikowi suchość definicji filozoficznej, opowiada rymem powiastkę: *Magiczna latarka*. Widzimy w niej nowego Guślarza, jak nie zwyczajnym zaklęciem, lecz przez potarcie ręką, czoła wywołuje gromadę duchów:

Cóż to być może ta postać olbrzyma,  
 Co się tak bardzo napusza, nadyma?  
 Mój hierofant na to: Duch to czasu,  
 Co tyle robi na świecie hałasu,  
 Jak wiatr zawieje, odmiennego zdania  
 Wielki absolut — i świat mu się kłania.  
 Odkądże duchem stał się czas? spytałem,  
 Pan Bóg go nawet nieutworzył ciałem;  
 Przez nas duchową przyodziany szatą,  
 Niebardzo wdzięczny zdaje się być za to.  
 Co zacz znów tamten, któremu na szyję  
 Spadają niby padalce i zmięje;  
 Żar w okół zionie, a tak niespokojny?  
 — To duch stronnictwa; ludzki, bogobojny  
 Szermierz wolności, którą bierze w kluby,

A własne pod nią podszywa rachuby.  
 Za nim tuż oto duch prześladowania;  
 Biada tym, którzy niedziela z nim zdania.  
 Korporacyjny duch po tamtój stronie,  
 Kraj, świat i ludzkość, zamyka w swém gronie.  
 — A ten tak lichój odmiennój postaci,  
 Co od swych dusznych odsuwa się braci?  
 — O ten się duchem koteryjnym zowie,  
 Mało u niego i w sercu i w głowie;  
 Dla swoich tylko szczery, zrozumiały;  
 Ze wszystkich szydzi, a z niego świat cały.

Wyborna satyra! Nowy Komeniusz, umie zadawać razy, bolesne lecz nie obraźliwe — bo mierzy w rzecz nie w osobę. Takich słówek u niego pełno; przelatują one co chwila jak race oświecające okolicę. Posłuchajmy:

„Jest pewien kraj tak szczęśliwy, gdzie wszyscy z natury do wszystkiego usposobieni. Przesądne wymaganie szkolnych poświadczeń, zamyka im drogę.

„W polityce ostrożność ma swoją miarę. Kontroler kontrolera, nadkontrolery i najwyższa kontrola. — Cóż ztąd? ciężkie zawikłanie, a koszt dozoru przenosi szkodę jakiejby się można obawiać przy naturalnym dozorcze. — Nieufność w powszechności na złą myśl naprowadza, wywołuje reakcję; systematyczna, wyzywa do walki przebie-

głość.“ — Czyż to nie najwierniejszy wizerunek rządów biórokratycznych?

„Jeżeli przywiązanie do ziemi rodzinnej ma być cynizmem, wszyscyśmy patryoci. Jakżeż nazwiemy tego, który się narodowi zasłużył?“

„Heraldyk klejnotem szlacheckim handluje. Jeżeli niemasz się czém pieczętować do niego udać się zyczę.“

„Wy, którzy się zrzekacie klejnotu niepożyczonego blaskiem świecącego, naprózno usiłujecie stać się odrodnymi; pochodzenie wasze po duchu niezgodne widocznie. Ongi dobrém sercem słuchali panowie bracia pocziwój, sumiennój rady; lecz broić nieprzestawali; dzisiaj gniewają się i swoje robią.“ —

Odbieranie języka narodowi, wybornie porównywa do średniowiecznej kary, gdy język wywlekano; podobnie o antykwaryuszu powiada, „że dla niego miodem rdza wieków; wdzięk starości go rozpala.“

Jakżeż znowu głęboka mieści się uwaga w tém powiedzeniu: „Rozwiozłość niemocą ciała karana; nierządnych chłostą lichwa.“

Albo: „Lenistwo, które ci się uśmiecha jakby reminiscencya rajskiego bytu w życiu, przyprawia

cię o niemoc, nędzę, spodlenie. Niesytyś spoczynku, wiecznego się boisz.

Próżniak to kamień na drodze przeszkodny,  
Kamień, co wiecznie poziewa i głodny.

Są to wszystko strzały, więznące głęboko w celu. Dodajmy do nich jeszcze ten pocisk: „Schożdzące z pola wdziękinie, szukacie kosmetyku na odświeżenie oblicza; potrzebniejszym byłby na wewnątrz.“

„Erudycya kobięcie bardziej ujmuje wdzięków, niż nos czerwony.“

Nierzadko obok tych iskier dowcipu niewyszukanego, bo sam w ciągu przedmiotu nawija się na pióro autorowi, natrafiamy na złote ziarna pomysłów więcej jak oryginalnych: bo mających grunt prawdy, i własność, że tak powiem zapładniającą:

Czy może być szczęśliwsza uwaga, jak gdy mówiąc o sztuce, wyraża się: „Jako między niebem a ziemią przewodniczką religia, tak między człowiekiem a religią, sztuka pośredniczką usługują.“ W kilku słowach skreślone tu pochodzenie, źródło sztuk pięknych, z którego dopóki czerpią, mają znamię prawdziwej wielkości.

Jednakże jako nieprzyjaciel wszelkiej bezwzględności na ziemi, rozszerza zaraz tę myśl, która-

by się dziś wydawała zbyt wyłączną i ciasną i dodaje: „Nie idzie za tém, abyśmy za poświęconym obwodem niemieli miłościwym Stwórcy cieszyć się upominkiem; inaczéj należałoby kwiaty wszystkie na ołtarzu niepomieszczone wyplenić.“

Wyższość i zasługa mowy mówionéj nad pisaną, najlepszą jest krytyką tegoczesnéj książkomanii. „Są, którzy w ślepym zarozumieniu surrogat stenograficzny nad mowę oralną wynoszą. Słowo myślą brzemienne, nie szuka, nie maca, na uczynku chwyta, wkrada się, wnika, owładnie. Żaden jéj zarys jakby w malowaniu *al fresco* nie może być poprawionym, pokrytym. Papier cierpliwy, słówko nie cofnione. Sąd zdrowy pisarza przekreśla, prostuje, gładzi, dopóki nie będzie dobrze; do zwerbowania pomysłów czasu téż nie brak. Jaki stosunek między mową a pismem, taki zachodzi między pisarzem a mowcą. Ów siłą umysłu porywa — tamten, bodaj czytana książkę wysmarzy. Temu, co więcéj rozważał i czytał, niż pisał, snadniej o jeden posunąć się stopień i dopiąć sztuki działania.“

Co mówi o filozofii Hegłowskiéj, nieoszacowane; krytykę jéj dał w kilkunastu wierszach i od razu w to uderzył, co jéj cały fundament stanowi.

Wprawdzie Hegel sam się zaślaniał, że tylko jeden z jego uczniów rozumiał go, a jednak niezrozumiał. Jeżeli to prawdziwa mądrość — mówi Komeniusz — powinnyby swe dobrodziejstwo na cały świat rozlać. Mamyż jój szukać w niemieckiej szkole, jak niegdyś w Memfis u Izydy? Tymczasem widzimy, iż narody czynu, poświęcenia się, moralnie wielkie, mniej się zatapiały w badaniach co jest cnota, a cnotą się wzmagały, ograniczając się na jój pełnieniu. Głęboka spekulacya filozoficzna z niemocą zwykle w parze chodzą. Rozumujących Greków opanowali praktyczni Rzymianie; a mądre Niemcy politycznej nawet jedności niezdolały osiągnąć. Francuzi, Anglicy, Polacy w wynajdywaniu systematów filozoficznych mniej szczęśliwi, w pokoju i wojnie publicznie celowali cnotami.

Rzuciwszy wyborych kilka myśli o Historji, sprowadził ją do tych trzech kategorii:

„W starożytności ogół negował indywidua. Rzym wszystkie narody.

„W średnich wiekach szczegóły negowały ogół i sobie nawzajem. Narody negowały jedne drugie.

„W nowój historyi indywidua, szczegóły i ogół, szukają harmonii. Narody między sobą zgody i pokoju. A dzisiejsza epoka zapowiadać się zdaje

panowanie prawa narodów, które dotąd do zło-  
żnych życzeń tylko należało. Na to powinno się  
zanosić; ale jakże jeszcze do tego daleko! Jak  
Rosya szanuje prawo narodów, mamy przykład  
na nas samych. —

Pod artykułem o Zarządzie publicznym, napo-  
tykamy na śliczne marzenie przyjaciela wiecznego  
pokoju, które jest najtrafniejszą krytyką dzisiej-  
szych rządów. Nowy Komeniusz radzi wyrozumieć  
wolę samego Boga w rozporządzeniu natury, co do  
narodów. Każda z jój (natury) dzielnic zakreślone  
sobie mając granicę charakter swój zachowuje —  
a wszystkie w ścisłej harmonii ze sobą zostają, rada  
być sama dla się ukonstytuowaną, czemużby naro-  
dowość jakowa na drugą nastawać miała? Połą-  
czenie mniejszych z większymi, własny interes i sym-  
patyeby dokonały. Wziąwszy za przewodnika na-  
turę, zważać należy na ducha czasu. Jak w świe-  
cie fizycznym ruch materji, tak w moralnym duch  
jego nieprzestannie rotacyę odbywa. Duch w swym  
pochodzie coraz inną wyradza ideę, która w pe-  
wniej epoce absolutnie panuje. Opierać się idei na  
nic się nie przyda. Gdyby się tej drogi trzymano,  
to jest żeby chciano iść za duchem czasu, powiada  
Komeniusz, wojna stałaby się niepodobną chyba.

między dzikimi. Prawo publiczne narodów i wojny, zostałyby polityki niepolitycznej tradycją. Jakie to wielkie Wszechmocnego królestwo, — a prawa swe w dziesięciu zamknął paragrafach! Do rozwinięcia ich i przestrzegania niebędzie potrzebnym ów zastęp, rzesza pasożytna, a tak znarowiona, że się wynosi nad tych, którymby służyć miała. Do Pana Boga wysoko, do monarchy daleko; pośredniki postanowione ażeby nam drogi oszczędzić, stokroć ją przedłużają; falanga na ubezpieczenie różnorodnej posiadłości, zrekrutowana, siłę żywotną wycieńcza. Polityka, skarb i kredyt publiczny nie będą w ręku żydowskim. Cały kraj byłby skarbem, polityki tryumfem, dzięki zasadzie narodowości.“

Słowa te widocznie pod wpływem obecnej chwili pisane, niemniej zawierają fundamentalną prawdę, która niedawno znalazła tak wymownego apostoła w księciu Gratrym marzącym również o pokoju dla ludów europejskich, w chwili, kiedy cztery miliony żołnierza stoi pod bronią, zapewne nie dla bratniego uścisku.

Żeby zacząć nową erę, potrzebaby kilkowiekowe krzywdy naprawić, i dać głos tym, którzy go niemają — wtenczas sprawa wytoczyłaby się

przed trybunał opinii, — stanęliby atleci słowa — a któż zaręczy, czy od argumentów nie przyszłoby do szabel? Jak tu pogodzić tę wróżbę pogody, z tą duszącą atmosferą nabitą jak butelka lejdejska. Czyż w każdej piersi nie nagromadziło się tyle nienawiści, tyle tłumionych zemst, że prędzej, później iskry wypadną, i nie zagasną aż we krwi? Nieprzeczę, w czerwonej kąjeli obmyta Europa wydelikatnić może, jak owa okrutna kokietka Elżbieta Batorówna, co podług pieśni gminnej myśla się krwią ludzką żeby być piękniejszą. Najbliższa to przyszłość dla marzycieli wiecznego pokoju, którzy dodawszy do swego dzieła epitet wieczności, może kiedyś kosztować będą jego owoców.

Ze wszystkich kwiatów dających się uszczknąć w tém dziele, możnaby zrobić zupełną antologię, i dać ją za wzór szczęśliwych wyrażen się, w stylu zwięzłym, przejrzystym; choć nieraz dla swojej lakoniczności utrudzającym; zwłaszcza dla tych, co przywykli żeby im wszystko autor wypisywał, i nie narażał na łamanie głowy. Wodnistość ma swoich nielubiących myśleć admiratorów; lecz jędrny lakonizm, biorący sobie za przestrożę słowa Pisma Ś.: „Pomnijcie, że z każdego słowa liczbę zdać będziecie musieli,“ poleca się admiracyi wieków.

Rzadko dziś, kiedy wszystko się śpieszy, spotykamy książki pisane z taką dystynkcyą, takim obmyślanym wyborem, z takim atycyzmem w najlepszym smaku, i wstrzemięźliwością, daleką od suchości, a będącą znamieniem bogatych zasobów myśli. Przymioty te zewnętrzne ujmują; a sama rzecz zawsze prosta i prawdziwa, aż do najsubtelniejszych postrzeżeń, trafia do przekonania i oświeca. Nie można jednak powiedzieć żeby Nowy Komeniusz wszędzie był równy; jedne bowiem przedmioty krótko odprawia, nad innémi szerzej się rozwodzi, i w takich to natrafić można na całé nowe widoki. Rozumiem tu artykuły o sztukach pięknych, a mianowicie całą dedukcyę o filozofii muzyki, nie w ogólnikach, lecz w ścisłych formach rozumowania i przykładów zamkniętą. Nieśmiemy sądzić, nieznając muzyki, jak dalece autor jest wynalazcą swego systemu; lecz czytając ten ustęp, czuje się że wszystko co powiedział, wysnuł ze siebie.

Zresztą bogaty materyał w téj książce zawarty, nieda się ani streścić, ani opowiedzieć; czytelnik tylko przebiegając codziennie choćby po parę kartek, znajdzie pobudkę do rozmyślań, jaką nie zawsze spotka w dzisiejszych książkach, które raz przeczytane, nietylko nieprzyciągają do siebie, ale

ulegają zapomnieniu. Słuszne więc Nowy Kome-  
niusz może mieć prawo znaleźć się w każdej biblio-  
tece obok Żywota Reja, Fredry Przysłów i Wiszniew-  
skiego Charakterów, jako plód umysłu głębokiego,  
poważnego, znającego świat i człowieka w teorii  
i praktyce.

---



# HISTORYO-ROMANS.

---

Romantyczna rewolucya. — Brak kompozycyi w utworach literatury. — Historya Wilczka i pięciu jego synów. — Anegdota o Józefie Potockim Hetmanie W. K. i o Piramowiczu. — Napoleon w rejteradzie z pod Moskwy i poświęcenie się polskiego szlachcica.

Od czasu szkoły romantycznój nastąpiła wyraźna rewolucya w rodzajach literatury. Ten i ów usiłując być oryginalnym, a nie mogąc inaczej tego dopiąć, wynajdywał jaką nową formę dla swojej nie nowój myśli, i ztądto powstały rozliczne rodzaje poematów dramatycznych, romansów dramatyzowanych, liryk dydaktycznych, aż do historii, która zazdroszcząc fantazyi i życia romansowi, znalazła sobie rodzaj nie będący ani historyą, ani romanssem.

Ponieważ dawne rodzaje literatury, czy to od Greków i Rzymian wzięte, czy w średnich wiekach

powstałe, czy pożyczone ze wschodu, mają swoje nieśmiertelne wzory, a oraz obowiązujące prawa — nasz wiek silący się aby coś nowego stworzyć, na tém poprzestał, że te rodzaje pomieszał ze sobą, podobnie jak dziecko mięsza powycinane z kartonu drzewa, domki, krówki, góry i wody, i z nich sobie układa widoki, ale tak fantastycznie, iż z dachu wyrasta sosna, na szczycie góry widać morze i pływające okręty, a konie i woły pokazują się w obłokach. Porównanie to zbyt może jaskrawe, oddaje jednakże ten rys zmysłowego lenistwa dostrzegany w niedołęstwie formy dzisiejszych pisarzy. Jakby umyślnie ten i ów obiera sobie rodzaj, mający coś pożyczonego z kilku odrębnych rodzajów, i płodzi dzieło niekształtne, dla tego, że niechciało mu się dobrze przetrawić materiału, że żałował uronić cokolwiek z téj surowizny, jaką nagromadził. Skwapliwość do pisania książek ma w tém wielki udział; a że książka im grubsza tém pokupniejsza, więc autor pakuje w nią co się zmieści, chociażby mozaika ta niczém nie trzymała się ze sobą. Przeciwnie materiał dobrze przetrawiony, przybiera kształt jednolity, objęty w znanych już i uświęconych rodzajach literatury. I tak jeżeli materiały nadają się do historii, powstanie

dzieło czysto historyczne; jeżeli należą do codziennych objawów życia towarzyskiego a przytem rozbudzają poetyczną fantazyę, powstanie poemat lub romans — jeżeli nakoniec katastrofą jakąś znajdzie się, co naprowadzi na charaktery pełne i niepospolite, a przytem potrafi o idee interesujące żywotnie dzisiejszą rzeczywistość — powstanie dramat, lub tragedia. — To pewna, że surowy materiał kiedy się dobrze strawi i przejdzie w organizm autora, zawsze wyda organicznie rozumne dzieło — jak znowu wszelka surowizna nieprzetrawiona, niestrawne daje wypadki. Jest obowiązkiem najświętszym krytyki upominać się o to u piszących, którzy płodząc bezkarnie, przyzwyczajają czytelników do przestawiania na tém fuszerstwie sztuki. Spojrzyjmy tylko na sztuki Korzeniowskiego przedstawione na scenie. Znakomity ten z wielu względów pisarz dramatyczny, rzucił się w jakiś rodzaj pośredni, co nie jest ani ściśle dramatycznym, ani ściśle powieściowym. W każdej jego sztuce spotkamy się z jakimiś ustępami nic a nie nie mającemi związku dramatycznego z całością, a tylko przyczepionemi na pajęczej nitce analogii moralnej z główną treścią. Lecz i to mniejby wadziło, bo co niepotrzebne, łatwo daje się wyrzucić; wszakże

daleko więcej grzeszy brakiem wewnętrznego organizmu w scenach, które idą po sobie jak coraz inne obrazki zakładane w tereoskopie. Wszędzie panuje przypadkowość, a nie konieczność, ta żelazna konieczność będąca warunkiem utworu dramatycznego. Dla tego wielka część jego sztuk jest zbiorem obrazków wybornie nieraz zdjętych ze społeczeństwa, a nie głęboko przemyślaną i przetrawioną kompozycją dramatyczną. Fredro aczkolwiek niema świeżości Korzeniowskiego: bo czasy, które przedstawiał straciły dla nas w części swą świeżość, ale zato jakież to mistrz tak w kreśleniu charakterów i typów, jak niemniej w tworzeniu organicznej całości! Wszystkie sceny jak tam obmyślane, jak powiązane ze sobą loiką konieczności; jak jedna sytuacja wpływa z drugiej, jak każda rola zmierza do ostatecznego celu, niepozwalając sobie żadnych wyskoków na manowce, które uchodzą w powieści, ale na deskach teatralnych pobudzają widza do największej niecierpliwości.

Z tego przynajmniej względu, literatura nasza bynajmniej nie jest w postępie; czuć w niej pośpiech, chwilowość, gorączkową chęć produkcji, a nie wytrawność długotrwałą. Publiczność przyzwyczajona już do czytania wszystkiego co się

drukuje, czyta, ale nic prawie nie zatrzymuje w sobie; bo i cóż może zatrzymać, kiedy tylko jedna ciekawość bywa drażniona, a inne władze umysłu i serca niebiorą udziału. Utwory silnego organizmu, mają wyłączny ten przymiot, że całkiem opanowują, podbijają czytelnika; ułamkowa klejonka nigdy nie zdoła tego dokazać. Ależ zato — nieraz słyszałem to tłumaczenie — ależ zato — dzisiejsi pisarze przynoszą nowe myśli, nowego ducha, nowe studia brane z natury. Nieprzeczę temu, trafiają się te nowości, cóż po tem, kiedy ujęte w formy tak wątle, kiedy taki w nich brak organizmu i harmonii, dwóch wielkich przymiotów twórczości, że się ulatniają jak para.

Rewolucya romantyczna, jak mówiłem, ułatwiła niezmiernie zawód autorski: bo go zwolniła od obowiązków kompozycyi, od pilnowania ścisłego prawideł przywiązanych do różnych rodzajów literatury. Każdy chce być swoim prawodawcą, niesłuchać innéj powagi prócz swojej własnéj. Niepodległość ta może być bardzo zaletną, ale tylko w pewnym względzie, kiedy jéj towarzyszy rzadki geniusz, twórczy talent; zresztą niepodległość ta bardzo chwalebna w zdaniach, w zapatrywaniu się na wypadki i ludzi, zastósowywaniu pojęć pewnych

do potrzeb społeczeństwa, zgoła w tém, co płynie z nas samych, z głębin ducha; lecz nigdy w tém, co wyłącznie należy do dziedziny sztuki. Pomysłów nie brak wielu ludziom wykształconym i prostym, tak jak im nie brak uczuć najgłębszych i najsilniejszych — a dla czegoż nie wszyscy są i mogą być pisarzami? Oto dla tego, że nieposiadają tajemnicy wydania ich w takim doskonałym kształcie, aby drudzy z przyjemnością i z zapałem mogli się z ich myślami i uczuciami zespolić. A więc jest jakiś tajemniczy dar osobny, bądź z przyrodzenia dany, bądź zdobyty nauką, a najlepszy gdy łącząc jedno i drugie, każdą myśl, uczucie, całość, odlewać umie w kształtach tak skończonych, tak harmonijnych, tak wyczerpujących swój obszar wyobrażeń, że nie tylko czujemy się zaspokojeni, ale tak podbici, tak oczarowani dziełem wysokiego kunsztu, iż zniewoleni jesteśmy przyznać, jako ten lub ów pomysł, nie mógł znaleźć szczęśliwego wyrazu na ziemi.

Jakżeż od tych wymagań, starych jak świat, dalekim jest dzisiejsze księgoróbstwo, które napisało sobie kodex nadzwyczaj łagodny, wzięwszy za godło: *pro publico bono!* Pod tém to godłem produkować można najnudniejsze i najniestrawniejsze

tomy, zawsze pełne intencji szerzenia zdrowych, moralnych rad; zaszczepiania uczuć i wyobrażeń rodzinnych, słowem powtarzania rzeczy najoklepańszych. Trzeba jeszcze wiedzieć, że ogólna potrzeba książek popularnych, otworzyła szerokie pole gadułowcom wszelkiego rodzaju do nawodniania naszej niwy literackiej, z jakiegokolwiek rodzaju; biorą kilka szczegółów, zdań, obrazów i te rozpuściwszy w morzu słów niepotrzebnych, podają ludowi — zapominając, że lud smakuje tylko w treści, podniesionej, ubarwionej fantazyą, jemu właściwą, nie zaś prozaicznym nudnym morałem, o który tak łatwo.

Owa to chęć popularyzowania literatury przyczyniła się także niemało do ciosów jakie literatura ponosi. Wielu sobie wyobraża że chcąc być popularnym, trzeba być innym jak wzorowi pisarze starożytni i nowożytni. A jakże się wzięść do tego! najłatwiej — oto pisać od niechcienia, bez wielkiego kłopotu o plan, o wykonanie, o rozumny wybór rzeczy, krytyczny przesiew materiału nagromadzonego, o ugrupowanie szczegółów, aby ważniejsze naprzód wyszły, podrzędne ustąpiły w cień — słowem nikt się nie troszczy o pożytek i przyjemność czytających, z téj przyczyny, że większość

przywykła już do téj strawy, połyka ją bez korzyści, ale nic nie mówi, wierząc na ślepo w kodex nowego Parnasu.

Wytknięte powyżej niedostatki naszego piśmiennictwa odbiły się częścią w nowój książce pseudonima: Bonawentury z Kochanowa, wydanej pod tytułem: *Wincenty Wilczek i pięciu jego synów*, czyli: Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego wieku i początku dziewiętnastego stólecia. Niedostatki te są jednak mniej rażące w tém dziele, z tego powodu, że autor usiłował nadać mu formę pamiętnikową, wielce dziś wziętą dla niezależności od żadnych prawideł; w miarę bowiem jak się cisną wspomnienia, można je spisywać, i przelatywać z jednego do drugiego przedmiotu. Wszakże zastanowiwszy się nad naturą tych wspomnień po większej części nie osobistych, tylko wyszukianych z dokumentów i książek, można zapytać autora dla czego nie napisał trzech osobnych utworów? I tak jeden mógł zawierać opowiadanie, potoczne i szczegółowe dziejów od początku panowania Augusta III. aż do epoki upadku Napoleona — drugi, wspomnienia osobistych zdarzeń, których autor był świadkiem — a nakoniec powieść z historii Wilczka i jego pięciu synów. — Tymczasem

wszystko znalazło się razem zmięszane i historia wygląda na bladą powieść, a powieść i pamiętnik na niepoważną historyę. Zachowanie linii granicznej między temi rodzajami, byłoby pracy autora użyczyło rzetelnj wartości szczególniej co do prawdziwój historyi o Wilczku, która podniesiona fantazyą, rozgrzana uczuciem, dałaby przepyszny obraz starca znoszącego z religijnem poddaniem się śmierć pięciu synów. — Tymczasem zdarzenie to wzięte z rzeczywistości, utopione zostało w mnóstwie szczegółów z historyi naszj, po większj części znanych, a do tego opowiedzianych mianowicie w opisach festynów dworskich i narodowych, sposobem oficjalnej relacyi gazeciarskiej, z wszelką dokładnością afiszową. Jeżeli autor miał zamiar podać historyczne wspomnienia w kształcie pamiętnika, mógł był to inaczej zrobić i miał ku temu wszelką łatwość, a to wprowadzając starego Wilczka na świadka, albo aktora zdarzeń. Tej wolności niktby mu nie miał za złe, jak za złe nie można brać autorowi Pamiętników Michałowskiego, że wynalazł takiego pana Bartłomieja, i przyciął go zupełnie do miary wyobrażeń, jakie chciał w nim upersonifikować. Właśnie wybornie nadawał się Wilczek, ażeby w nim odbiły się wyobrażenia większości

narodu: szlachetne, pełne trudu, i silnych ofiar z mienia i najdroższej krwi. Charakter niezłamany nieszczęściami domowými i publicznými byłby zajaśniał w całej wielkości i obudzał w czytających to głębokie uczucie moralne, że prawdziwa nieskalana cnota niesięga tutaj po ziemskie nagrody, ale w samej sobie znajduje zapłatę. Wilczek pięciu synów poświęcił, umierał — nie widząc owoców poświęcenia się — a jednak dusza jego czuła się spokojną; czyjeś winy okupywał tą ofiarą i spełnił powinność chrześcianina powtarzając: Boże, bądź wola twoja! za każdym ciosem, który ranił serce ojca, gdy go dolatywała wieść o śmierci którego syna.

Cała ta powieść o Wilczku rozsypana między opisami historycznymi, przygniecioną została ich ogromem, i wcale zdaje się niepotrzebnie przerywać tok opowiadania. Streszczę ją w niewielu słowach. Wilczek młodym chłopcem dostał się na dwór Hieronima Wielopolskiego, starosty krakowskiego, który był ożeniony z Potocką. Oddany do szkół w Krakowie, uciekł z nich i przystał do konfederatów barskich, po skończonej zaś ruchawce wrócił znowu na dwór Wielopolskiego starosty, ożenił się i miał pięciu synów i córkę. Wszakże nad

życiem jego zawisła tajemnicza przepowiednia zrobiona mu, gdy jeszcze będąc konfederatem, dawał jałmużnę jakiéjsz zebrzącej cygance w Częstochowie; ona to przepowiedziała Wilczkowi: Biédny, pięciu będziesz miał synów — wszyscy od kuli polegną!

I spełniło się. Jeden z synów służący w legionach ginie od kuli murzyńskiej na San Domingo; drugi, w pruskim wojsku pod Jeną; trzeci, na polu Raszyńskim; czwarty, w przeprawie na Berezynie; a ostatni sam sobie odbiera życie w Warszawie. Matka tych synów napisała wiersz, w którym zamknęła ich dzieje:

Szczęśliwą jestem choć w późnej siwiźnie  
 Żem pięciu synów oddała ojczyźnie,  
 Adam pod Jeną, Jakób w Berezynie,  
 Felix w Domingo, Franciszek w Raszynie  
 Michał czując się do hańby nie zdolny  
 Sam się zabija. . . . .

Rozdzierający to ustęp o tym Michale. Młodo wstąpiwszy w szeregi robił kampanię hiszpańską, rosyjską i francuzką, powróciwszy z resztkami nie-dobitków wstąpił w nowoorganizujące się szeregi Królestwa Kongresowego. Surowe i dzikie postępowanie W. Księcia przechodzące zwykle granice karnośći wojskowej, niemogło się zgodzić z uczu-

ciami mężów, dla których honor wojskowy był prawie wyznaniem; ciągle obelgi i poniżania uzbroidły niejedną rękę, że w rozpaczy sama targnęła się na swoje życie. Z téj liczby był i ostatni syn staro Wilczka, służący w randze rotmistrza. Autor tak opowiada tę scenę: „W maju 1816 roku, poranek był piękny, świeciło słońce, na niebie pogoda, ale na ziemi gotowała się burza. Na placu Saskim wojsko stało pod bronią. Uderzono w bębny, muzyka zagrała, pokazał się W. Księżę z licznym sztabem; przebiegł szeregi w milczeniu, poczem stanąwszy na boku rozpoczął się defil. Z początku wszystko szło dobrze; w tém wprawne oko wodza ujrzało pomyłkę w chodzie; zatrzymał kolumny, przywołał jenerała i pułkownika, i gdy słów nieszczędząc zaczął ich łajać, a pierwszy chciał się usprawiedliwić, drugiemu łyzy w oczach stanęły, jednego odepchnął, drugiego porwał za szlifę. W téj chwili spostrzegł bladą twarz stojącego na boku Wilczka, a w oczach jego upatrzywszy wyraz nienawiści, a może i groźby, postąpił kilka kroków ku niemu i chrapliwym głosem zawołał: „Co dziś ich spotkało, to cię jutro czeka.“

„Michał Wilczek przez cały dzień w gorączkowym był stanie, wieczór z ojcem przepędził u ma-

tki: smutny, mało mówiący, na zapytanie: co mu jest? odpowiadał, że chory, że go głowa boli. Powróciwszy do domu zastał swoich kolegów, z którymi razem mieszkał, już rozebranych; oni się wnet pokładli, on zasiadł do stolika, i długo w noc pisał; gdy skończył, koledzy jego od dawna spali. Nad rankiem przebudził ich strzał, i ujrzeli Wilczka całego krwią zbroczonego, leżał na ziemi; już nieżył — odebrał sobie życie!

„Przed domem, w którym czyn samobójczy co tylko dokonany został, zatrzymał się starzec, spojrzął w górę: „Okiennice zamknięte, śpi — pomyślał — niechę go budzić.“ I usiadł na kamieniu, a dobywszy z kieszeni różaniec zaczął odmawiać paciorki. Otworzyły się drzwi od kamienicy, wyszedł z nich młody wojskowy, poznał starca, byłby może chciał ująć niepostrzeżony, ale się z nim Wincenty Wilczek przywitał, pytając: „Czy Michaś śpi jeszcze?“ — „Śpi,“ — odpowiedział młodzieniec; serce mu się ścisnęło, podał rękę nieszczęśliwemu ojcu, poczem niemogąc więcej wymówić słowa, oddalił się czemprowadzając. Mijały kwadransy, coraz się większy pomnażał ruch na ulicy, a w domu panowała cisza, nieodmykały się okiennice. Długiem czeka-

niem znużony Wilczek, wstał z miejsca i poszedł na górę.

„W niewielkim pokoju złożono trupa na łóżku, miał głowę przykrytą chustką, i w koło niego stało kilkunastu towarzyszków broni, obok łóżka klęczał starzec. Oczy jakby mgłą zasłę; zda się iż nic niewidziały, lecz w nich niebyło: bo źródło wyszło oddawna. Lekkie poruszenie ust świadczyło, że odmawiał modlitwę i siwą głowę korzył przed Panem Zastępów; a kiedy po niejakiem czasie powstał o własnej sile: bo silny jest ten, który oderwany od ziemi, żyje tylko w Bogu: „Spełniło się przeznaczenie moje — rzekł stłumionym głosem — Boże bądź wola Twoja!“

To zdarzenie o Wilczku i jego pięciu synach wsnute w dwutomowe historyczne opowiadanie, zajmuje w niem zbyt szczupłe miejsce, zwłaszcza będąc skreślone zbyt ogólnymi rysami i dość zimno, jak gazeciarskie doniesienie. Ma jednak być podstawą całej książki, podstawą tak mało usprawiedliwioną, że i sam autor tłumaczy się w przedmowie w tych słowach: „Może niejeden zapyta dla czego wspomnienia moje pod nazwą Wincentego Wilczka wydałem? Odpowiem, iż on mi najwięcej do nich materyałów udzielił, a ponieważ w naj-

ważniejszych wypadkach chwalebny miał udział, czynnie do nich należał, nikt mi za złe nie weźmie, iż imię jego z ukrycia, skromności utajone wydobędę i potomności oddam.“ Zapewne że nikt nie miałby za złe autorowi, gdyby był pokazał nam Wilczka działającym i wmięszanym w wypadki opowiedziane w książce, jakto robią nieraz pisarze powieści lub pamiętników, wkładający w usta głównej osoby relacją zdarzeń, w których brała udział lub była ich świadkiem, a nawet i takich, o których przypuścić można że mogła wiedzieć. Lecz tu inną metody trzymał się autor; opowiada bowiem historię narodu tak jak ją zebrał z dokumentów i książek, mięsza własne uwagi i zdania, a zstępując niekiedy z wyżyn dziejowych, wprowadza ustępy o staroście Wielopolskiej i jej dworze, gdzie się z Wilczkiem spotyka. Dla tego osoba zacnego starca i jego synów znika w tym ogromie zdarzeń, odnoszących się do wyższego rzeczy porządku. — Jestto zatem niemała wada w kompozycji dzieła, gdy to, co ma być głównym jego punktem, staje się podrzędnym. Mimo tego uchybienia, część czysto pamiętnikowa mieści wiele ciekawych szczegółów zebranych przez autora bądź z opowiadań Wilczka, bądź z innych podań, a nawet z wła-

nych wspomnień. Szczególniej co do czasów Pruskich i Księstwa Warszawskiego spotkać się można z zajmującymi ustępami; tego zaś powiedzieć trudno o ustępach z epoki Sasa i Stanisława Poniatowskiego, albowiem co przytacza jest tylko powtórzeniem znanych opisów w pamiętnikach, a jeżeli trafiają się jakie anegdoty nieznanne, to nie wydają się prawdopodobnemi jak owa o Józefie Potockim, który będąc u Augusta III. na balu, gdy dawano wieczerzę po północy, nieprzyjął jej z kilkoma innymi panami mimo zaprosin królewskich. — Dla czego Ichmościowie niechcecie z nami wieczerzać? zapytał monarcha. — Naj. Panie odpowiedział Potocki — już jest po północy, piątek zaszedł, w którym to dniu kościół zakazuje mięsnych potraw używać. — Poczém ukłoniwszy się, wyszli. — Nieprzeczę, niepodległość i buta naszych panów była wielka, ale z drugiej strony wiadomo jak etykieta dworu saskiego była wymagającą i ścisłą, jak wreszcie ton panujący na tym dworze, trzymał zawsze w pewnych korbach winnego poszanowania i oddalenia najzuchwalszych nawet możnowładzców. Zdaje się więc niepodobieństwem, aby króla spotkała podobna niegrzeczność połączona z reprimendą o niezachowanie postu.

W pierwszej części bardzo zajmujący i świeży obrazek znajdujemy w opisie osób składających towarzystwo warszawskie bawiące się rozmową i rozpamiętywaniem dawnych czasów. Są tu ciekawe anegdoty o księciu Józefie, o Krasickim, o Piramowiczu, o Karpińskim, Kopczyńskim, Staszicu itd. Szczególniej zdarzenie Piramowicza, maluje piękną duszę chrześcijańskiego kapłana. Ksiądz Piramowicz będąc proboszczem w Kurowie, poszedł na przechadzkę. Zatopiony w myślach daleko gdzieś zaszedł, gdy napotkał ubogą niewiastę, niosącą małe dziecko na ręku, w tak nędznym i opłakanym stanie, że mu łzy w oczach stanęły. Chciał ją do probostwa wziąć z sobą, ale pomiarkował, że odległość była wielka, a wieś do której dążyła tuż spostrzegać się dawała. Miał kilka złotych przy sobie, te ubogiej oddał; ale ona była prawie obnażoną, a chłód wieczora coraz się bardziej czuć dawał. Co w takim razie począć? Poszedł w zarosła zdjął z siebie koszulę i okrywszy nią biedną matkę; zawstydzony, jakby zły popełnił uczynek, czemprędzej do probostwa kroki swoje obrócił. — Nieuwierzycie panowie, mówił dobrodusznie Piramowicz, w jakim byłem ambarasie, w zapiętej sutannie nikt dorozumieć się niemógł, że pod nią ko-

szuli nie masz, ale że jój nie masz jakże mojej gospodyni powiedzieć? a u niej od wszystkiego klucze. Na szczęście spostrzegłem w koszu bieliznę świeżo przyniesioną z prania; dalej więc do niej się skradać, a gdy nikogo niebyło w izbie, porwałem za koszulę, włożyłem na siebie i odetchnąłem. Nie koniec na tém; nazajutrz rwetes w domu, gospodyni krzyczy że jój z kosza ukradziono koszulę, i hałas wielki, szukają złodzieja; cała rzecz wydać się musiała.

Żałować należy, że autor więcej oficjalną i buletynową pisał historję, niż dawał rysy towarzysztwa ówczesnego; historia bowiem wymagałaby czegoś więcej jak kronikarskiego notowania faktów, lub opisywania wjazdów i ceremonij publicznych, dlatego każdy ustęp mniej ogólnikowy a trafiający się tu i ówdzie, jedyną ma wartość. W opisie zbyt powierzchownym wyprawy Napoleońskiej na Moskwę, bardzo miłą była niespodzianką scena z rejterady. — O milę od Smorgoń — powiada autor — w bok gościńca mieszkał w dziedzicznej wiosce szlachcic, nazwiskiem Szymon Falkowski. Była pora ranna, dzień mroźny, ale pogodny, kiedy chłopskie sanie zajechały przed dwór, wysiadł z nich wojskowy, a spotkawszy się na ganku z samym go-

spodarzem: „Jest pan Falkowski w domu?“ — zapytał. — „Ja nim jestem, odpowiedziano — proszę do środka — z kim mam honor mówić?“ — „Z Wąsowiczem, oficerem służbowym z orszaku cesarza Napoleona, odrzekł na to nieznajomy; — chwała Bogu że pana w domu zastaję.“ — Niebyłbyś mię pan w domu zastał, odezwał się na to Falkowski, gdyby mi odniesione rany nieprzeszkadzały wsiąść na koń; ale proszę się rozgościć, czém mam panu służyć?“ — Przedewszystkiem przystąpmy do rzeczy — przerwał Wąsowicz — wiem kto pan jesteś; wiem że twój ojciec zginął na Pradze; a jakim był ojciec, takim i syn być musi. Mówmy bez ogródki: niedobitki nasze cofają się, cesarz dziś jeszcze do Wilna wyjeżdża; wielkim jednak gościńcem napchanym naszymi maroderami i napastowanym od Kozactwa niepodobna mu jechać; pan jesteś miejscowym, udaję się więc do niego abyś nam dał przewodnika, któryby Naj. Pana bocznemi drogami mógł przeprowadzić.“ — Falkowski zamyślał się trochę; poczem otworzył drzwi do drugiej izby: „Kasiu! zawołał — dajcieno wódkę i zakąskę — a wyszedłszy na ganek: „Jurek! krzyknął na całe gardło, przygotować budę i trójkę do niej z duchą; pójdą dwa szpaki i gniada.“ Niebawem weszła

sama pani, za nią przyniesiono tacę z wódką i zakąskami — i w czasie gdy gospodyni domu z Wąsowiczem rozmawia, gospodarz co chwila wchodzi do izby i wychodzi — aż sanki zajeżdżają przed ganek. Wtedy ukazał się Szymon Falkowski w prostym kozuchu i czapce baraniiej, z borsuczą torbą przez plecy i rzekł do zdziwionego Wąsowicza: „Kolego, prosiłeś o przewodnika, w tak ważnym razie na nikogo spuścić się nie mogę, sam przewiozę i na miejsce dostawię.“ Zerwał się Wąsowicz, ścisnął go za rękę — tymczasem żona rzuciwszy się mężowi na szyję zaczęła płakać, dzieci wbiegły do izby, poczepiały się do ojca, a widząc płaczącą matkę same się rozplakały. Uściskawszy i pobłogosławiwszy żonę i dzieci, wybiegł na ganek: „Jurerek dawaj konie, zawołał siadając z przodu na sianie, ty zostaniesz, ja sam powiozę. — A gdy Wąsowicz już był w budzie, gwizdnął i tęgim kłusem ku Smorgoniom pojechał.

Noc była ciemna, kiedy troje sań ujechawszy z pół ćwierci mili gościńcem wileńskim zwróciły się na prawo i zapuściły w gęste bory ciągnące się prawie bez przerwy, aż ku samemu Wilnowi. Kto-by je był napotkał, czyżby odgadnął, iż pod tą prostą budą okrytą rohożą znajduje się pierwszy

władzca świata — siedział w niej jednak Napoleon mając przy sobie Duroka; Falkowski wioził cesarza, a obok niego na koźle Rustan mameluk. W drugich odkrytych saniach jechał Caulincourt z hrabią de Lobau, w trzecich generał Lefebre Desnouettes z szefem szwadronu Wąsowiczem. Falkowski znając w lasach najmniejsze drożyny, wywijał się pomiędzy nimi jak wąż, zatrzymywał na mały wypoczynek w małych wioszczynach, a dobywszy nieraz z torby wódkę i kawał wędliny, posiłkował cesarza i dwór jego. Nazajutrz nie społkawszy nikogo po drodze, wjechał do Wilna około południa przez Ostrą bramę, a przejechawszy miasto, stanął na Pohulance przed domem Frolanda, gdzie książe Bassano z generałem Hogendorpem oczekiwali już na cesarza.

Gdy Napoleon wydaje rozporządzenia do armii, a przygotowują dla niego pojazdy do dalszej podróży, Falkowski przy swoich koniach stoi na mrozie i sam niewie co dalej począć. Wtém ujrzał przechodzącego przez dziedziniec Wąsowicza, zawołał nań i przypomniał, że czeka dalszych rozkazów. Wąsowicz pobiegł do cesarza i wnet potem wprowadził do niego Falkowskiego. Napoleon kazał mu podziękować przez Wąsowicza; zapytał

jak się nazywa i czy ma synów? Gdy odpowiedział że ma dwóch, cesarz zapisawszy jego nazwisko w pularesie oświadczył mu, aby po skończonej wojnie przyjeżdżał z synami do Paryża, a on o całej rodzinie niezapomni i los jej zabezpieczy. Poczém kazał mu wypłacić dziesięć napoleondorów. Falkowski przyjąć niechciał pieniężnego daru, ale gdy mu Wąsowicz wytłómaczył, że się niegodzi łaski monarszej odmawiać, zgodził się z wolą cesarską. Oddano mu przytem kartę bezpieczeństwa aby nie był turbowany pó drodze: „Zda mi się ona, ale od Francuzów, odezwał się Falkowski — co się zaś tyczy Rosyan, mam na sobie lepszą kartę bezpieczeństwa, która mię od nich ochroni. — A rozpiąwszy kożuch, ujrzano pod nim mundur oficera rosyjskiego z dwoma krzyżami. Trzeba bowiem wiedzieć, iż Falkowski służył dawniej w pułku tatarskim formowanym na Litwie i robił kampanię włoską pod Suwarowem a pod Friedlandem ciężko ranny, wziął dymisyę i wrócił gospodarować w domu.“

Wieleby się znalazło podobnych anegdot przechowujących się w podaniach różnych stron naszego kraju. Autor mógł być z nich więcej korzystać, a w takim razie byłby uniknął potrzeby uciekania się do źródeł powszechnie znanych. Niemożna je-

dnak powiedzieć, żeby między dokumentami przytaczanymi przez autora nie znalazły się ciekawe kawałki — owszem bardzo dobrze są zestawione i zebrane, — lub też zachowane w przypisach — tylko, niedość wyrozumowany plan książki, odbiera im rzetelną wartość. Jeżeli czytelnik spodziewa się podług tytułu znaleźć powieść, tedy się omyli, znajdując historję — a znowu z pierwszych kart postrzegłszy że ma do czynienia z historją, także się omyli gdy się zetknie z powieścią. — Koniec końców pomieszczenie wyobrażeń o rodzajach literatury, pozbawia niejednen utwór téj wartości, na jakaby zasłużył, pilnując się wprawdzie starych, trudnych ale rozumnych prawideł.

---



# HISTORIA POLSKA.

---

Co zrobił Lelewel dla historii? Encyklopedia wiadomości historycznych. — Polacy w cudzych krajach. — Dla czego dawniej uczeni nasi dzieła swoje wydawali za granicą? — Autobiografia Lelewela. — Postęp nauk historycznych.

Od lat kilku księgarz Żupański w Poznaniu dobrze pojmujący jakie zadanie ma księgarstwo w literaturze, stał się wydawcą pism historycznych Joachima Lelewela, który od lat pięćdziesięciu z górą uprawia niwę historii ojczyściej; niezmordowany badacz, rozgmatwujący tyle niepewności i faktów, dat i osób, i nierzadko rzucający pełne światło na zamierzchłe stosunki i życie przeszłości. Najgłówniejsza publikacja, nosząca tytuł: *Polska dzieje i rzeczy jej*, obejmować będzie siedem sporych tomów, mieszczących w sobie nietylko przedruki pism Lelewela dawniejszych, ale i wiele prac nowych, lub dotąd nieogłoszonych drukiem.

Ze zbioru tego wyszedł teraz trzeci i czwarty tom, mieszczący wiele rozpraw wyświecających dzieje nasze, tak pod względem wewnętrznego ustroju, jak obyczajów, gospodarstwa, toż archeologicznych zabytków. Oderwane te na pozór traktaty nowością postrzeżeń i poszukiwań budząc interes, nieprzystają spływać się w jedną całość narodowego życia, przez co nładają ogromniejszy zakres i znaczenie nauce historii, po której wymagamy dziś czegoś więcej niż suchych dat, oficjalnych relacji, lub ograniczania się na samem rozprowadaniu dzieł panującego księcia; jakby życie narodu zewnętrzne i amysłowe należało do jakiej innej kategorii lub tylko w jednej zamykało się osobie?

Za przewodnictwem tego znakomitego badacza widokrąg historii naszej rozszerzył się u nas znakomicie, i zaczynamy ją pojmować i obrabiać na sposób historyków Niemiec, Francji i Anglii. Ztąd postrzegamy jak zamiast ogólnych historii lub historii pewnych epok i osobnych panowań, zazwyczaj dotąd dotyczących jednej tylko strony politycznej narodu, i to w sposób dość ciasny, bo najczęściej niewzględniający relacji zagranicznych, kierunków i gry polityki europejskiej — powstaje u nas częściowe poszukiwanie rozdziałające się na

osobne gałęzie mające związek z historią. Kościół, prawo, polityka, sztuka wojenna, geografia, numizmatyka, archeologia, szkoły, gospodarstwo, zwyczaje i obyczaje, wszystkie te gałęzie jednego drzewa znachodzą powoli osobnych badaczy, poświęcających swoje usiłowania na odgrzebywanie i odgadywanie dawnego świata, — co choć należy do minionej i przerwanej przeszłości, mimo tego nieprzestaje pociągać ku sobie i przyświecać dalszym kolejom. Na tej to nauce kształci się i wyrabia duch narodu, a głównie utrzymuje się na wysokościach, z których mu schodzić niewolno.

W dwóch powyżej wspomnianych tomach czytaliśmy rozprawy: Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej; Paralellę Hiszpanii z Polską; Dostojność i Urzędy; Herby w Polsce. — Najnowszy zaś tom świeżo wydany, o którym właśnie zamierzam pomówić, jest pierwszym w całym tym zbiorze i tworzy niejako małą encyklopedyę wiadomości podręcznych i najpotrzebniejszych dla każdego, ktokolwiek pracuje w ojczystej historii, lub w tej nauce rozpatrzeć się pragnie. Suche daty, lakonicznie zebrane i ugrupowane fakta, gołe nazwiska, tablice genealogiczne dostarczają materiałów do grubego tomu. Są to dawniejsze notaty naszego hi-

storyka, dopełniane wprawdzie; lecz nietyle wzbogacone nowými poszukiwaniami, żeby już nic nie zostawiały do życzenia. Sam on w chwalebnej sumiennosci swojej ostrzega o tém w ciekawym wstępie zdającym sprawę z jego półwiekowego autorskiego zawodu, gdy mówi:

„W powszechności mając głównie na celu gromadzić i dostarczać jak największą ilość dat, nadmienić one dla przypomnienia świadomych rzeczy, a dla mniej świadomych rzeczy, aby służyć mogły za przewodnika i wskazówkę do rozpatrywania dziejów. — Tym końcem została uporządkowana zbieranka wyciągów z Jana Bielskiego, z Lengnicha, z kalendarzy, z Niesieckiego i różnych kompedjów, pożyczanými czasem słowami powtórzona, zimno, obojętnie, byle rzecz i datę wskazać. Na to zbytniego mozołu, zdawałoby się, nie było potrzeba; a jeżeli w rozkładzie abecadłowym ludzi znamienitych dostrzeże kto łatwe Niesieckiego przewodnictwo, niech raczy zweryfikować wymienione daty i sprostować gdzie zaszły w nich uchybienia lub omyłki: bo takowych pewnie nie braknie.“

Następnie dodaje autor, że artykuły tomu pierwszego w wielkiej części umieszczone były w Atlasie historycznym panny Reginy Korzeniowskiej, —

który pozostał nieuzupełniony i wydany przed laty dwudziestą ósmiu, dziś do rzadkości należy.

Kto wie, jaki jest u nas niedostatek podręcznych słowników i encyklopedyi, mianowicie w zakresie nauk historycznych, ten z radością powita tom pierwszy *Polski, dziejów i rzeczy jej* Joachima Lelewela, w nim bowiem znajdzie zgromadzone niezbędne daty i fakta, podług których oryentować się może w wielkiej massie historycznego materiału, a nawet pomagać pamięci, nielicząc najpowszechniejszego użytku, przecz to ułatwienie: że kto nieposiada drogich i rzadkich kronik i herbarzów, książka Lelewela dostarczy mu daty, fakta, a nawet głównych rysów dawniej organizacyi Rzeczypospolitej.

W tej myśli spotykamy w tym tomie następujące oddziały: 1) *Dziejopisarstwo polskie*. Autor trafnymi uwagami zagaja ten ustęp powiadając, że na rnskich kronikarzy wpływali bizantyńscy kronikarze, na polskich niemieccy, co odpowiadało duchowi cywilizacyi idącemu to od wschodu, to od zachodu. W pierwiastkach kroniki nasze przepelnione były poezją i sentencjami — później zredukowały się do suchych, jałowych rocznych zapisów czyli annałów. Peryod ten trwał do XIV. wieku.

Założenie akademii krakowskiej ściągnęło uczonych i piśmiennictwo ożywiło się, jednakże dziejopisarstwo ojczyste, aż prawie do końca XV. wieku (1470.) nieprzychodziło do życia. Dopiero stosunki z Włochami, jak mówi autor, ulepszyły łacinę i płynność kronikarskiego pióra rozwinęły. Zapewne, lecz nie tu jest główna przyczyna, bo przecież stosunki z Włochami były dawniejsze i nieprzerwane — dla tego sądziłbym, że raczej nagłemu ruchowi odrodzenia się, który i same Włochy owionął, przypisaćby można, że i Polska drgnęła nowym światłem, a jeżeli nie równocześnie, to jedynie z powodu, że promienie wychodzące z ogniska głównego ruchu, później dochodziły do niej. Również jeżeli mi wolno zrobić uwagę, język łaciński nie dla tego, że był „dyplomatycznym i naukowym,” wstrzymał przez wiek cały (od 1450—1550.) język polski od wystąpienia na pole historyczne, ale dla tego, że był głównie językiem kościoła, który jak wiadomo w duchowieństwie skupiał wszystkie promienie światła cywilizacji. Odkąd umiejętność stała się świecką, a taką zaczyna być od połowy XVI. wieku, odtąd i piśmiennictwo przez używanie języka narodowego chce okazać swoją niezawisłość.

Po krótkim tym wstępie przychodzi chronologiczny spis dziejopisów polskich i obcych o Polsce piszących; podzieleni są na peryody, odpowiednie powstaniu, kwitnieniu lub upadkowi sztuki historycznej. — Wielce to dogodny obraz dla każdego poświęcającego się porządnym studiom; przy każdym bowiem historyku umieszczona jest krótka wiadomość, o czém głównie dzieło jego traktuje i jaka wartość onegoż. Kilkanaście kart tego opisu niezaprzeczoną ma wyższość pod względem dokładności i znajomości rzeczy, nad książką Łuk. Gołębiowskiego: O dziejopisach polskich. Idąc tą wskazówką, łatwiej będzie dopełnić opuszczenia niektóre, mianowicie co do bibliograficznej ścisłości. — To pewna, że wskazawszy historyczne źródła i oceniwszy takowe krytycznie, wiele można się przyczynić do obudzenia zamięłowania w nauce historii ojczystej — jakżeż bowiem często spotyka się zakłopotaną młodzież niewiedzącą od czego zacząć i jak się pokierować w wyborze i studiowaniu historycznych źródeł.

2) *Dziesięć upłynionych wieków dawnej Polski* czyli chronologia do obrazów dziejów. Oddział ten podzielił autor na: polityczny i naukowo-piśmienny zawód. W pierwszym, od początku do

końca exystencyi Rzeczypospolitój zapisane są ważniejsze zdarzenia porządkiem panowań; w drugim, przychodzą wymienieni znaczniejsi uczeni, wszelkiego rodzaju pisarze i mężowie w rozmaitych zawodach wstawieni, ze wzmianką roku ich urodzenia i śmierci. Ustęp ten lubo mniej zdawałby się potrzebny, zwłaszcza gdy w następnych oddziałach wyliczeni są obszerniej wszyscy uczeni i ludzie znakomici, jednakowoż ma to za sobą, że uczący się historii może z łatwością obejmować ile każda epoka i jakich wydawała mężów.

3) *Obraz dziejów polskich.* Jest to treściwie opowiedziana historia naszego narodu, podzielona na peryody i panowania. Szczegółów wiele, wniosków a mianowicie konkluzyi stanowczych skąpiej. Zdawałoby się, że w miejscu téj suchej opowieści, potrzebniejszy byłby pogląd, na ducha każdej epoki, na stan cywilizacyi, a mianowicie jakim wpływom winno było to państwo, że w swoim czasie wzniosło się tak wysoko. Rzucając tego rodzaju światło na minione wieki, tłumacząc to, co przy dzisiejszych wyobrażeniach zdaje się nieraz tak trudnym do pojęcia, to jest działanie kościoła na władzę i możnowładzców, tak silne, że przy braku ścisłego praw czuwania i policyi, summa

zbrodni i nadużyć niebyła może większą jak dzisiaj, słowem, rozwikłując jasnymi poglądami te przeszłości tajemnice, grupując obok tego stan polityki, wyobrażeń, dążeń innych państw europejskich, byłby autor rzeczywistej odpowiedział potrzebie, i nakreślił niejako plan prawdziwych wyobrażeń o naszej przeszłości, rozumie się nie z punktu dzisiejszych namiętności lub uprzedzeń; lecz z faktów badanych sumiennie, których on jeden z naszych historyków posiada największy obszar. Ucząca się młodzież znalazłaby w takim rysie jedyny klucz, jedynego przewodnika; fakta mniej więcej oderwane, bez przyczyn głębszych i dalszych skutków wyliczone, ubogacają wprawdzie pamięć, ale niekształcą jeszcze moralnie, niedają kierunku całemu życiu. Można by tu odpowiedzieć, że wprzód potrzeba się uczyć faktów, aby z nich dopiero uczący się tworzył ogólne pojęcia o duchu epoki, znaczeniu ludzi i o całym pochodzie dziejowym; lecz gdy tej wysokości myśli i szerokiego poglądu trudno wymagać po uczącym się, słuszną jest by go wymagać po najpierwszym historyku narodu.

4) *Opisanie krajów Polskich.* Rozdział ten najznamienitszą i najlepiej skreśloną część tego dzieła stanowi; widać że autor wpadł na przed-

miot przez który zyskał sobie europejskie imię; wiadomo bowiem, jaką wagę w świecie uczonym ma jego jeografia średniowieczna. Pierwszy raz znajdujemy w podręcznej książce wyliczone najdawniejsze karty jeograficzne polskie, niemniej cały szereg pisarzy jeografii; następnie przechodzi autor do krain z jakich się Polska składała, wykazując historycznymi datami, kiedy które prowincje przybywały lub odpadały, niemniej w skutek jakich wojen, koligacyi lub traktatów powiększały się lub zmniejszały granice Rzeczypospolitój. Warto by odtąd do wszystkich opisów Polski, a raczej do jeografii elementarnych wcielony został ten wywód, który najczęściej pomijano. Również wyborna jest tabela rzek polskich.

Dalsze ustępy tego opisu zawierają niezmiernie potrzebne szczegóły razem zebrane, a traktujące o zamożności i produktach kraju, o ludności, duchowieństwie, skarbie, sile zbrojnej, o dystynkcyach, czyli tytułach i orderach. Trudniej być bardziej szczegółowym i dokładnym w tak szczupłych ramach. Czytelnik znajdzie tu nie tylko organizację dawnego wojska Rzeczypospolitój, ale i opis mundurów, tak wojskowych jak cywilnych, czyli obywatelskich.

5) *Stan i urządzenie Rzeczypospolitej.* Tu przychodzą artykuły o Rzeczypospolitej i jej konstytucyi, o królu, szlachcie, dostojnościach i urządzeniach, sądach i sądownictwie, obradach narodowych, senacie, izbie poselskiej, o liczbie senatorów i posłów; szereg ten zamyka tabelaryczny wykaz wszystkich sejmów, gdzie się takowe odbywały, pod czyjsem marszałkowstwem, co na nich uchwalono, i przez kogo bywały zrywane. Z wielką dogodnością tych czytelników, którym obcą jest terminologia i organizacja Staropolska, wytłumaczone jest tu znaczenie takich np. sądów grodzkich, ziemskich, podkomorskich, sądów wojskowych, marszałkowskich, referendarskich, nadwornych, kapturowych i t. d., sejmy extraordinaryjne, konwokacyjne, koronacyjne, konfederackie, dokładnie są zdefiniowane i odróżnione. Szkoda, że do uzupełnienia tych nieocenionych wiadomości, niema jeszcze dodanych spisów wszystkich biskupów, wojewodów i kasztelanów, niemniej starostw, wiele to bowiem wyjaśnia czytanie dawnych dokumentów, gdzie tak często tytuł tylko bywa wymieniony, zamiast nazwiska rodowego.

6) *Nauki i światło-piśmiennictwo.* Ta część dzieła także niepośledniej wagi. Autor kreśląc stan

oświaty, zaczyna naprzód od wyliczenia pisarzy i dzieł dających wiadomość o naszej literaturze, następnie mówi o szkołach, bibliotekach, drukarniach — niemniej o języku polskim, gdzie wskazuje wszystkie najdawniejsze zabytki piśmienne, z przytoczeniem źródeł; szczupłość bowiem miejsca niepozwoiliła wypisywać je w całości. Oddział ten kończy tak nazwany przez autora Nekrolog piszących, czyli Chronologiczny słownik polskich pisarzy, z dodaniem dzieł, jakie wydali. Podziękować i za to, lecz krótkość tych notatek sprawia, że nikt niepoveźmie dokładnej i obszerniej wiadomości o dziełach jakiego autora i o miejscu ich wydania. Dla tego jak powiedziałem, niniejsze dzieło może służyć za pierwszy plan wyborniej encyklopedyi polskiej; rubryki raz porobione, należy tylko wypełniać. To samo stosuje się do ostatniego rozdziału: *Abecadłowy rozkład* znamienitych ludzi, — jest to słowniczek znakomitych Polaków, bardzo niedostateczny, ale mimo tego arcy pomocny: bo ułatwia długie szperanie po książkach.

W dodanych na końcu *Rozmaitościach* spotykamy bardzo zajmującą rzecz o Polakach w cudzych krajach. Lelewel zastanawia się nad tém, że ledwie druk rozpowszechniać się zaczął, płody piśmienne

Polaków szły w cudze kraje: bo w domu nie miały miru.

Marcin Strepą, Mikołaj z Błonia, Vitelion, Brudzewski, Struś, Kopernik i inni w obcych ziemiach ogłaszali pisma swoje, jakby nie dla rodaków pisali. Nasi budowniczowie stawiali gmachy w Wiedniu i Pradze, Stwosz najlepsze dzieła rzeźbiarskie poświęcił Norymberdze; wyborni rytownicy i malarze jak Falk, Lubieniecki, Chodowiecki zasiadali pracami swemi Niemcy. Kluwerius badania geograficzne i podróże ogłaszał dla obcych; Jabłoński o pomnikach egipskich pisał nie dla swoich. — Johnson naturalista drukował pełne wziętości dzieła po za granicami, toż samo Boim, lwowianin, dawał poznać medycynę i Florę chińską, później towarzyszył podróżem kapitana Kooka, i ogłaszał Florę australską. Uczzone te trudy przechodziły u nas obojętnie, kiedy za granicą oddawano im cześć przynależną; stan ogólnej oświaty nieodpowiadał wysokościom podobnych nauk i badań, dla tego były straconemi dla kraju, który zaprzątnięty sejmikowemi zjazdami i konfederacyami wiele rozprawił o dobru i zbawieniu ojczyzny, a nader mało przykładał się do istotnego dobra i zbawienia. — Niemożna jednak powiedzieć, żeby domatorstwo

przyczyniła się do upadku kultury; Polacy od najdawniejszych czasów lubili podróże, i niepoślednie położyli zasługi w dziejach cywilizacji powszechnej. Lelewel wymienia takich kilku podróżników, między innymi bracia Benedykta, który w r. 1254 jeździł do złotej ordy i pisał relację podróży; podobnie Jan z Kolna detarł r. 1476 ku biegunowi północnej Ameryki na norweskich okrętach, a za-  
tém o wiele wyprzedził odkrycia Kolombowa. — Bez żydka z Poznania po Judei krążącego, a zwanego na chrzcie Gaspard da Gama, nie miałby ani Vasco de Gama, ani Kabral tego powodzenia w swoich późniejszych wyprawach jakie on im zjednął. — Amerigo Vespucci podał opis opowiadań tego Gasparda. — Osobliwszą i to rzecz, prawie podziw wywołująca, dla czego nasi pisarze, co traktowali o przedmiotach jedynie Polskę mogących zainteresować, nie śmieli pism swoich ogłaszać w ojczyźnie, tylko po Bazylejach, Wenecyach, Amsterdambach, Insprukach, Koloniach. Tak było z: Kremerem, Michajłem, Wapowskim, Gwagninem, Długoszem, Kadłubkiem, Grandzkim. — Odpowiedzią na to pytanie, jest drugie zapytanie; dla czego Herbut we własnej drukarni Dobromińskiej nie mógł dokończyć druku Długosza; dla czego i Dogiel przerwał swój

kodeks dyplomatyczny? — Z obu tych zapytań można wyprowadzić ten wniosek, że tylko wpływ rodzin znaczniejszych przeszkadzał swobodnie przemawiać historii, zwłaszcza jeżeli jedno lub drugie imię nienajświętniej zapisane było na karcie. Wprawdzie składano to na ostrożność, żeby arkanów Rzeczypospolitej nie zdradzać przed obcymi; lecz rzeczywiście, kto zna naturę ludzką, i inne pobudki dostrzeże. Dziś jeszcze kiedy historia wyprowadzi na widownię jaką postać nacechowaną wiarobóstwem lub podłością, dąsają się możne potomki, twierdząc, że tym sposobem urzek pięknych imion szwankuje. Lecz zdaniem mojem, najpiękniejsze to imię, co własną rozświetloną zasługą, a komuż łatwiej zasłużyć się, jak tym, co przychodzi na świat z urokiem historycznego nazwiska dającego się dobrze utrzymać odziedziczoną fortuną??

Badając bliżej faktą, ten pewnik można wytłómaczyć, że w ogóle umiejętności nie najlepszej opieki używały od możnowładzców: bo ta jaką pisarzom dawali ograniczyła się najwięcej do błahych płodów chwilowej wartości, — ostatnie dopiero lata upadającej Rzeczypospolitej pokazują niektórych wielkich panów, jak Czartoryskich, Ja-

błonowskich, Żałuskich; wspierających gorliwie naukowe usiłowania.

Obowiązek mi nakazywał podać treść tej Lelewełowskięj encyklopedyi, która niemając pretensyi do nowych odkryć, ani do oryginalnych pomysłów, ani oryginalniejszych domysłów, daje narodowi wiadomości, że tak powiem, elementarne o jego przeszłym byciu. Tęgo rodzaju prace zalecające się użytecznością swoją, powinny być w ręku wszystkich i żałować tylko przychodzi, że cena dość wysoka jednego tomu, (co się da usprawiedliwić ozdobnością wydania, licznymi tabelami i mapami), nie może być tak dla ogółu przystępną, jakby tego życzyć należało. Z drugiej strony gruby ten tom ścisłego druku, śmiało może się równać z sześcioma i ośmioma tomami zwykłych warszawskich lub wileńskich tomów, kosztujących dwa razy tyle, co jeden tom wydania p. Żupańskiego. Nabywając go, nabywa się małą biblioteczkę.

Ależ rozwiódłszy się o samęj treści dzieła, niemożę pominąć Wstępu, który jest niczém inném, tylko arcyciekawą i zajmującą autobiografią Leleweła. W literaturze naszej niezwykle to zjawisko; albowiem pisarze nasi, i dawniejsi i nowsi, w ogóle bardzo rzadko i to mimojazdem zajmowali się hi-

storią własnego kształcenia się i przygód literackich. Pamiętniki jakie zostawili po sobie znamienitości nasze autorskie, malują najwięcej świat zdarzeń publicznych, których byli świadkami lub czynnymi uczestnikami; — o swoim zaś łamaniu się z nauką, o trudach badań, o przeciwnościach w osiągnięciu celu zamierzonego, o kłopotach z księgarzami i wydawcami, — o całym tém gospodarstwie książkowym pełném zawodów i drobnych niedz, żaden tak się szeroko nierozpisał, tyle naiwnych wyznań nie zrobił, co Lelewel.

Mogłoby to naprowadzić na wniosek, że autorowie, co zostawili po sobie pamiętniki, jak: Karpiński, Niemcewicz, Brodziński, Koźmian, niepoświęcali się tak wyłącznie naukowemu i książkowemu zawodowi, żeby ich tenże zupełnie oderwał od świata i od społeczeństwa. U nas bowiem tak zwanych książkowych molów niespotykamy często, chociaż zapal do nauki bywa wielki i szczere przywiązanie do poszukiwań czy to historycznych, czy dociekań w przedmiotach przyrodniczych nierzadkie. — W narodzie naszym siła jest żywotności, rzadko téż dla sławy przewertowania całych bibliotek i archiwów poświęcono obowiązki i właściwe cele życia, a jednak niemożna powiedzieć, abyśmy

nie mieli ludzi wielkiej nauki, a co lepsza: głów otwartych ogarniających jednym rzutem oka więcej, niż mól ślęczący zdołał ogarnąć i zdobyć w długich latach szperania.

Weźmy tylko przykład - z naszego Lelewela i spojrzymy na lat pięćdziesiąt jego naukowych trudów. Co za ogrom poszukiwań w historii, numizmatyce, bibliografii, jeografii, — jakie drogi odkryte, ile przysług oddanych nauce nietylko w Polsce ale w całym uczonym świecie. Zważając to mnóstwo dzieł i rozpraw wydanych przez całe życie, te kilkaset map własną ręką wyrytowych, te wreszcie koleje przez jakie przechrzedł w życiu niezaciekionem czterema ścianami pracowni, — przypuścić by należało, że uczoney ten mąż nic innego nie robił, tylko zasnuknięty od rana do nocy w jakiej bibliotece czytał, pisał, rytował i uciekał od ludzi. Tymczasem każdy, kto go miał szczęście poznać, wie, jaki to człek towarzyski, łatwy w pozyciu, wesoły, lubiący z każdym choćby najniższego wykształcenia rozmawiać; uczonym udzielający się, — w korespondencyach pilny, a dla spraw świata wcale nieobojętny. Wytrwałość i mądre użycie czasu zdolne jest tworzyć zadziwiająca rzeczy. Są ludzie, którzy wszystkiemu podoleć i na wszystko wystar-

czyć mogą, — innym przeciwnie zawsze brakuje czasu, i nigdy nie zrobić nie są w stanie, choć zdają się być ciągle zatrudnieni. Pierwszych nazwałbym: natury płodne, drugich jałowe — albo, ściślej rzecz biorąc, pierwsi dla tego produkują, że produkować umieją; drudzy chociaż bardzo pięknie i mądrze mówią o planach do swoich dzieł, o wielkich zamiarach literackich, nie doprowadzają do skutku z braku produkcyjnego talentu i woli.

Czytając ten Wstęp, mający tytuł: *Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich*, w którym sam Lelewel opisuje swój żywot naukowy, od lat najmłodszych — można by wyobrazić sobie, że oprócz ksiąg, manuskryptów, numizmatów, monet i map, mają ten nieznał niktogo, o niczem inném nie myślał, nic innego nie robił. A jednak imię jego znane i na inném polu, nie jedną kartę nowój historii sobą może zapełnić.

Sądu potępności nie sprzedam, która zawód jego publiczny i polityczny oceni; — do tego tylko rzecz kieruję, że Lelewel w z wyż wspomnianej autobiografii dał nam poznać jedną połowę swego życia, to jest autorską. Strona to najważniejsza, bo tą najwięcej i może jedynie zasłużył się krajowi, a i najoryginalniejsza: bo nikt jeszcze z taką

dokładną ścisłością nieopisał dróg kształcenia się swego, niemniej kłopotów *zdziałstwa*, czyli autorstwa, jak Lelewel przepolszcza. Wyznania te napisane są z właściwym mu humorem, tym samym, jak niegdyś w dziele szerokiej uczoności: *Bibliograficznych ksiąg dwoje*, wytryskał żywym źródłem otrzeźwiającem na téj Saharze dat i roztrząsań bibliograficznych. Co więcej, sposób jego opowiadania pełen wyrzutni, pełen samotnych urwanych słówek, każących się zawsze czegoś domyślać; maluje go najlepiej; — zawsze bowiem, nawet w rzeczach literackich, ma pewien pociąg do tajemniczości, zwłaszcza tam, gdzieby należało spodziewać się konkludującej decyzji. Woli on zostawić czytelnika w niepewności domysłów i podejrzeń, niż go uspokoić stanowczém zdaniem, które poważnemu i doświadczonemu mężowi tak bardzo przystoi, że choćby je wypowiedział bez ogródki i apodyktycznie, niktby nie śmiał pomówić go o nieskrómną zarozumiałość.

Z całych tych *Przygód* naukowego zawodu to najwięcej uderza, że już od najmłodszych lat czuł pociąg do badań historycznych. W dziecięciu objawiał się przyszły dziejopisarz narodu. Pociąg do zatrudnienia — powiada on — wczesno się

pojawił w moich dziecinnych zabawach, a z czasem stał się wielce użytecznym i potrzebnym, gdym postrzegł, że bez przysiedzenia fałdów i wysilenia, niczego nie dokążę. Cacek nam nie dawano, nie miałem ich, a śmiano się, że majstruję, że coś koncypuję. Z tych majsterstw niejedne, wywołały żarty, drwiny, co mię zasępiło a nie odstręczyło: kryłem się, swoim płatał, a rozmyślał nad czemś nowem.“ — To usposobienie do dziełstwa, rozwinęło się w dziecięciu, gdy mi jeden z krewnych podarował kilkanaście książek, w téj liczbie była mała encyklopedyjka. ; Podoobała mi się bardzo — pisze Lelewel — ale znalazł ją niedostateczną, zamierzyłem tedy coś lepszego wygotować. Było to w r. 1796; miałem lat dziesięć. Mając pod ręką arytmetykę, gramatyki języków, Ładowskiego gramatykę jeograficzną, z nich do zamierzonego dzieła wyciągi tabliczkowe przyrządziłem po cichu, skrycie, bom się krył, aby nie żartowano z wszystkowiedza. — Co dzień od owego czasu zwrastał pociąg do autorstwa.“ — Pokazuje się jak ostrożnemi powinni być rodzic i enaucyciele w wyszydzeniu u dzieci podobnych skłonności. Bo jeśli uśmiech szyderyczy nie stłumi tego pociągu, to zrodzi w nich pewną nieśmiałość, jakby nieufność na-

wet ku późniejszym prawdom i przekonaniom, mającym tworzyć charakter meża. Ztąd obawa aby moim pojęciom, sposobom widzenia, opiniom, nie zadał kto nierozmyślności — sprawia, że sąd i zdanie nie objawi się stanowczo, i z wiarą w prawdę poślubioną, ale zawsze tak będzie postawione, że się dwojako da tłumaczyć, i do odwrotu małe drzwiczki zostaną.

Nieprzebiegam dalszego zawodu Lelewela podług jego opowieści — w streszczeniu straciłyby wiele te pamiętniki — to tylko dołożę, że dał nam w nich wizerunek człowieka pióra, czyli zdiełcy, który o bardzo szczupłych środkach przedsiębrał i wykonywał prace, jakie przedsiębiorą nieraz różne ciała naukowe połączonemi siłami i — najczęściej nigdy nie kończą. Po drugie, pisma jego pełne ścisłych naukowych badań wydawane były nie kosztem towarzystw naukowych, ale szły na ręce księgarzy, którzy, albo mu nic za to nie płacili, albo płacili exemplarzami, tłumacząc się zupełną niemożnością wynagrodzenia pism mających bardzo szczupłą liczbę czytelników. Wymówka ta miała pewną słuszość za sobą w początkach zawodu autorskiego naszego historyka, kiedy w narodzie dzieła poważniejszej i mozolniejszej treści,

nie znajdowały wziętości — lecz im dalej, a bliżej naszego czasu, ukształcenie ogółu czytelników, do tyła wzrosło, że dziś pierwsze wydania pism Lelewela stały się rzadkami — te zaś, co obecnie publikuje doczekały się chwil pomyślniejszych dla zdzieltców mających żyć z własnej pracy. Kraj czyta Lelewela, a co lepsza uczy się z niego, i niejedyn już z młodszych pisarzy, biorąc znakomitego historyka za wzór życia i nauki, usiłuje dowieść, że nie na nim jednym skończy się szereg tych uczonych, którzy pokazali światu że mogą sami pisać o sobie, niepotrzebujemy u cudzoziemców szukać historyografów.

Sam ten zwrot ku badaniom historycznym reprezentowany tak zaszczytnie przez nowszych pisarzy, jak: Malinowski, Bielowski, Żukaszewicz, Dzieduszycki, Heleel, Baliński, Szajnocha, Bartoszewicz i t. d. jużby powinien sędziwego historyka pocieszyć i ukrzepić w duchu. Są to bowiem że tak rzeknę, uczniowie jego, nie w tém rozumieniu iżby zawsze szli wytkniętymi przezeń tory, i hołowali tym samym wyobrażeniom — lecz w téj myśli: że on im otworzył najszersze drzwi do świątyni przeszłości, w której teraz spokojnie, głęboko i bez uprzedzeń rozglądać się mogą. Gdyby

ta jedna uwaga przyszła była na myśl sędziwemu starcowi oddalonemu od ziemi rodzinnej, nie byłby gorzkim wyrzutem zakończył swojej autorskiej autobiografii: „Od pięćdziesięciu i sześćdziesięciu lat, gryzmołem i zrzedziłem rozpatrując: chronologię, genealogię, geografję, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje w powszechności i osobno Litwy i Rusi i narodów: bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce; budowy, herby, pieczęcie, dyplomata; pismo, ubiory, obyczaje i zabytki starożytne. Z tym, co z tego dorywczo w druk szło, mało kto się oswoił, mało kto o tём wiedział. Sprawilem się pospolicie, niepowabnie, niepoczytnie. Nic dziwnego tedy, że powszechnie inni dowiadawali się odgłosem że jest coś, czego nie widzieli sami, a wyobrażali sobie kiedy owe coś tak głośne, w wymiarach wielkich. Zdarzyło się tedy, nprzejmie odwiedzający zacny gość pechleśnie wspomina o mych pracach. Gdybyś na tem przestał zagajeniu, gładkoby poszło: bo skromny autor zwykle w inną stronę rozmówkę zwraca. Ale gość chwali, wyzywa do objaśnień; płaczą się słówka, z mętnego octu wysuwają się oczka autorskiej oliwy i ciężkie wywołują wyznanie i utyskiwanie: ale bo nas twe dzieła nie dochodzą. — Zdarza się téż w gawędce

usłyszeć; co mówisz, czemuś nie pisał, nie ogłosił? a mnie na myśli: czemuś nie ciekawy, czemu nie czytujesz? a niekiedy wybuchnąć, przychodzi z wyrzutem: Czemuś nie czytał? A są tacy, co wykrzykują, wymawiają: bo nie gadasz, nie mówisz w czasie; a mnie im odrzec: za coście w czasie nie słuchali, uszy zatykali? Zbyteczną nadmienić tę ostatnie o żywym głosie wymówki: bo się sprawiam jedynie z piśmiennictwa... „Nie przeczę, mógł dostojny historyk natrafić na różnego kalibru gości, a nierzadko i na takich, co go nawiedzali jak się nawiedza zagraniczne osobliwości — przez ciekawość i chętną żądę, aby się w domu pochwalić: widziałem beczkę hejdelberską, byłem na wierzchołku wieży Strasburgskiej, w trupiarni (la Morgue) paryskiej, widziałem Mauneken Piss, plac Męczenników i Lelewela... nieidzie jednak zatém, aby nauka historii tak dzielnie zaszczepiona przez niego, nie była dziś szerzej uprawiana przez ogół czytelników, najlepszym dowodem jest liczba pracujących w téj gałęzi piśmiennictwa, niemniej żywy udział w publiczności dla dzieł pojawiających się w téj materii. — Być może, że nie każdy kierunek podoba się i zyskuje wziętość, nie każda zasada odpowiada duchowi narodu; ale to pe-

wna, że interes dla historii o wiele kroć większy, niż za czasów, kiedy sędziwy nasz historyk ogłaszał rozprawy swoje: „Oświecenie i nauki w Polsce. — Zdobycze Bolesława — Winulską Słowiańszczyznę“ i t. d. Wtenczas styl raził i suchy wykład odstręczał, — dziś nauka o tyle postąpiła, że więcej o rzecz chodzi, niż o zewnętrzną okrasę.

---

# LEGENDA I RODOWÓD.

---

Podanie i krytyka w historyi. — Szkopuł dla krytyki z Tacyta.  
Żywoć Sw. Wojciecha X. Pękalskiego. — Lechicki początek Polski Karola Szajnochy.

W dawnych wiekach przyjmowano każde podanie za prawdę historyczną, i nietroszczono się o ścisłe, dokumentne dowody. — Podania te utrzymujące się zazwyczaj w pewnej części społeczeństwa przewodniczącej narodowi, miały tem samem niezaprzeczoną powagę, i wzbudzały wiarę w ich rzetelność. Wiadoma rzecz, jak od czasów reformacyi, zmieniły się punkta widzenia i ocenienia prawdy. — Wielkie tradycye kościoła i narodów poszły pod rozbiór, wysmiane lub zaprzeczone zostały.

Dzisiejsi pisarze dziejów idą tą ostatnią drogą, to jest drogą krytyki — a to dla tego, że nie zawsze chcą szukać tradycyi tam gdzie jest; po-

wtóre, że niezmiernie posunięta badawczość źródeł dziejowych, dozwala im pochodnią rozumu i nauki rozwidnić mroki przeszłości najodleglejszej...

Zdrowy rozsądek, kombinacja rozumowa, mogą być w takim razie najwyższym trybunałem w ocenieniu zdarzeń i poznaniu prawdziwej prawdy. Zapewne są to potężne czynniki i rozczylniki — ale trzeba pamiętać iż nie wszystkie wieki dają się mierzyć jedną piędzią; że sama natura faktów opiera się częstokroć badawczości historyka. Zarozumiała więc pewność krytyki historycznej, że ona jedynie może być tylko w posiadaniu najprawdziwszej prawdy, że co ona przesieje przez sito — to jedynie jest ziarnem czystym, reszta plewą fałszu i ułudy — znajduje w historyku prawdziwie krytycznym jak Tacyt swoje najlepsze ocenienie. Opowiadając śmierć Germanika, podaje, jako powszechne było mniemanie, że Germanikus otrutym był przez Pizona. Senat zarządza śledztwo — a Pizo uprzedzając śledztwo zabija się. Tacyt posępniemi farbami malując to zdarzenie, niepomija obiegających wieści: że Pizo był do téj zbrodni pobudzony przez Tyberjusza, i że nie sam się zabił tylko zginął na rozkaz cesarza, aby prawda nie wyszła na jaw; — poczem dodaje te godne uwagi

wyraży: „I najważniejsze zdarzenia bywają wątpliwe; ponieważ jedni, cokolwiek zasłyszeli, podają bez ogródki za prawdę; drudzy wręcz kłamią. A oboje to, tak umyślne jak nieumyślne fałszowanie prawdy, tém bardziej rośnie, im zdarzenie dawniejsze.“ — Jeżeli bezwzględna prawda nieosiąga się krytycznością badań, tedy tradycje narodu nie są tak bardzo do wżgardzenia, zwłaszcza gdy wiara w nie żyje choć w części między nami. Ażeby zrozumieć te tradycje, częstokroć na pozór niegodne krytycznego noża wysokiej uczoneści książkowej, potrzeba złąć się z narodem, być wykarmionym mlekiem wspomnień, a nadewszystko żyć pośród niego życiem czynnem: bo nie historia jest szkołą życia jak utrzymują pedanci, ale życie jest szkołą dla historyi. — Im kto więcej miał sposobności poznać ludzi i ich sprawy, im kto głębiej potrafił wżyć się w terażniejszość, ale rzeczywistą, nie urojoną, ten staje się zdolnym najlepiej zrozumieć przeszłość. Natura bowiem ludzka, potrzeby jej duchowe i cielesne, równie jak wszystkie węzły utrzymujące społeczeństwo, były prawie po wszystkie czasy jedne i też same. Poznać tę główną ośnowę, więcej znaczy, niż mierzyć i śledzić każdy ścieg zdarzeń dzierzganych na niej.

Jak tedy badawczość w dochodzeniu zdarzeń odległej starożytności, powinna mieć się bardzo na baczeniu, aby przypuszczeń i zradnych podobieństw nie stawiała wyżej nad tradycję uświęconą dawnością i wiarą narodu, tak z drugiej strony krytyka historyczna nieocenione oddaje usługi gdy zasycona szeroką nauką, drogą analogii i uzasadnionych wniosków umie rzucać światło na epoki ciemnych dotąd początków. — U nas można powiedzieć dziejopisarska krytyka zaczęła się dopiero z Naruszewiczem, i odtąd postęp na tej drodze zrobiono niemały, i przez badanie źródeł i licznych gałęzi należących do nauki historii. Właściwie więc jesteśmy w epoce przygotowawczej, w epoce zbierania materyałów, ocenienia ich, a razema wyświecenia szczegółów dziejowych, bez czego nie można dojść do pragmatyki. Błąd to był historyków naszych, osobliwie z czasów Tow. Przyj. Nauk., że gwałtem chcieli być pragmatyczni, czyli więcej chcieli wiedzieć o historycznych zdarzeniach i wewnętrznym ich związku, niż wiedzieć byli wstanie, — z tego to względu dowolnych przypuszczeń i przeobrażeń tyle się namnożyło, że prawie każdy fakt musi być źródłowie zbadany na nowo, aby się mógł

przedstawić w rysach zblizających go do prawdy z rzeczywistością, świadectw poważnych zgodnej.

W ostatnich czasach wyszły dwa pisma noszące cechę znamienitej historycznej krytyki — oba poświęcone rozwiązaniu dwóch dziejowych zagadek. Pierwsze: *Żywot Św. Wojciecha z uwagami nad podaniem Czechów, jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały*, napisane jest przez K. Piotra Pekałskiego; — drugie: *Lechicki początek Polski*, skreślił Karol Szajnocha, znany tak zaszczytnie z tyłu historycznych prac. W sprawozdaniu z pierwszego dziełka pójdziemy porządkiem jakiego trzymał się autor. Zaczyna on od skreślenia żywota Św. Wojciecha, podług najautentyczniejszego źródła, to jest, podług podania Jana Kanaparza, benedyktyna klasztoru ŚŚ. Alexego i Bonifacyusza w Rzymie, gdzie ś. Apostoł wiódł życie zakonne. Zdaniem Pertza jest to najstarożytniejszy zabytek. — Święty Wojciech pochodził z możnego czeskiego rodu Sławników, spowinowaconego z domem cesarskim. W szesnastym roku życia swego opuścił dom rodzicielski, udając się na naukę do Magdeburga, gdzie celujący między współuczniami pільnością i pobożnością, po ośmiu latach wrócił do rodziny do Czech i tam pod koniec r. 981 przyjął kapłańskie

święcenie od Thetarata pragskiego biskupa. Śmierć tego pasterza zdarzona r. 983 i straszne na żywot nie dosyć chrześcijański wyrzekania umierającego, zbawienny wpływ wywarły na młodym kapłanie; albowiem wiodąc pod ten czas cokolwiek wolniejsze życie, uczuł wewnątrz zgryzotę a razem pragnienie poprawy. Wskutek tego przywdział zaraz włosiennicę, popiołem głowę potrząsnął, a rozdawszy majątek między ubogich, stał się prawdziwym bojownikiem Chrystusa. Po śmierci onego biskupa, oczy wiernych zwróciły się na młodego pokutnika, którego enota, zacność i możność rodu, a nadewszystko surowa poprawa życia, stały się pobudką dla panującego księcia Bolesława II. i ludu, iż go wezwano na biskupstwo pragskie, na którą to godność d. 29 Czerwca 983 r. przez arcypasterza mogunckiego Willigisa wyświęcony został. Na stolicy biskupiěj sześć lat siedząc, a niemogąc ani przykładem świątobliwego, w zaprzaniu siebie samego, życia, ani słowem rozwiozkėj, zatwardziałego serca i zatylego karku owczarni swojej, od wszeteczeństw najbrzydszych odprowadzić, by duszy swėj niestracił, złożył w ręce Ojca św. władzę biskupią, a sam jał kija pielgrzymiego do grobu Zbawiciela. W pielgrzymce téj zatrzymał

się w pewnym klasztorze benedyktyńskim, gdzie upodobawszy sobie życie klasztorne przywdział u ŚŚ. Alexego i Bonifacyusza w Rzymie sukienkę Ś. Benedykta wraz z bratem swym Radzynem.

Czasu nieobecności Ś. Wojciecha dyecezya pragska zostawała pod zarządem Arcybiskupa Mogunckiego, który litując się nad jej sieroctwem zaniósł do Rzymu prośbę o zwrócenie Ś. Wojciecha do Pragi — co Papież Jan XV. uczynił, przeznaczając go na osierocony stolec biskupi w Pradze. Całe miasto uradowane z powrotu świętego męża, wyszło naprzeciw niego, przyrzekając stateczną poprawę. Lecz przyrzeczenia prędko wyszły z pamięci ludzi nieumiejących powściągać najdzikszych namiętności. Zdarzyło się, iż gdy żonę jednego z Wrzeszowców magnatów czeskich ze Sławnikami na równi możnowładztwa stojących, zemsta za cudzołóstwo aż za ołtarz ścigała, kędy ją biskup przed mieczem zemsty ukrył, — zbroczenie miejsca świętego krwią owęj niewiasty — taką zgrozą duszę świątobliwego pasterza przejęło, iż postanowił po raz drugi owczarnię swoją opuścić. Zanim atoli wrócił w zacisze klasztorne, udał się na początku r. 995. do Węgier dla opowiadania religii, gdzie prócz mnóstwą ludu ochrzcił był syna króla węg-

gierskiego Gejzy, a późniejszego króla i sługę Bożego Ś. Stefana. — Z otwartem a radośnym sercem od ojców zakonnych przyjęty, rók tylko lubował się w osamotnieniu klaszterném, albowiem nałgórące nalegania arcybiskupa mogunckiego, stolica apostolska po raz drugi zaważwała zakonnika by zasiadł na urzędzie biskupim. Posłuszny władzy, gdy stanął na granicy Czeskiej, doszło go, iż naród zbrodniczy do którego śpieszył, zboczył swe ręce krwią jego własnej rodziny. Czesi w szaleństwie swoim, braci jego wraz z ich rodzinami wymordowali, krewnych i mnogo szlachty pokaleczyli, a wszystkie włości ogniem i mieczem zniszczyli. Krwawe te zdarzenia zagroziły dalszą drogę Wojciechowi; nieobiecując on sobie żadnego pożytku z rozbestwionych owieczek, zwrócił kroki swe ku Polsce, gdzie panował Bolesław Chrobry. Jakaż przez Węgry idąc, stanął w Krakowie z bratem Radzyniec nieodstępnym towarzyszem, i niejaki czas kazywał na rynku krakowskim, na którą to pamiątkę stanął później kościółek Ś. Wojciecha, po dziś dzień w części utrzymujący się. Niedługo bawiąc w tém mieście, przy końcu 996 r. przeniósł się do Gniezna, ówczesnej stolicy Polski, z kąd wysłał do prażanów poselstwo z zapytaniem, czy

zechcą go przyjąć, i czy obyczaje swe poprawią? Odebrawszy odmowną odpowiedź, postanowił sąsiadującym z Polską Prusakom naukę Chrystusa opowiadać, i w tym celu na wiosnę r. 997 z bratem Radzynem i Benedyktem kapłanem popłynął Wisłą do ziemi Prusaków, gdzie, jak wiadomo tego roku d. 23 Kwietnia, z powodu przekroczenia gaju, poświęconego pogańskiemu bożyszczu, został siedmią włóczniami przebity; dwaj zaś jego towarzysze z rąk pogańskich uszedłszy, przynieśli tę smutną wiadomość do Polski. Bolesław zawiadomiony o śmierci Wojciecha, postanowił wykupić jego zwłoki, przyczem jak wiadomo stał się cud, który wypadł na niekorzyść łakomych pogan — ciało bowiem ś. męczennika stało się tak lekkim, iż ilość złota odpowiedna ciężkości ciała, zredukowała się do nieznacznej summy. Zwłoki sprowadzone do Polski, złożone były najprzód w Trzemesznie, a następnie dla większego bezpieczeństwa w Gnieźnie, z kąd szerzące się łaski i cuda doszły nawet do cesarza Ottona III.

W r. 1000 Otto udał się z Włoch na pielgrzymkę w zamiarze odwiedzenia grobu ś. Wojciecha. Wspaniałe są opisy kronikarzy ówczesnych tego zjazdu dwóch monarchów; lecz to mniej do

rzeczy należy — najważniejszy punkt z powodu którego ta książka napisana została, odnosi się do wypadku zdarzonego w 38 lat później, tj. w r. 1038. Brzetysław Książę czeski najechał Polskę i grabieże swoje rozpostarł aż do Gniezna. Oddział Czechów z polecenia przywódcy swego biskupa Sewera, chciał zabrać szczątki Ś. Wojciecha — lecz kapłani miejscowi usunęli takowe i w skrytém miejscu schowali, podłożywszy natomiast zwłoki Radzyna, które téż Czesi uwięzili z sobą, wraz z mnóstwem skarbów złupionych.

Ta jest tradycja miejscowa poświadczona od naszych kronikarzy i wielu dowodami poparta. Tymczasem Czesi utrzymują, że u nich znajduje się ciało Ś. Wojciecha. Spór ten trwa od wielu bardzo wieków, a nawet niedawno został wznowiony z powodu, że w r. 1854 kardynał X. Jan Scitowski, prymas węgierski i arcybiskup Ostryhoński, zażądał był od X. Leona Przyłuskiego arcybiskupa Gnieźnieńskiego, aby do bazyliki Ostryhońskiej raczył udzielić relikwie Ś. Wojciecha, albowiem jak się wyraża: jest tu wprawdzie mała cząstka czaszki dawniej udzielona z Pragi, *gdzie spoczywającego ciała prawdziwość nader jest wątpliwa.* — Na to wezwanie X. Arcybiskup Gnieźnieński wydobywszy z trumny znaczną część reli-

kwit, zawiózł je sam w r. 1856 do Ostryhonii, i złożył w świątyni poświęconej pod wezwaniem Ś. Wojciecha. — Z tej to okoliczności uczony czeski X. Wacław Sztulc arcyb. notaryusz i prof. akad. gimn. w Pradze, wystąpił w piśmie wydawaném przez siebie *Blahovest*, i w artykule: *Grób Ś. Wojciecha*, starał się polegając jedynie na podaniu Kozmasa dowodzić, że ciało Ś. Wojciecha nie w Gnieźnie lecz w Pradze spoczywa. — Wystąpienie to wywołało uczoną i wielce przekonywającą książkę X. Pękałskiego, gdzie umiejętnie i krytycznie zestawione dowody, tę na pozór tak zagadkową sprawę rozstrzygają najjaśniej, chociaż od pamiętnego napadu Czechów do dziś z górą 800 lat nas przedziela.

Główny argument Czechów opierał się zawsze, ilekroć spór ten wznawiano, a wznawiano go nieraz, na powieści Kozmasowej. Trzeba więc było podkopać wiarogodność tego świadectwa, okazując przeciwieństwa w jego podaniu. Jakoż w rzeczy samej mówi on raz, że zwłoki święte tak były przy ścianie za ołtarzem (w Gnieźnie) umieszczone, że bez zburzenia go, wydobyte być niemogły; drugi raz mówiąc o zabranych ze świątyni skarbach dodaje, iż niesiono trzy szczerozłote tablice zdjęte

z ołtarza, w którym leżały zwłoki męczennika; wreszcie opowiedziawszy, iż biskup pragski Sewerus towarzyszący księciu Brzetysławowi w napadzie na Gniezno, zburzył młotem grobowiec od szczytu do spodu, nadmieniana, jako otworzono trumnę, z której książę i biskup bez trudności wydobyli ś. zwłoki i obwinęte w materję jedwabną na ołtarzu złożyli. Najgłówniejsza zaś sprzeczność co do stanu, w jakim się znalazły zwłoki świętego; albowiem mówi, iż takowe w niczem niebyły uszkodzone, *jak gdyby w tym dniu mszę ś. odprawiał*; zapomniawszy, iż sam za spółczesnemi świadectwami powtórzył, że poganie biskupa pokłóli i porąbali. Przeciwnie Radzyn brat Ś. Wojciecha, arcybiskup gnieźnieński, umarł był śmiercią zwyczajną r. 1006 i wedle swój godności w ubiorze pontyfikalnym pochowany. — Lubo stolica apostolska jeszcze nie była ogłosiła Radzyna świętym przed zabraniem zwłok jego przez Czechów, którym, jak pisze Długosz, kapłani podsunęli te zwłoki w miejsce zwłok Ś. Wojciecha, to zważywszy, że kanonizacya nie czyni świętymi sług Bożych, jedno je za święte ogłasza na zasadzie nieskażonego ich żywota i cudów, które Bóg przez nich czyni — można śmiało twierdzić, że znamiona opisane przez Kozmasa jako: jasność twarzy i biskupiego ubioru, nienaru-

szona całość wszystkich członków ciała i grobowca, jedynie do Ś. Radzyna zastosowaną być może. Wiadome bowiem ze świadectw pięciu współczesnych żywociarzy szczegóły zamordowania Ś. Wojciecha; poganie zakłówszy go włóczniami, ciało jego rozćwiartowali, a uciętą głowę na żerdź zatknąwszy, przez kilka dni tak znieważone i opuszczone zostawały zwłoki, dopiero od Chrobrego wyprawieni mężowie wykupili je i ze czcią do Polski przyprowadzili. Również i sam Kozmas mówiąc o Radzynie wspomina wyraźnie, iż ciężko było zranione serce jego widokiem rozsiekanego ciała brata. Zwłoki te więc ciężko uszkodzone przez samo męczeństwo, tém więcej ucierpiały w swojej całości, gdy dodamy ten szczegół zapisany u współczesnych analityków, że Bolesław podarował Ottonowi III. ramię Ś. Wojciecha, a Radzyn będąc arcybiskupem gnieźnieńskim udzielił klasztorowi kanoników Ś. Augustyna w Trzemesznie kilka ułamków drogich szczątków po dziś dzień tamże przechowywanych. — Długosz, który pewnie miał dowody jeśli nie pisane to przechowywane się w żywej tradycji, wyraźnie powiada o napadzie Brzetysława: W ciągu opych trzech dni, podczas których Wielkiego Boga potęga ślepotą i letargiczną chorobą Czechów rażąc,

niedopuszczała im wniścia do kościoła, kilku miejscowych kapłanów spodziewając się, iż napastnicy będą się kusić o ciało swego biskupa, zwłoki jego wydobyło z miejsca, w którym dotąd z powszechną czcią spoczywały (wedle Thietmara złożone były w wystawionym przez Ottona III. ołtarzu) i przeniosło je w miejsce ustronne, pospolitym piaskiem zasypawszy. W tém utajonem ukryciu zostawały te relikwie do r. 1127 i d. 23 lutego, za arcybiskupa Jakuba ze Żnina podniesione i ku czci wiernych wystawione zostały. W trzy lata później (1130) zanosił u ich stóp modły swe Bolesław Krzywousty dla prześlągania gniewu Bożego za zabicie brata swego Zbigniewa.

Przeciw Kozmasowemu podaniu, który się urodził w sześć lat po mniemanem uwiezieniu ciała ś. męczennika do Pragi, a w ośmdziesiąt lat kronikę swą pisał, świadczą pisarze więcj zasługujący na wiarę, jak to Jan Kanaparz osobiście znający Ś. Wojciecha, biskup Bruno współczesny apostoła naszego i sam ginący śmiercią męczennika w Prusach r. 1009 — również piszący około roku 1028 Ademar i wielu innych. Na tych świadectwach oparty autor, nie drogą naciągania; lecz najprostszyc kombinacyi, ugruntował to, co podał Długosz, i tym sposobem odparł uroszczenia

Czechów, którzy prześladować świętego za życia, i nieoddając mu i po śmierci także czci żywej, jakiej doznawał w Polsce, gdzie nawet pieniądze bito z wizerunkiem Ś. Wojciecha — niejednokrotnie toczyli polemikę o rzetelność posiadanych przez siebie relikwii. Uczona ta praca wielce zajmująca jest z powodu trafnie zestawionych źródłowych dowodów; a wszelkie zarzuty czeskich pisarzy, często bardzo zręczne i uwodzające, odparte są dokumentami niepodważanej wiarygodności. Mnie zaś ta jedna uwaga przychodzi, którą tu dorzucić za potrzebne uważam. Jeżeli zważymy, sądząc duchem owych wieków, jak wielką wartość przywiązywały narody do ciał swoich męczenników, tedy pojmiemy łatwo, iż w czasie owego napadu Brzetysława na Gniezno, miejscowe duchowieństwo niemogło mieć większego zadania, jak najpilniejsze przechowanie zwłok Ś. Wojciecha; gdy przeciwnie Czesi palący tylko żądzą łupów, szukali złota i srebra i drogich tkanin, a o ciało prześladowanego przez nich wygnańca nie tyle im zapewne chodziło, aby aż w tym celu podejmowali wojenną wyprawę. Obecność tylko biskupa Sewera, mogła zwrócić uwagę na zwłoki męczennika, aby tym płaszczykiem pobożnego celu pokryć zbrodniczy najazd, za który i tak mieli się nie z pyszna od Stolicy

Apostolskiej, trzymającej wówczas tak nad królami jak ludami wagę najwyższej sprawiedliwości.

Drugą ważną a jeszcze trudniejszą zagadkę historyczną, usiłuje rozwikłać Karol Szajnocha w rozprawie: *Lechicki początek Polski*. Wdzięczne to pióro nie od dziś już rozszerza ramy naszej historii dotąd zbyt ścięsnione przez odłączenie studiów nad historią ojczystą, od niezbędnego poznania stanu krajów postronnych a mianowicie źródeł, co choć ściśle nieodnoszą się do Polski; lecz mimo tego mają z nią konieczne powinowactwo. Życie bowiem jednego kraju górującego cywilizacją nad innemi, bywa jak wiadomo najwymowniejszym komentarzem do zdarzeń, często niezrozumiałych, bo dokonanych pośród społeczeństwa, które nie przyszło jeszcze do samopoznania czyli nie stanęło na stopniu, od którego naród się zaczyna, i usiłuje mieć swoją historię. Jeżeli tego szerokiego ogarnięcia historycznych stosunków wymaga badanie dziejów w epokach mających obfitość źródeł pisanych, tém bardziej potrzebne to jest, kiedy przychodzi odgmatywać mroki i niepewności początków jakiego narodu. Początek Słowian śledzono po Greekich i Rzymskich pisarzach. Początek dziejów plemion składających Polskę, wy-

grzebywano z tych samych źródeł, przywołując w pomoc najdawniejsze zabytki i podania innych słowiańskich plemion; lecz najmniej może uciekano się do objaśnień starogermańskich, a właściwie Skandynawskich. Z tego względu dzieło Szajnochy, *Lechicki początek Polski*, jako oparte na źródłach dotąd nietykanych przez naszych badaczy historycznych, to jest na Skandynawskich podaniach, i na kronikach słynnych w odmianach państw, Normandów, — zasługuje na uwagę, jeżeli nie jako rozwiązanie ostateczne ciemnych początków Lechickich, to zawsze jako arcydowcipne przedstawienie prawdopodobnych, możebnych przypuszczeń analogii. Blisko brzmiące wyrazy, etymologiczne wywody, ułamki podań, zagów, mitologii, praw, instytucyi, zgoła massa szczegółów poznoszonych ze wszystkich kątów Europy, gdziekolwiek zapędził się zdobywczy Norman, wszystko to składa się na tysiączne argumenta pokazujące: że towarzysze Lecha, mieli być ci sami rabusie i wygnańcy Skandynawscy, których imię wymawiano z śmiertelnym strachem na pobrażach mórz odśnieżnych skał Norweskich po ukwiecone brzegi Sycylii.

Początek ten niepowinienby wstydzić Lechi-

tów: bo tak dobry, jeżeli nie lepszy, jak pierwotnych założycieli Romy.

Autor, ile widać z słów początkowych pierwszego rozdziału, przywiązuje wielką wagę do odkrycia znaczenia Lechitów — podług niego będzie tym sposobem wyjaśniona pierwotna historia Polski. — Potwierdzenie to słuszne — od Lecha bowiem i kronikarze nasi wskazują nam tworzące się państwo z plemion, dotąd bez znaczenia i nazwiska zostających. Zapewne, że dowiedzenie się o początku swoim zawsze jest rzeczą ciekawą; lubo mam to przekonanie, że niema narodu, któryby o swoim początku nie miał żadnego podania. Podanie to może być zmaconę spoztyzowane mitycznością; ale zawsze utrzymywać się będzie po wielu wiekach jako instynktowe powinowactwo między narodem w ostatniem przeobrażeniu, a jego pierwotną kolebką. Pamięć o zburzonej ojczyźnie nad brzegiem Skamandru, nawet bez odświeżającej to podanie Eneidy, zawsze utrzymywała się między Kwirytaami, którzy w pewnym względzie byli takimi samymi założycielami państwa, wśród plemion etruskich, jakimi byli Lechicj wśród Słowian. Dla czego nasi Lechici nie śnili nigdy o skałach ojczyzny Odina i Thora, dla czego ani krwa-

wy obyczaj, ani wyobrażenia i zagi północne nieprzeniosły się do nas z tymi zdobywcami, którzy mieli bez wątpienia niepospeliły fundusz cywilizacyjny, kiedy tworzyć umieli państwa? — Autor odpowiada dowodami opartymi na etymologii, a razem twierdzi, że Normandowie zazwyczaj tak prędko zespolili się z podbitym ludem, iż ich cechy rodowe zniknęły bez śladu, i na dowód stawia Normandów we Francyi, również znikających w podbitej ludności. Wszakże co mogło się stać z Normandami we Francyi, i co w istocie się stało, to trudniej byłoby zastósować do Słowian-niemogących się mierzyć z tą Galią, przez którą przesunęła się cała cywilizacja Rzymu, i tak wcześniej rozkrzewione chrześcijaństwo. Dla tego sądziłbym, że cechy rodowe przybyszów Skandynawskich, czyli podług p. Szajnochy tak zwanych Lechitów, nie zlałyby się tak rychło z podbitymi plemionami Słowian — wielkie różnice pochodzeń i charakterów niezacierają się i w najdłuższe wieki, — a tymczasem niema może narodu w Europie, gdzieby podobieństwo charakterów i wszelkich usposobień wewnętrznych było większe między rasą zdobywcą a podbitą, jak w Polsce. Cudzoziemiec sądzący nas powierzchownie mógłby widzieć tylko zewnętrzną

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzeć na twarze, a typ sło-wiański jest jeden i ten sam; dość popatrzeć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcej jest przybliżenia niż gdzieindziej.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniej wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stóleci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jeniałnej w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jój treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historycznym odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawivszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiej Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, dalej kraje nad Odrą i Wisłą, czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak później Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzeczka północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiej i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucja jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucją zachowaną na północy najdłużej. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu męzami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, później w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Bałtyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Bałtyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnymi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiacz, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; narreszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek nie miał tyle żywotnej wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIII-miu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniej niż cienia pozorów, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a nie-dopieroż jaka woda na młyn dla takich piór; jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniej będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskim pochodzeniu Lechów, jak te, które uczo-ny nasz badacz tak umiejętnie zestawiał. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwa-łości autora w tak mozolnych dociekach, jednako-woż rezultat jaki sobie założyła osiągnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha naro-dowego, ani do bliższego poznania się w swoim jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambi-cyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieży-czył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie pol-skiego elementu, chwycą się rękami i nogami je-go dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emi-grantami na téj ziemi.

Tradycja początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiej zosta-wić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj ucie-chy zaimponowania erudycją książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak po-wstały. —

# WIEK ŚWIETNOŚCI I WIEK UPADKU.

---

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Waclaw Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcej niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziej był on wiekiem wewnętrznych zamieszkań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznymi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztery stulecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jej groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczęłą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swą prawdziwie chrześcijańskiej cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi -- więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statysci-politycy w całym słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nade wszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwan, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się też psychologiczna historia narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historii zdarzeń, a przynajmniej mnić dotąd badana.

Częstkowe jednak prace wykonane ze skrupelną pilnością, zaczynają rozjaśniać przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swęj Historji Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całym rozmówaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzone podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statystycie. — O niej zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy, lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnej Polski. Szczególniej, sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastosowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udziałności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnej potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zacierają się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedynczych księstwach, gdzie rycerstwo szamocę się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiej: biskupi

w ustawnej waśni z kapitułami; w wolnych miastach Rzeszy uliczny gmin często rzuca się na starszyzną. Wszędzie brak myśli przewodniczącej, błotnista mieszanina sobkostwa i samowoli. Kościół posiadający dotąd wyłączne kierownictwo duchowe, rozdwojony; duchowieństwo popadło w ostatni stopień zepsucia i zubożenia; nie było komu prowadzić społeczności; nigdzie ani świeckiej, ani kapłańskiej powagi; a że ludziom zawsze tęskno za czemś nieograniczonym i niepojętym, więc jak błędne snuły się tłumy biczowników i braci milczących, a z dusz zrozpaczonych wychodziło wołanie o *lux et duos mundi!*

Największa z katastrof historycznych, zdobycie Carogrodu przez Turków, podniosła powagę papieża, a raczej on sam się podniósł, gdy stanął na czele chrześcijaństwa, i wezwał go do obrony przeciw nieprzyjaciołom krzyża. Inicytywa ta wróciła mu w ręce wszystkie pasma polityki europejskiej. Do podniesienia powagi papieżkiej przyczyniło się niemniej światło ówczesnych Włoch; — tam był szczyt kultury. Wykształcenie polityczne, mechanizm administracyjny i rządowy, klasyczna oświata, sztuki piękne, przemysł, rolnictwo, w rękach cały handel wschodu, wszystko to robiło

Włochy ogniskiem, z którego rozchodziły się cywilizacyjne prądy. Ztąd nietylko w rzeczach duchownych, ale i w świeckiej polityce, ogromna przewaga Italii. — Tymczasem w Niemczech skutkiem oświaty włoskiej zaczyna się z podobnej anarchii wyrabiać żywioł dynastyczny: Fryderyk III., Maksymilian, potężniejszą zaborami dóbr duchownych, przywłaszczeniem różnych praw tak publicznych jak prywatnych. Siła zaczyna się ześrodkowywać i stawać się osią wypadków. Żywioł germański party przez wyższość romańskiej rasy, wylewa się na zewnątrz w dziedziny Słowian, i wzmagą się zaborem. Na nieszczęście Zygmunt cesarz, sprzedaje marchię Brandeburską Fryderykowi burgrafowi Norymberskiemu, z warunkiem, aby protegował zakon Krzyżacki w Prusiech. Odtąd Marchia staje się gnębielką ziem słowiańskich, a przedmurzem Rzeszy; odtąd coraz więcej zdobyczy zlepia w jedno ciało. Myśl przewodnicząca temu nowemu państwu najlepiej maluje się w słowach margrafa Albrechta: „Co marchia Brandeburska pozyska, tem się zbogacą całe Niemcy.“ — Był to zresztą najpierwszy centralizator w dzisiejszym pojęciu.

Radził on cesarzowi znieść wszystkie powagi, aby mieć wyłączną i przez się. System absoluty-

zmu przeprowadzony w krajach zdobytych na Słowianach nadbałtyckich, miał służyć za normę urzędzenia się wewnętrznego feodalnych Niemiec. Lecz widokom zaborczym stawały oporem dwa narody: Czeski i Polski. Pierwszy najoświeceniwszy wówczas z ludów północnych, pojął rolę obrońcy samodzielności, żywota i myśli rodowej. Długoletnie wojny Husyckie świadczą o tém; nie tyle w nich szło o religię, ile o oswobodzenie od obcego ucisku i wdzierania się. Czechowie żalą się na stolicę Rzymską, że na nich podbudza nieprzyjaciół; a jacy to byli? dość przypomnieć słowa cesarza Zygmunta, który podług świadectwa niemieckiego kronikarza Windecka, zwykł mawiać: „Oddałbym całe królestwo węgierskie, żeby w Czechach nie było ani jednego Czecha.“ — O nic tu nie szło tylko o wytepienie pierwotnego plemienia, aby nowe jego miejsce zajęło. — Polska tę samą politykę przybiera względem krzyżackiego ciśnienia; i oba narody posilkują się. Pod Grunwaldem walczyły zastępy Czeskie; polscy wodzowie, między tymi Zygmunt Korybut, stawali na czele wojsk czeskich. Zjazd Podjebrackiego z Kazimierzem w Głogowie, utwierdza między tymi ludami przymierze, skutkiem

czego trzynastoletni Władysław Jagiellończyk królem Czeskim obrany.

Można powiedzieć, że w Polsce z piętnastym wiekiem zaczęło się wyrabiać poczucie pierwiastku plemiennego; był to skutek oddziaływania na uroszczenia i łakomstwo krzyżackie. Tyloletnia walka z potężnym zakonem zmuszała naród do wydobywania wszystkich sił żywotnych, do ponoszenia największych ofiar nie tylko z krwi i mienia, lecz nawet z skarbów kościelnych. Duchowieństwo polskie nie dało się uwieść żadnymi pozorami, o działanie niezgodne z interesem Rzymskiego Kościoła, i oddało naczynia święte na wejść przeciw Krzyżakom, mającym misję rozszerzania wiary na północy i protegowanym przez potężne wpływy Stolicy Rzymskiej. Kwestya ta łatwo dająca się zagmatwać na drodze doktryny religijnej, była zdrowo pojętą przez polityków ówczesnych, dalekich od téj zarozumiałości, co swoje oderwane teorye wyżej kładzie nad zdrowy zmysł polityczny i wielkie instynkta narodu. Pojmowali oni, że religia była tylko maską, pokrywającą krzywy dziób i drażniące pazury zbrojnych zastępów Rzeszy, dla tego w obronie prawdziwego katolicyzmu i niepodległości narodowej, wystąpili przeciw hipokryzy zahor-

czój, tém prawniej, że posłowie pruscy znękanym jarzmem krzyżackim zaklinali Kazimierza Jagiellończyka, aby ich przyjął w swoją opiekę, tém wytrwałej, że królestwo tak dla własnego bezpieczeństwa, jak dla handlu, powinno było obwarować się granicami dwóch mórz: Bałtyku i Euxynu.

Jak mądrzy, jak daleko widzący mężowie kierowali wówczas sprawami kraju, przekonywamy się z zřęcznie pozawieranych sojuszów, to z Tatarami krymskimi aby mieć ich w potrzebie na Krzyżaki buntujące Litwę, a razem na Wołoszę, to z Tatarami zawolskimi na wzrastającą potęgę Iwana Wasylewicza. — W rozum polityczny ufano więcej niż w szablę, którą u nas zazwyczaj prędko chowano do pochew. Zdanie Grzegorza z Šanoka: „Dla ocalenia kraju więcej jest sił w rozumie, niż w ciele“ — daje najlepszą miarę jaką przywiązywano wagę do rozumu mężów stanu.

Wszakże nietylko w zewnętrznych stosunkach rozpierała się czynność ówczesnej Polski — wewnątrz panuje ruch i ustalają się ściśle formy. To, co było zwyczajem w prawodawstwie, sądownictwie, administracyi, zamienia się w wyraźne prawo, i daje społeczeństwu silne rękojmie. W pracy téj zachodzą nieuniknione starcia się przeciwnych

dążności, odmiennych sposobów widzenia, choć z celem jednym, którym była wielkość i potęga królestwa. Jedno stronnictwo widziało przyszłość w ustaleniu powagi i umocnieniu władzy królewskiej; drugie pragnęło rozdzielić władzę pomiędzy przewodniczące stany w narodzie. Król był na czele pierwszego, a z nim dwaj Ostrorogowie, Grzegorz z Sanoka, Jan z Czyżewa i później osławiony Kalimach. W drugim stawali: Zbigniew Oleśnicki, Jan z Rytwian, Jan z Tarnowa i Jan z Melsztyna, jako obrońcy i popieracze średniowiecznych swobód i przywilejów. Pierwsze stronnictwo było odbiciem się tych pojęć dynastycznych, które na zachodzie wydały prawdziwych fundatorów państw, jak: Ludwik XI., Ferdynand i Izabela, Henryk VII., Maksymilian I. — Drugie więcej sprzyjające usposobieniu narodu, zabiło go później nadmiarem swobód, zlanych na jeden stan. Już za Kazimierza zmienia się fizyonomia zjazdów; dotąd powoływano na nie prałatów, możnych panów i niektórych tylko urzędników ziemskich, — teraz sejmikuje liczna reprezentacya i sama radzi o swoich prawach, sądach, administracyi, skarbie. — Stan rycerski zagarnia wszystko dla siebie, i przypra-

wia o upadek miasta, a dolę stanu kmiećego pogarsza, pozbawiając go swobód, jakich dotąd używał.

Na tém polu historyczném, które jakby wyzłocone i misterną rzeźbą okryte tło w średniowiecznych malowidłach, ukazuje się nam postać Jana Ostroroga. Ród to wielkopolski, piastujący najpierwsze urzędy; wé wszystkich czynnościach sejmowych czy w traktatach, czy na wojnie, czy na poselstwach, wszędzie świeci imię Ostrorogów, szczególnie w XV. wieku. Bywały u nas domy, co jak dynastye panowały w swoich ziemiach i prowincjach, a następnie tak malały, że nazwisk ich nigdzie niespotkasz, nie już w historii, ale nawet w konstytucjach sejmowych. Jan, o którym mowa, był synem Stanisława wojewody poznańskiego; kiedy się urodził — niewiadomo: bo i tak archiwa grodu poznańskiego zaledwo kilka szczegółów dostarczyły p. Wegnerowi, aby mógł złożyć jego żywot. — To pewna, że około roku 1450 uczył się w Bononii, i otrzymał stopień doktora obojga prawa.

Po powrocie do ojczyzny poszedł na dwór Kazimierza Jagiel., i tam wprawiał się do usług publicznych. Jakoż niebawem przypuszczono go do poufnéj rady królewskiej, na którym to urzędzie, nietylko radą pracował nad odzyskaniem Prus, ale

nawet orężnie stawał przeciw Krzyżakom. Czynności jego dzieliły się między dworem a obozem. On to, gdy skarb był wycieńczony, podaje myśl zasilenia go sposobem pożyczki skarbami kościelnymi, na co zgadzają się biskupi; a gdy i to się przebrało, radzi nałożyć podatek na bogatsze stany królestwa, tak duchowne jak świeckie. — Gdy zaś w przewlekającej się wojnie z Krzyżaki dzieją się w kraju łotrowstwa możnych, a król ograniczony w swój władzy często opuszcza ręce, obruszają się Małopolanie i zapaleni mową Jana z Rytwian, mianą na zjeździe r. 1459, grożą odmówieniem posiłków na pruską wyprawę, i król dla złagodzenia wzburzonych wyznacza powtórny zjazd do Piotrkowa tegoż roku. W przekonaniu, że nie z jego winy wypływa wszystko złe, przemyśliwa o naprawie i poleca Ostrorogowi wygotować pamiętnik, w którymby podał sposoby zaradzenia nieładowi Rzeczypospolitej. — Otóż pismo to kilkanaście kart zawierające uczyniło imię Ostroroga sławnem i zjednało mu pierwsze miejsce w rządzie naszych polityko-statystów, a co ważniejsza, rady i ulepszenia tam podane, zamieniły się częściowo w obowiązujące uchwały. Rozbiór tego pamiętnika

wywołał całą rozprawę historyczną, którą się p. Wegner literaturze naszej przysłużył.

Widzimy w innych Ostroroga jeszcze czynnościach, to jest w traktowaniach o wcielenie ziemi Bełzkiej, a następnie Mazowsza do Korony, — a ledwo to ukończył, jedzie w charakterze posła załatwiać stosunki dyplomatyczne Rzeczypospolitej z Rzymem. Tam on przekonał się o niechętnem usposobieniu Piusa II. dla Polski, wiedział o jego liście do Zbigniewa Oleśnickiego utyskującym na Polaków, że z ich przyczyny Niemcy nie posiadli Czech i Węgier, a nawet samój Polski, przez wypędzenie Wilhelma; wiedział jak się przeciwil przeniesieniu Krzyżaków na wyspę Tenedos, aby tam obrócili oręż swój przeciw Turkom; wiedział nareszcie z jakim upodobaniem słuchoł w Mantui mowy prokuratora krzyżackiego krzywdzącej króla i Polskę. — Poznawszy on, że na pośrednictwo Rzymu liczyć nie można, radził dobyć wszystkich sił na pokonanie orężem wiarołomnego zakonu. — Po latach 14 uporczywój walki skończonej ze szkoda Krzyżaków, spisano traktat toruński, w którym ojciec i syn Ostrorogowie rozwinęli czynność i przezorność dyplomatyczną. Z gotowym traktem został Jan wyprawiony do Stolicy Apostolskiej

po ratyfikacją onegoż. — Już wtedy siedział na stolicy Paweł II., który niezmienił niechęci swój dla Polski, będąc pod wpływem wyłącznie niemieckim; Ostrorog powiedział mowę, zapisaną przez naszych historyków, a którą autor w polskim przekładzie przytacza. Nie wiele zmieniła usposobienie Rzymu wyborna mowa Ostroroga; owszem jak za Piusa II., tak i za jego następcy polityka papieżka wbrew interesowi kościoła przynosiła uszczerbek Rzeczypospolitej, gdy dopomagała Iwanowi Wasilewiczowi do zawarcia związków małżeńskich z Zofią Paleologo i korzystnych sojuszów. Tutaj wszakże autor pomylił się (karta 47) mieszając Iwana Groźnego z Iwanem Wasilewiczem, co stanowi różnicę lat kilkudziesięciu, i na inne naprowadza stosunki. Ostroróg, po powrocie z poselstwa pojmuje w małżeństwo Helenę, księżnę Raciborską a następnie widzimy go ciągle zajętego sprawami kraju w zawodzie sędowniczym. Archiwum grodu poznańskiego dostarczyło dat do tych jego czynności obywatelskich. W przewidywaniu smutnych następstw z ograniczenia władzy królewskiej ciągle pracuje nad powiększeniem jój, tak przy Kazimierzu, jak przy Janie Olbrachcie; usiłowania te jednak nie mogły powstrzymać narodu rozmiłowa-

nego w swoich swobodach. Zgon Ostroroga przypada około r. 1501, na niewiele miesięcy przed zgonem Olbrachta ruszonego paraliżem w Toruniu. O nim wyraża się jeden ze współczesnych w tych słowach: „Był to mąż obdarzony umysłem bystrym, ujnującym, wszechstronnym; a co najważniejszą w wymowie stanowi zaletę, w téj mierze podniosłym, iż trudno rozpoznać, czyli kto był ozdobniejszym w mówieniu, lub potężniejszym w przekonywaniu.“

Autor skreśliwszy w tém okoleniu dziejowem postać Jana Ostroroga, poświęca kilka kart uwag nad samymże pamiętnikiem. — Był on ułożony po łacinie i cztery wieki zostawał w rękopiśmie pisanym przez Stanisława Górskiego, pisarza Piotra Tomickiego kanc. kor. — Biblioteka Jagiellońska posiadała 17 tomów zbioru: *Actionum regiarum* Górskiego, w ostatnim mieściła się praca Ostroroga. Załuski pożyczył go był niegdyś do przekopowania, lecz go niezwrócił: bo rękopism z biblioteką Załuskich dostał się do Petersburga. Inny exemplarz rękopisu posiadała bib. Willanowska, i z tego to Hipolit Kownacki porobił wyciągi w przekładzie umieszczonym w Pamiętniku Warszawskim Bentkowskiego. Następnie wydał text

z wolnym polskim przekładem J. W. Bandtkie w Warszawie 1831 r. Autorowi do pracy jego służyły dwa odpisy, mianowicie kopia ze zbioru Górskiego w bibliotece Petersburskiej.

Pamiętnik Ostroroga, który Michał Wiszniewski mieni najważniejszym dziełem wieku XV. po Kronice Długosza, a Czacki stawia wyżej nad wszystkie prace naukowe ówczesnych akademików krakowskich mały wpływ wywierające na stosunki i życie narodu, — mieści w rzeczy samej pomysły wytrawne o sprawach i rzeczach publicznych, i to we wszystkich gałęziach i kierunkach, jest tam bowiem dotknięta i polityka zewnętrzna i stosunki międzynarodowe i dyplomatyczne; stosunek kościoła do państwa z uwzględnieniem władzy sądowniczej i karności duchownej; niemniej prawodawstwo ogólne; wewnętrzny układ Rzeczypospolitej, właściwości jej władz w obec rządu; administracja; sądownictwo cywilne i karne; policja; obrona kraju; skarb i podatki; przemysł i handel; wychowanie i obyczaje — wreszcie pamięć o pielęgnowaniu narodowego języka. To wszystko zamknięte w związanych artykułach.

Przeciw świeckiej polityce Rzymu występuje otwarcie, z przekonania i z świadomości stanu

rzeczy, a nie z pociągu do religijnego nowatorstwa, podobnie jak odzywa się Długosz, kanonik krakowski, mąż wielce pobożny, który choć był kapłanem katolickim nie przestał być obywatelem.

Między innemi upomina się aby Polska wolną była od opłat wnoszonych do Rzymu, a to z téj przyczyny, że jest wystawioną na ciągłą wojnę z Turkami, Moskwą i Wołoszą. Ona zasłania swemi pierściami Niemcy — słuszno tedy żeby annaty wnoszone po śmierci biskupów do skarbu papieżkiego, zostawały w skarbie królestwa i służyły na koszt obrony. — Było to bardzo sprawiedliwe żądanie — wiadomo bowiem jak wówczas chciwość włoska wysysała pieniądze ze wszystkich krajów, co może było jedną z głównych przyczyn lutrowego odstępstwa od Kościoła. Zdrowa rada Ostrogora zapobiegała temu, i przypominała owszem, że królestwo postawione w przedniej straży chrześcijaństwa, należało raczej wspomagać, niż ogałacać ze środków. Niemniej trafne są jego pomysły o stosunku kościoła do państwa, a tak świeże jakby za naszych dni powiedziane. Utrzymuje on, że każda z nich zgodnie z drugą, lecz samodzielnie, podług własnej natury, i za pomocą własnych środków, udzielny na życie wpływ wywierać po-

winna. Ta myśl zapewniająca kościołowi, a zarazem wyzwalająca z pod jego przewagi państwo: bo w ówczas Kościół miał tę przewagę, wystarcza do ocenienia tego męża stanu. Okrzyczana niesłusznie ciemnota średnich wieków, świeciła takim światłem, z jakiego chlubią się dzisiejsi politycy, myśląc, że co nowego odkryli. Pełno tu w każdym ustępie zdrowych postrzeżeń. Co do prawa, jakim się w kraju sądzą, nagania, że inne służy szlachcie, inne plebejuszom; że jedno zowie się polskiém, drugie niemieckiem. Najbardziej gorszy go udawanie się po sprawiedliwość do Magdeburga; chociaż Kazimierz W. dawno zniósł ten rodzaj sądu, widać że zwyczaj utrzymywał się za jego czasu. Monarchiczne centralizacyjne wyobrażenia Ostroroga, niechciały mieć urzędników wybieralnych, lecz płatnych; Kalimach za tém samym obstawał. Podobnie o wiele wieków wyprzedził państwa europejskie w pomysle obrony kraju, gdy wszystkie stany powołuje pod broń w razie niebezpieczeństwa. Jak zaś czuł potrzebę używania ojczystego języka, ciekawym jest ustęp, w którym powstaje na kaznodziejów niemieckich w świątyniach wzniosłych i okazałych, gdzie jedna lub dwie baby kazania słuchają; gdy tymczasem wielka liczba pol-

skiego ludu tłoczy się w jakim zakątku ze swoim kaznodzieją. — Można powiedzieć, że Ostroróg nosił w piersi zdrowie całego narodu, że widział jasno jakich mu odmian i popraw było potrzeba, aby się zorganizował na trwałych podstawach. — Pomysłów, jak widzimy, nigdy nam nie brakło — do wykonania ich nie było tylko dość energii w panujących i podwładnych.

Ucząca ta monografia zaleca się jasnym, dobrze obmyślanym układem; słowem, jest to książka zrobiona przez myślącego i kombinującego człowieka, a nie jak wielka część naszych historycznych prac, nieprzetrawioną zbieraniną. W języku tylko czuńnikiedy zwroty trącające niemczyzną, jakiś tok wysłowienia nieswojski, co zawdzięczamy początkowym naukom wpływającym na zwichnięcie rodzinnego tonu.

Praca historyczna nie mniejszej wagi, lubo malująca postać o czterysta lat późniejszą niż Jan Ostroróg, ukazała się w książce pod tytułem: *Kronika Podhorecka*. Jest to właściwie żywot Wacława Rzewuskiego, Het. W. Koronnego, ułożony z dokumentów znajdujących się w archiwum hetmańskim w Podhorcach, przez jegoż prawnuka, hr. Leona Rzewuskiego. Niegdyś Caraccioli, domownik hetmański wydał był żywot Wacława, —

lecz w oratorskiej, często ckliwej i pustej gadaninie cudzoziemca; niewiele treści ułoić; niewiele się o ówczesnych wypadkach oświecić.

Wielką zatem oddał autor dziejom przysługę, że tyle nowych materiałów wywiódł na widok; większą, że je umiejętnie powiązał i krytycznym zdaniem ważności im dodał.

W przedmowie autor nie tuszy sobie ani pochwał, ani pobłażania, z téj miary, jak mówi, że go w szkole wojskowej polskiej nieuczono stylu. Zbyteczna obawa: Dzisiejsza krytyka o styl niewytoczy procesu; treść mówić będzie za siebie; zresztą stylu w żadnej nienaucej szkole, chociaż języka zawsze w szkołach uczono. Co się zaś tyczy wyznania, że autor pracując nad współczesnymi świadectwami przyszedł do poglądów wcale innych, jak te, co są w obiegu — temci lepiej! Na to właśnie są źródła dziejowe, aby z nich wydobywać jaknajmnieję zabałamuconą prawdę; aby na ludzi i wypadki patrzeć okiem nieuprzedzoném, ani je robić współnikami naszych późniejszych wyobrażeń lub namiętałości.

Piękną myśl powziął autor, gdy przedsięwziął kreślić żywot Wacława Rzewuskiego, godny Plutarcha. Był to można powiedzieć ostatni z męzów

starój Rzeczypospolitej, której wielkie cnoty w sobie połączył, a wad nie miał; który do upadłego trzymał się przy Leszczyńskim obranym wolnemi głosami; który acz nieprzychylny elekcji Poniatowskiego pod bagnetowym wpływem Rosyi, jeden z pierwszych zrobił reces „dla uprzątnienia tego wszystkiego, coby najmniejszą różnicę uczynić mogło między synami ojczyzny“ — który nakoniec, stając mocno w obronie wiary ś. porwany został i wywieziony do Kaługi na pięcioletnie cierpienie.

Oto główne rysy publicznego zawodu Wacława: moc charakteru w przeciwnościach niezłomna, w nieszczęściu wierność, miłość zgody i jedności większa niż osobiste przeświadczenie, niż ambicya postawienia na swoim w polityce stronnictw; za to w sprawie Kościoła gotowość do poświęceń się męczennicza.

Jest tu i żywot jego domowy dotknięty; ale ściśle wzięwszy pod rozwagę, u takich stróżów Rzeczypospolitej jakimi byli hetmani, nie było domowego żywota w tém znaczeniu, jakie dziś przywiązujemy do odstawnego lub pensyonowanego feldmarszałka. . . .

W pokojowych, wylegających się w czasach saskich hetmani siedzieli w swoich rezydencyach.

Jan Klemens Branicki, Hetm. W. K. w Białymstoku a Rzewuski Hetm. polny w dziedzicznych Podhorcach. Główny kierunek spraw wojskowych i dyplomatycznych nie wychodził z ich ręki. — Rzewuski organizował i reformował stojące pod swoją komendą pułki jazdy i piechoty; korespondował z dworami; rozstrzygał pograniczne zatargi z sąsiednim Krymem, Turcyą, Wołoszą, co wszystko opierało się o kancelaryą hetmańską; a krom tego jeszcze w sprawach wewnętrznych kraju brał ścisły udział. Niepojmowano wówczas jak to żyć w obojętności do rzeczy publicznej, gdy same nawet rozrywki i tryb codzienny nosiły cechę szlacheckiego zajęcia. Kronika Podhorecka podaje w tym względzie kilka rysów, jak hetman polny zabawiał się upiększeniem Podhoreckiego zamku należącego do najcenniejszych ozdób naszego kraju; jak wznosił piękny kościół, jak Smuglewicza i Czechowicza sprowadził aby go przyozdobili; jak wreszcie w swobodnych chwilach pisał rymy i tragedye, które w teatrze zamkowym przedstawiała trupa dramatyczna — przytem jaka staranność, jaka pamięć o najdrobniejszych szczegółach domowego gospodarstwa! Świadczą o tém księgi zamkowe pełne dowodów czynności a i miłosiernych uczynków. —

Dodajmy do tego pilność około wychowania synów, skrupulatną gorliwość w wypełnianiu praktyk religijnych — a będziemy mieli doskonały wizerunek staropolskiej cnoty.

Wdzięczna to praca, którą podjął prawnuk, mogący się poszczycić takim pradziadem; i wykonana też z ścisłością godną przedmiotu. Mnóstwo napotykamy w niej ciekawych dat i szczegółów nieznanych nam z tej epoki saskiej, co choć tak niedawna, a tak w materyały obfita, nie ma dotąd swojej historii. A przecież okres ten lubo wcale nieświetny i upokarzający dla dumy narodowej, że od siebie pióra odstręczał, zasługiwałby na pilniejsze badanie niż inne czasy obrabiane kilkakrotnie z zapalem. W tej to właśnie rozstrajającej ciszy saskiego panowania, staroświecki duch narodu wietrzył, obojętniał powoli, a natomiast wykluwał się inny, co w sam raz przypadła do form nowożytnych. Poniatowski zastał już grunt przygotowany, dla tego słabą była walka starego ducha z nowymi pojęciami, których był wyobraźcą, można rzec, w nienajlepszym gatunku. — Porwanie senatorów z jego natchnienia i rozkazu, choć Repnin był narzędziem, uważam za ostatni cios zadany staréj Rzeczypospolitéj; konfederacya

Barska była tylko zbrojną protestacją przeciw temu zamachowi. — Odtąd wszystko już poszło nową faza; reformy po reformach w każdej gałęzi wewnętrznego organizmu, aż do obyczajów i zwyczajów. Dawne wyobrażenia zacierają się, a z nimi formy i instytucje. Sejm konstytucyjny do reszty wszystko przetworzył i usankcjonował, a choć nic nie umocnił, miał za sobą większość narodu, mianowicie oświeconszą, chciwie lgnącą do tych reform mających stworzyć silne państwo. Że to nie było na rękę sąsiadom północnym, dowód najlepszy w popieraniu przeciwników reformy, którzy byli zwolennikami anarchii republikańskiej, z jakiej naród pragnął się wyzwolić.

Autor Kroniki Podhoreckiej kilkakrotnie w uwagach swoich pokazuje nam dwa stronnictwa ścierające się ze sobą. Jedno pragnące utrzymania dawniej konstytucji, a mianowicie czterech kardynalnych podstaw Rzeczypospolitej, jako to: Obrony wiary ś., wolności elekcyi, całości władzy hetmańskiej i *liberum veto*; drugie dążące do reform monarchicznych, do scentralizowania władzy w rękę króla; na czele pierwszej stali hetmani, na czele drugiej książęta Czartoryscy. Ci ostatni będąc słabsi w początkach, uciekli się o pomoc do Rosyi

i przemogli; z ich ramienia wstąpił na tron Stanisław Poniatowski. Owoż nie można winować Targowiczan jak mówi autor, że będąc obrońcami i wyznawcami starych praw kardynalnych Rzeczypospolitej, uciekli się o pomoc do tej samej potencji, co pomagała stronnictwu monarchicznej reformy. „Ostatecznemi — mówi on — tych dwóch party wysileniami były: Konstytucya 3go maja i téjże oddziaływanie w konfederacyi Targowickiej. Ani party monarchicznej, ani republikańskiej zamiarów samolubnych i podłych niegodzi się podsuwać itd.“ A na inném miejscu: „Polityka Hetmanów ostatnich (Targowickich) miała koniec najsmutniejszy. Czyli przecie środki przez nich użyte były przyczyną upadku ojczyzny, czy podział kraju po konwokacyi (1764) nie mógł nastąpić zupełny, jaki nastąpił po Targowicy — o tém bezstronna kiedyś zawyrokuje historia.“

Jak kiedyś osądzi to historia, nie wiemy; ale to pewna, że naród, jedynie kompetentny w tej sprawie sędzia, dawno swój wyrok ogłosił; ten, kto odbiera ciosy czuje najlepiej, która ręka zadaje śmiertelny. . . .

Postawienie na jednej linii stronnictwa monarchicznego Czartoryskich, ze stronnictwem repu-

blikańskiem Targowiczan, ma za sobą pozorne podobieństwo, w tém, że jak jedni tak drudzy uciekali się do obcych wojsk pomocy: lecz niezapominajmy o różnicy celu: Czartoryscy bowiem usiłowali zgnieść bezrząd, który Polskę robił najslabszą z europejskich potencji; gdy Targowicka konfederacya stawała w obronie nierzędu, i to nie na przeciw żadnemu stronnictwu, ale przeciw większości narodu z królem na czele... Czartoryskich działania należały do epoki, w której jeszcze nie zabierało się na podział kraju; Targowiczanie mieli już żywy przykład pierwszego zaboru. Czartoryscy, August i Michał zbyt zaufani w swoją przebiegłość polityczną, chcieli Rosyi użyć za narzędzie swych planów reformy, w czém się zawiedli, trafiawszy później na rządy zręczniejszej od nich Katarzyny. Targowiczanie przeciwnie: od razu zrobili się jój narzędziem. Potrzeba nam tu przypomnieć sobie jak się działo, aby nie popadać w bezzasadne pewniki.

Kiedy sejm czteroletni ogłaszał swoją konstytucyę, całą władzę przelał na króla — najnieodłączniejszego; hetmanów usunął, wojsko poddał królowi, który bić się nie chciał, i kazał ustępować dzielnemu wojsku.... Sejm srodze zbłądził, że

się wyrwał z władzy i oddał ją w ręce najmniej zasługujące na ufność. Bystry wzrok Imperatorowej od razu pojął całą sytuację. — Zawiesza wojnę z Turcyą; sprzymierza się z królem pruskim w jeden szauiec obronny przeciw duchowi i wpływowi rewolucyi francuzkiej. Wielkie środki, a i najmniejsze, wszystkie jęj służą; zna ludzi, czerpie naukę z doświadczenia, znajomości praw polskich i przeszłych wypadków. Mało jęj mieć silną armią z Suwarowem na czele; trzeba jęj rozdziwić umysły w Polsce, spojone, źle czy dobrze, ale zawsze zjednoczone w konstytucyi i królu; przemyśliwa tedy jakby drugą władzę postawić. — Przypomniała więc sobie, że istniała partya starych republikańów, konfederatów Barskich, zgnieciona przez partyę królewską. Postanowiła tedy wzbudzić ten żywioł konfederacki, aby z jego pomocą prędzej uprzętnąć się z Polską, a mieć ręce rozwiązane do wystąpienia przeciw rewolucyi zachodniej; długo bowiem przeciągniona wojna z konstytucyonistami, mogła być nieskończenie powikłać jęj dalsze plany. Otóż nowa konfederacya, ta druga władza, była jęj potrzebną. Raz, że król, jaki on był, to był, ale nie wypadało, aby się sam przyłączył do obcego wojska wchodzącego w jego kraj — trzeba było znając

jego słabość, ułatwić mu to przejście przez pod stawienie jakiegoś związku, do któregoby zrobił akces i zerwał z konstytucją. W tym celu wezwano bawiącego w Wiedniu Szczęsnego, który skwapliwie dążył drogą na Jassy, gdzie był Potemkin, i przyjechawszy na Ukrainę w Targowicy ogłosił akt konfederacyi wydany wspólnie z manifestem wojny. — Złączony z Hetmanami niby na podobieństwo konfederacyi Sandomierskiej, zaprzysięga całość granic Rzeczypospolitej — formuje nowe pułki — a jednocześnie odbiera znaki honorowe wojsku konstytucyjnemu, odpycha je od sprawy; doświadczonych generałów, jak książę Józef i Kościuszko nie stara się użyć; słowem Targowiczanie nic nie robią, aby opanować najwyższą władzę w kraju, tém bardziej, kiedy król dobrowolnie chce abdykować, idzie im tylko o zabicie konstytucyi przez rozdwojenie narodu. Zemsta obrażonych osobistości! . . . . Gdyby ogromowi ich pychy wyrównywał był rozum obywatelski i szczerą chęć ocalenia ojczyzny, mieli porę zbawić ją nawet na drodze zasad starorepublikańskich, — lecz oni sami mało w ich moc wierzyli.

Godłem ich: bożyszczce pogańskie, wolność, złota wolność; o świętej wierze ojców tém naj-

pierwszém prawie kardynalnem, nigdzie w ich manifestach i protestacyach ani wspominku. . . . Ślepe, posłuszne narzędzia, niezdobyli się na więcej energii jak na to, co w manifestach i dekretach spisali. — Ztąd téż choćby z największem wyrozumieniem, możnaż ten historyczny proces przed potomnością obronić? gdy im więcej wchodzi się w szczegóły, tém więcej przed kratkami staje potępiających świadków. Mogą znaleźć się pisma, dokumenta, rzecz modyfikujące na korzyść indywidualów, lecz żadna obrona niezmodyfikuje téj prawdy: że konfederacya Targowicka nie wystąpiła w charakterze stronnictwa przeciw stronnictwu; lecz jako spisek uknuty przeciw ukonstytuowanej większości, mającej monarchę na czele. Przy której stronie była żywotność, a zatem i prawowitość, najlepiej to przekona: że duch sejmu czteroletniego wywoływał tyle późniejszych objawów życia w narodzie — gdy pseudolegizm Targowicki nie zostawił żadnego krom literackiego potomstwa — przebrzmiał w niesławie i służy za przykład pychy nie umiejącej z siebie zrobić ofiary. Powie kto: mieli takie przekonanie i w niem dotrwali? — lecz przecież byli i inni zwolennicy praw kardynalnych Republiki, co tworzyli w sejmie opozycyę, a nie-

opuszczali stanowisk, aby knuć pokątne zmywy, a kiedy wzywano ich do przysięgi na nową ustawę, odzywali się jak między innymi Sapieha: „Przekonanie moje jest inne, ale ja tam, gdzie król, gdzie inni prawi obywatele.“ Nie miłość praw kardynałnych, lecz obrażona miłość własna zaprowadziła do Targowicy..... a w rzeczy publicznej to więcej niż błąd.

Autor o ile zauważałem, kładzie w kilku miejscach nacisk na korpus kadetów, założony przez Stanisława Augusta, w skutek położonego mu warunku w paktach konwentach. Pomysł to był Czartoryskich, już dawniej podawany królom, lecz niedotrzymany. Powiada autor że, „przez założenie tej szkoły młodzież miała pobierać publiczne wychowanie, zamiast dawnego w szkołach duchownych, w ojcowskim domu, lub przy dworach możnowładców. Potrafili oni tym sposobem oderwać synów od starszlacheckich tradycyi domowego wychowania, od konserwacyjnego wpływu sędziwego duchowieństwa, i duch rycerski dawnego Towarzystwa, na *esprit de corps* militarny zamienić.“

Zdaje mi się, że zbyt wiele przyznał autor tej szkole, która zresztą była najpraktyczniejszą co do posuniętych w niej nauk. Jakaż to bowiem szczupła

liczba kształciła się kadetów w porównaniu do mnóstwa uczniów innych szkół! Wprawdzie król się zobowiązał wychowywać 200 elewów kosztem Rzeczypospolitej, lecz jak wiadomo z ustanowieniem jej było ich tylko 60, a w najświetniejszych czasach nigdy nad 80, co było drobnostką w porównaniu tylu wychowañców wychodzących ze szkół duchownych i akademiów. Zresztą niewiem, jak rozumieć ten *konserwacyjny wpływ sędziwego duchowieństwa*; chyba, że konserwowało grubą ciemnotę, jak o tém przekonać się można ze stanu akademii krakowskiej, zamojskiej, wileńskiej i licznych akademickich kolonii po całym kraju rozsianych. Jedni Pijarzy i Jezuici, co byli zaprowadzali w konwiktach tryb naukowy zastosowany do potrzeb kraju; a ci ostatni przez rywalizację z pierwszymi. -- Mniemam przeto, że nacisk na zwrot w wychowaniu publicznem, *odrywajacem synów od sturoszlacheckich tradycyi*, mógłby raczój dosięgnąć reformy Konarskiego, która umysły młode przerzucała nagle w świat filozoficzno-liberalnych teoryi. Kierunek, duch wykładu naukowego, mógł być fałszywy — nie przeczę; lecz z drugiej strony trzeba przyznać, że z reformą szkół zaczęto dopiero korzystać z postępu, jaki zrobiły nauki i umie-

jętności w Europie; gdy u nas przedtem i długo potem, a nie jest to wymysłem, trzymano się tych samych systematów i metod, jakie były używane w wieku XV. Czyż w wydziale filozoficznym nie dyktowano fizyki Alberta W. i Arystotelesa *de sensu et sensibili*; o systemacie Kopernika nikt nie gadał: bo w wydziale matematycznym główną figurą był *regius astrologus*, wydający kalendarze z prognostykami.

Gdyby się jaki naród chiński murem od innych narodów odgradził, możeby poprzestał na tym uświęconym dawnością konserwatyzmie ciemnoty, wystarczającym dla jego potrzeb duchowych i materyalnych; — lecz nasza Rzeczpospolita oczu-  
cająca się z letargu, dążąca do reform, nie mogła grzeszyć zbytkiem nauki, ani téż można mieć za złe Czartoryskim i królowi Stanisławowi, że w téj jednej gałęzi zrobili wielki krok naprzód, chociaż nie w kierunku konserwatywnym dawnego trybu uczenia, to pod względem praktycznym: bo dostarczyli krajowi ludzi usposobionych do publicznych posług.

Pozwoliłem sobie tych kilka postrzeżeń nad książką, która powinna znaleźć ogólne przyjęcie; raz, że daje obfitą korzyść z zawartego w niej ma-

teryłu dziejowego, po drugie, że bez względu, jakie autor obrał sobie stanowisko, zawsze myślącego czytelnika do pracy wewnętrznej pobudzi — co za jedną z największych poczytuję zalet; — książka bowiem, o której się nie myśli po zamknięciu, potrzebną nie jest. — •

---

# AUSTRALIA.

---

Podróże z przyjemności i podróże z musu. — Zmyślone opisy przygód. — Towarzystwo okrętu: *Great Britain*. — Wyspa Ś. Heleny. — Longwood. — Przybycie do Australii. — Drożynna. — Obrazki z kopalń. — Dziecy. — Zawiedzione nadzieje. — Powrót do Europy.

Jeżeli u nas panowała moda podróżowania po cudzych krajach, nie tyle dla kształcenia się i badania dróg prowadzących do nabytków cywilizacyi, ile dla uprzyjemnienia sobie życia w wykwin-tach wielkich stolic, co przyprawiało najczęściej o stratę fortun powierzanych rządcom i ekonomom bez kontroli oka pańskiego — jeżeli zawsze pędziło coś możniejszą część narodu za granice własnego kraju — tedy dogodziła nam Opatrzność i chcący nie chcący wysypało się kilka tysięcy ludzi, po większej części bez grosza w kieszeni — idących szukać na szerokiej kuli ziemskiej — nie

już wykwintów zbytkowego życia, ale po prostu powszedniego chleba...

Za lekkomyślne grzechy ojców spełnia się pokuta, tém sroższa, że tym podróżom mimowolnym i bezkreśnym towarzyszy najczęściej serdeczna tęsknota za domem i rodziną, mająca znowu tę korzyść, że w piękniejszym świetle pokazuje nasze ubóstwo i prostotę i uczy wyżej szanować cnoty moralne i obyczajowe nad świetne zdobycze cywilizacji materialnej lub polor zepsucia.

Ależ nietylko ta jedna korzyść doświadczenia; są jeszcze inne mogące spłynąć z tyłu dobrych i pożytecznych rzeczy, jakich się napatrzone i wyuczono w cudzych krajach, aby zastosować u siebie; co nim nastąpi, tyle przynajmniej zyskujemy, że niejeden, co zwiedził dalekie lądy i morza i jak Ulisses różnych miast poznał obyczaje, stara się to opowiedzieć ziomkom swoim domatorom, a byle się dobrze i z prawdą wywiązał, każdemu miliej będzie go słuchać lub czytać, niż samemu gonić wiatry po pięciu częściach świata.

Podług przyjętego dzisiaj zwyczaju pierwszym skutkiem podróży bywają opisy wrażeń i przygód doznanych w cudzych krajach; ztąd też i nasza literatura dopiero od nie dawna pomnożyła się

podróżami. Dawniej bowiem podróżujący magnaci nie lubili dzielić się wrażeniami swemi, może dla tego, że nie udawali się za granicę po wrażenia, tylko w interesach kraju lub dla własnej korzyści lub przyjemności; przytem niepochoptni do pióra myśleli sobie: Kto chce wiedzieć jak to wygląda, niech sam jedzie i gołym okiem zobaczy.

Jeżeli zaś trafem gmin szlachecki chcieli przypuścić do relacji swych przygód, tedy spisywał takowe jaki dworzanin lub sekretarz, jak to zrobił Treter towarzyszący Radziwiłłowi Sierotce do Ziemi Świętej. Z tych tedy powodów choć zawsze podróże u nas były w modzie, opisów podróży dawniejszych tak skąpo. Ostatni lat dziesiątek dostarczył ich najwięcej. Trypplin, niewyczerpany Trypplin, od razu opanował ten rodzaj piśmiennictwa, i od razu zamącił go w ten sposób, jak zamącone zostały wszystkie rodzaje literatury; to jest, że podróżom odjął właściwy charakter rzetelnego i ścisłego opisanie rzeczy widzianych, a natomiast wprowadził do nich romans — przez co wprowadził nas w powątpiewanie, ażali to, co czytamy, należy brać za prawdę lub fikcję? Dość było tej lekkomyślności, ażeby zdyskredytować podróże, nawet takie, na których grzech romansowości nie

cięży. Obowiązkiem krytyki pokazać tę różnicę między opisem zgodnym z prawdą, zdejmowanym na miejscu przez zwiedzającego te miejsca podróżnika, a zmyśleniem, czerpaniem z obcych opisów i przykrojonem do awanturajczej fantazyi mniemanego peregrynanta, który się od autorskiego biera na krok nie ruszył. Ażeby się poznać na fałszu, rzecz wcale nie trudna; sam bowiem język podróżnika, co widział opisywane przez siebie kraje, co doświadczał prawdziwych przygód na morzu i lądzie, brzmi zupełnie inaczej; niewymuszoność, prostota wyrażeń malujących rzecz dokładnie, bez niepotrzebnych retorycznych ozdób i amplifikacji; usywa wszelkie podejrzenie; każdy taki opis zdejmowany z natury, każde zdarzenie, w którym miałeś rzeczywisty udział, ma całkiem inny rysunek i kolor i ruch dramatyczny, od opisów i zdarzeń płodzonych wyobraźnią podkarmioną naczytaniem się wojażów.

W rzędzie najlepszych opisów podróży, zrobionych nie z książek, ale z własnego doświadczenia i widzenia, możemy śmiało zamieścić świeżo wydany w Krakowie w dwóch tomach: *Opis podróży po Australii* przez Seweryna Korzelińskiego.

Co zapędziło rodaka naszego aż do piątej czę-

ści świata? znajdujemy odpowiedź w samej przedmowie. Dostawszy się z Azji, gdzie go los wojny był rzucił, do Anglii, niewyganiającej wprawdzie wychodźców, lecz niedającej im środków utrzymania się, nieumiejąc przytem języka angielskiego, ani żadnego ręcznego rzemiosła, znudzony nareszcie życiem bez celu, postanowił w porozumieniu z innymi rodakami puścić się do Australii, gdzie sława kopalń złota, walczących o pierwszeństwo z Kalifornijskimi, wabiła nadzieją, jeśli nie zrobienia fortuny, to przynajmniej przyzwoitego zarobku na życie. Dwunastu tedy rodaków znalazło się w Liverpool, którzy jedną myślą pędzeni wsiedli na pokład parowca „Great Britain“ na d. 21 sierpnia 1852. Był to największy podówczas śrubowy okręt o sile 500 koni, który miał powieźć o 15,000 mil nowych Jazonów po złote runo. — Opis pobytu na okręcie w liczném gronie sześciuset z górą pasażerów do 14 różnych narodowości należących, i charakterystyka niektórych oryginałów, wielce zajmująca; trafność i niewymuszoność rysunku zaprawna humorem, ożywia te figury małej wartości wewnętrznej.

Ciekawe w swoim rodzaju jest to zgromadzenie osób na wielkim okręcie i w tak długiej po-

dróży; między pasażerami byli żydki nasze (gdzie ich nie ma?!), rzemieślnicy różnego rodzaju z Nowego Yorku, z Kanady przybyły kupiec z budulcem do Anglii, golibroda, murzyn; Amerykanin, który się pułkownikiem nazywać kazał; członek jakiegoś Kompanii chcący z Australii wypróbować przejazd do Panamy, i ułożyć projekt linii okrętów parowych dla krótszej komunikacji Australii z Europą; Państwo F. z jedenaściorciem dzieci, zamysławający osiedlić się w Australii, bo jak on mówił, trudno było małym kapitałem wyżywić w Anglii liczną rodzinę; syn bogatego fabrykanta z Yorkshire wysłany przez ojca na deportację pod dozorem zaufanego służącego, z powodu serdecznego przywiązania, jakie okazywał do każdego rodzaju płynu. — Był tam i turysta, co wyszlagawszy wszystkie kamienie w starożytnych ruinach Rzymu, co się draapał na Montblanc, leci teraz szukać specymenów złota w Australii — była i para nowożeńców, uciekająca na ocean dla używania chwil miodowych; — byli różnego rodzaju awanturnicy, spekulanci, oszuści i nieszczęśliwi — tysiąc żywych tematów do dramata, którego ostatni akt pokazuje niekiedy autor, gdy w kopalniach Australii spotka którego z tych towarzyszy okrętowych dążących do celu z rojenia-

mi złotych nadziei, a w starciu się z rzeczywistością, złamanych i od samobójstwa broniących się powolnym samobójstwem — butelką.

Można oddać p. Korzelińskiemu słuszną, że w krótkich słowach, kilkoma rysami, doskonale chwytła te rozmaite typy z jakimi miał styczność — zdaje się nam, że spotkawszy je gdziekolwiek, powitalibyśmy je tytułem dawniej znajomości — a jednak są to figury zupełnie nam obojętne; cóż je więc tak zajmującymi robi? Oto trafność charakterystyki, oto znajomość człowieka — dwa przymioty, na których najczęściej zbywa naszym powieściarzom, mającym pretensję malować społeczeństwo i znać ludzi.

Obok tych postrzeżeń nad pasażerami w ciągu długiej żeglugi, urozmaica tę część opowiadania wiele zajmujących szczegółów i zdarzeń, jak przebycie równika, zwiedzenie wyspy św. Heleny, Przylądka dobrej Nadziei. Spodziewam się, że opis więzienia i grobu Napoleona zdjęty na miejscu przez potomka tych, którzy mu do ostatnich chwil pozostali wiernymi, nie będzie obojętnym dla naszych czytelników; tém bardziej, że wartość książki lepiej da się osądzić z próbek stylu autora, niż z podania treści będącój niepodobieństwem, tam, gdzie

się przewijają wypadki, widoki, coraz nowi zjawiają ludzie, zwyczajnie jak w życiu, jeszcze do tego wśród zbiegowiska tłumów palonych żądzą zdobycia złota.

Zresztą ta wyspa samotna na oceanie — ten grób wielkiego człowieka — to budzi wznioślejsze uczucia i myśli, niż gorączkowa żądza wydarcia z wnętrza ziemi kilku ziarenek kruszcu — przy tej całej operacji najwięcej cierpi szlachetna strona człowieka; cóż, kiedy obraz prawdziwy, tak melan-cholicznie upokarzający, iżby niemożna z zimną krwią nań patrzeć, gdyby autor nierozweselał go połyskami rodzinnego humoru, mającego nawet w minach Australii więcej wartości niż złoto.... Ależ posłuchajmy jego odwiedzin na wyspieś. Heleny:

„Zaraz dnia pierwszego odprawiliśmy piel-grzymkę do grobu Napoleona. Dwie godziny szło się wciąż do góry ponad parów, w którym leży miasteczko; potem ponad przepaście głębokie skręcała się droga w lewo i spuszczała nieznacznie do małego jaru; w jego końcu spostrzegłem miejsce edwo 20 kroków w przecięciu mające, otoczone drewnianymi sztachetami, w kilku miejscach uszkodzonymi; — drżenie wzruszenia przebiegło po całym ciele przy przestąpieniu bramki niskiej; bo tuż przedemną wierzba; pod którą siadywał wielki

człowiek; tu i grób, gdzie długie lata spoczywał pod strażą wart, jak za życia. Do grobu, blisko dwa sążnie głębokiego, schodzi się po stopniach; nad nim daszek z płótna, z jednej strony rozdarty i kawałkiem deski założony — w koło sztachety żelazne, — te chylą się ku upadkowi, równie jak klasyczna wierzba podstrugana u spodu, z której każdy zwiedzający te miejsca, zwykł kawałek kory na pamiątkę unosić z sobą. Naokoło jaru kilka cyprysów i świerków, dalej pojedyncze rzadkie sosny. — Familia mulatów mieszka w domku o parę staj odległym i bierze od każdego zwiedzającego grób mały podarek. Przybycie *Wielkiej Brytanii* było zniwem dla biédaków, bo kiedyż to znowu trafi się tyle podróżujących razem! — Chyba przypadkiem zmuszony jaki okręt zawinie do téj samotnej wyspy, na której zawsze spoczywać będzie urok budzący podziwienie a zarazem odrazę, jaką się czuje do miejsc, gdzie ludzie ludziom długie zadali cierpienia... Na boku w obrębie sztachet rodzaj kapliczki, w niej złożona księga do zapisywania nazwisk, uwag lub wierszy. Anglicy nieprzestają nigdzie poniżać sławę człowieka, przed którym niegdyś drżeli. Następującą uwagę przeczytałem przypadkiem, przeglądając księgę: „Mé-

wią, że Napoleon był wielkim! — być może — jednak nie tak wielkim jak Wellington, który go tu osadził.“ — Widziałem zapisane nazwiska księcia Joinville i dawnych towarzyszy więzienia Césarza Napoleona, przybyłych na fregacie *Belle-Poule* po jego zwłoki, równie jak i wielką liczbę innych ze wszystkich prawie narodów.

„Na wzgórkcu w końcu jaru dom zamieszkały niegdyś przez generała Montolon, dziś hotel z napisem: „Fuler,“ hotel odpowiadający samotnemu miejscu urzędziem, gdyż w nim ani kawałka chleba dostać niemogłem. Przed domem śliczne kamelie. Widząc drzewa 10 do 12 stóp wysokie z kwiatem różowym, niechciałem wierzyć, żeby to były kamelie, choć kwiat zupełnie był podobny do tego, który u nas tylko widzimy w wazonach. — Ztamtąd droga w lewo prowadzi do Longwood, miejsca, w którym przebywał więzień św. Heleny; — po półgodzinie przybyłem tamże. Dom stary, w którym żył i umarł Cesarz, stoi między parowami jakby na połoninie. Znowu za 6 pensów wszedłem przez rodzaj ganku wspartego na dwóch słupach do jednego pokoju; był on bilardowym, teraz zastałem go zupełnie pustym; na lewo kominek, ściany zielono malowane, od góry do dołu okryte nazwi-

skami zwiedzających. W drugim pokoju umarł Cesarz; o parę kroków na prawo, i prawie w połowie pokoju koło okna, ostatnia miejsca cierpienia ziemskiego — deska, na której łóżko stało, i kamień w ścianie, o który się opierało, zabrane do Paryża razem z ciałem. W tym pokoju stały żarna, tj. młynek ręczny do mielenia zboża. Drzwi przeciwne wiodły do pokoju jadalnego; — ciemny był zupełnie, okna musiały być skasowane. Na lewo niegdyś biblioteka, dziś tam człowiek jakiś młóci jęczmień. Na prost z jadalnego pokoju wychodziło się na dziedziniec; na prawo musiały być drzwi, zamurowane teraz, do sypialnego pokoju i łazienki, przerobionych na stajnię. — Z tyłu dom, w którym mieszkał Las Cases, a na dole doktor O'Meara, teraz kuchnia i pomieszkание sługi właściciela Longwoodu. Koło tego domu było źródło wody sławionój jako najlepsza w świecie; — piłem ją — prawda, że słodka i przyjemna a przytem zimna, wiele jednak źródeł wydaje podobną wodę; niewiem tedy, czy mój zmysł smaku niedosyć delikatny, czy ten, co przypisał własność nieporównaną źródłu temu, przyjechał prosto z Londynu i nieznał wody źródlanój tylko filtrowaną okrętową.

Przeszedłem jeszcze raz pokoje; — z ganku

o parę set kroków przedemną dom jenerała Bertranda; naprzeciw niego inny nowy, obszerny, przywieziony z Anglii i postawiony dla Napoleona; on sam miał dać rysunek tego domu. Pokoje obszerne, z obiciem gustowném w kolorach jednostajnych, bladawych, amfilada ładna, wszystko obmyślane do wygodnego życia. Gdyby go byli postawili w pierwszym roku pobytu Cesarza na wyspie, niebyłby cierpiał tyle w ciasnych klatkach starego domu; ten jest bowiem gorszym jak u nas na porządnym folwarku. —

Podumawszy nad znikomością wielkości, nawet takiej jak była Cesarza Napoleona, wziąłem kawałeczek franki w szmaty podartój, i pożegnawszy te sławne miejsca, puściłem się napowrót do St. James-Town, dokąd przemokły dészczem i zmęczony dosyć późno przybyłem.<sup>6</sup>

Po półtrzecia miesięcznej żegludze, zawinął nakoniec okręt „Wielka Brytania“ do zatoki Melbourne — otóż i cel podróży: Australia! Niejeden radby wyskoczyć na tę ziemię, co ma być jego przybraną ojczyzną, a może i grobem, ale porachowawszy się z kieszenią, cofa się i widzi się zmuszonym czekać aż go przewiezą kosztem Kompanii. Pierwsze niemiłe wrażenie jakiego doznają

podróźni, są szalone ceny za najmniejszą potrzebę zycia. Licha izdebka, którą dzielić się potrzeba z dwoma lokatorami kosztuje tygodniowo 4 dukaty; funt chleba dwa złote, jedno jajo złoty. Jakiś amator ostryg nowoprzybyły sądząc, że jak w Londynie kilka pensów za tuzin zapłacić mu przyjdzie, zabrał się do połykania specyału po dawnemu. Kupiec miarkując, że taki przybysz najczęściej nie wiele przywozi pieniędzy ze sobą, przy szóstej ostrydze zapytał go grzecznie: Pan zapewne nie-wiesz co tu ostrygi kosztują? — Nie mam potrzeby się pytać — odparł nowoprzybyły — bo jeżeli w Londynie tuzin kosztuje cztery pensy, to tutaj dla braku rąk więcej jak szylinga za tuzin, tj. trzy razy tyle, żądać nie będziecie. — Będziemy panie, będziemy, — odpowiedział kupiec. Tu każda sztuka kosztuje szylinga, tuzin zatem 12 szylingów czyli 24 złote. Otworzył usta zdumiały amator i jak mówią szósta ostryga zatrzymała się w drodze na takie *dictum acerbum*.

Można sobie wyobrazić trapiące myśli, jakie opanowały biednych wychodźców, nieumiejących żadnego rzemiosła i nienawykłych do ręcznej pracy. Co tu począć? do czego się wiać?

Autor zachowując porządek w swém opowia-

daniu, poświęca jeden rozdział historii Australii czyli odkryciom jój i osadom, niemniej bardzo ciekawe podaje szczegóły o dzikich plemionach zamieszkujących jój lasy; z czego pokazuje się, że jest to rasa najniższa, nie już na skali cywilizacji, ale na skali ludzkiego rodu. Lenistwo przechodzące wszelkie pojęcie; upodobanie w beczynnem waleśaniu się po lasach; chytryść i podstęp — oto rysy ich charakteru. Potrzebę życia zaspakajają polowaniem na kanguroo, oposuma, kaczki dzikie, węże itp. i w tem podziwiać należy nadzwyczajną ich zręczność. Kanguroo zabijają dzidą z drzewa twardego rzucając nią nadzwyczaj zręcznie na znaczną odległość, i bardzo rzadko chybiając celu. Do rzucenia dzidą, szczególniejszą przybierają postawę: stojąc na prawej nodze, lewą podnoszą tak, że kolano, ze spuszczoną na dół niższą częścią nogi, formuje kąt prosty do ciała; na wyższej części nogi jakby na ławce wspierają dzidę, a mierząc okiem bystrém odległość, prawą ręką posuwają naprzód i w tył dzidę, jakby dla większego rozmachania, poczem oeniwszy przestrzeń, którą ma przebiec, ostateczny silny rzut nadają, a dzida zrywa się z nogi jak raca z kozła, świstów w powietrzu i uderza w miejsce upatrzone. Broń

ich i użycie tak opisuje autor: Dzida wojenna, z tego samego drzewa jak dzida do polowania, jest od pierwszej krótszą i grubszą i nazywa się *Wammara*; w pewnej odległości od końca znajdują się haczki jakby u wędki, utworzone przez ości rybie, lub twarde kryształki przymocowane do drzewa kiszkami oposumów lub kanguroo. Sposób rzućania jęj jest także odmienny; już niewspierając na nodze nadają lany wojennej impet jak to robią z myśliwską, ale koniec tępy stawiają na kiju dwie stopy długim, na którego końcu wyrobiony dołek na lancę. Przeciwny koniec *Wammary* trzymany w ręku prawym nadaje popęd, na lewym, spoczywa reszta lany. Tym sposobem rzucona przelatuje 80 do 100 łokci, rzadko jednak trafia dalej jak na 60. Inna broń zwana *boomerange*, najciekawsza ze wszystkich. *Boomerange* jest z twardego drzewa wyrobionego w formie półksiężyca, podobny do ryngrafa oficerów piechoty, niezadziwia kształtem lecz sposobem w jaki go rzucają. Niewiem, który koniec, i jak czarny trzyma w ręku. Rozmachawszy silnie rzuca półksiężyc o kilka kroków od siebie; ten uderza o ziemię, zrywa się jak gdyby popchnięty sprężyną, wznosi w znaczną wysokość, warcząc jak granat, opisuje

w powietrzu na parę set kroków koło nad głową stojącego czarnego akrobaty i wróciwszy pada na miejsce gdzie dotknął był ziemi. Zręczność zadziwiająca, siła rzutu niezwykajna! Aczkolwiek dziwy ci są podszyci tchórzem, jednakowoż podróżni zapuszczający się w głąb lądów australskich, poginęli z ich rąk, a może też poumierali z pragnienia w bezwodnych pustyniach. Australia cierpi na brak wody, i to podobno będzie największa trudność w opanowaniu jój na korzyść kultury europejskiej.

Rodacy nasi, przychodzący szukać tu fortuny, uczuli zaraz na wstępie, z jakimi przeciwnościami będą mieli do walczenia. Słabo zaopatrzone kieszenie niepozwalają tu posługiwać się drugimi — bo ze wszystkiego praca ręczna najdroższa w Australii; — trzeba więc było zrzucić pychę z serca i być sobie wszystkim: i kucharzem, i lokajem, i furmanem i praczką. Nasz autor z właściwym sobie humorem opisuje jak gniółł i warzył kluski, jak robił zawijane zrazy; było to jeszcze pół biedy! — Lecz gdy wypadło mu być praczką, przeklął to kobięce rzemiosło, a chociaż użył ułatwiających sposobów, otrzymał ten wypadek, że podarł bieliznę.

Nielepij poszło z wyprawą do kopalń w *Forest Kreek*. Mając wóz pod rzeczy przywieziony ze sobą z Anglii, kupili w Melbourne konia, aby go zaciągnął do kopalń: gdy koń nie ciągnął, kupili drugiego; gdy zaś oba niechciały ciągnąć, najęli sobie furmana z jednym dobrym koniem i tak dopiero połamawszy w dodatku osie, przebyli 80 mil ang. do miejsca swoich nadziei, ale zupełnie z pustym workiem.

Zapewne każdy z czytelników chciałby mieć wyobrażenie jak wyglądają te kopalnie nowego świata i jakie fizyonomie tych kopaczy złota? — Obraz ten oryginalny i malowniczy powtórzę słowami p. Korzelińskiego.

„Droga ciągnęła się parowem. Po obydwóch stronach na różnych punktach namioty, na górze i na dole, pod drzewami i na stromiej skale, na lewo i prawo, bez porządku i symetrii, w formie rozmaitej bieleją się postawione podług fantazyi, gustu lub potrzeby właścicieli. Przed namiotami gdzieniegdzie ognie, a przy ogniach ludzie jednako ubrani. Okrągłe kapelusze z szerokimi brzegami, koszula w paski niebieskie, spodnie ze skóry angielskiej, buty lub cizemki ciężko kute żelazem, składają ich strój; a wszystkich prawie dłu-

gie brody okazują, że tu albo czasu nie ma do robienia toalety, albo nikt o nią niedba. Stoją zajęci rozmową, siedzą lub leżą na kupach ziemi lub piasku w różnych grupach. W ogorzałych twarzach trudnoby czytać uczucia, usposobienia umysłu lub skłonności. Wszystkie zdają się obojętne, ponure lub zamyślone. Prędzej możnaby postacię noszące takie znamiona pod jedną wciągnąć rubrykę: *Buszenderów* (rozbójników), bo są bardziej do tych podobnymi, jak do spokojnych ludzi ciężko pracujących pod ziemią.

„Środkiem parowu sączy się strumyk wody — przy niej w różnych miejscach coś kopią, to znowu mieszają w kaskach lub kołyszą na jakichś kołyskach. — Tam znowu na przykuczkach siedzi przy samej wodzie jeden i huśta szeroką okrągłą miednicę z białej blachy; co on huśta? — co tam mieszają? — Oczywiście musi to być złoto; ale na co je tak niańczyć w kołysce i w rękach huśtać? Wszak czytaliśmy w Europie, że się wyciąga z dołów kawałkami?

„Doły widać wszędzie, okrągłe, czworograniasto-podłużne, szersze i węższe, przy dołach żurawie jak u nas przy studniach; to znowu windy z korbami postawione przy samych dołach; tamte

spuszczając do dołu powróż opatrzoney hakiem, — wyciągają na wierzech kubły z ziemią, te windują, okręcając linę na wałku takie same kubły. Niektórzy sypią ziemię na kupy, inni w woreczki długie, a są i tacy, co ją prosto niosą do kadek. — Co to wszystko znaczy? Oczywiście trzeba będzie uczyć się tego; ale to się zdaje także łatwe! bo cóż wielkiego kopać dół, wyciągać ziemię na wierzech, huścić kołyską i mieć z tój zabawki złoto.

Tak to sobie rozumowali nasi nowicyusze, ale dość przeczytać ten opis prac i trudów połączonych z tylu przypadkami i zawodami, aby powziąć przekonanie, że cała ta robota zaledwo się wypłaca; jeżeli zaś który górnik był tyle szczęśliwym, że znalazł grubą bryłę, albo trafił na obfite ziarna, to go spotkał podobny traf jakby wygrał terno na loteryi.

Nasz autor i towarzysze jego mienależeli do liczby tych ostatnich; — jeżeli co zebrali, to nie tyle przez wydobycie drogiego kruszcza, ile przez inne zatrudnienia. Był czas, że sam autor Opisu podróży znękaną pracą i niepowodzeniem, wziął się do innego zarobku; — mając konia, najmował się do transportów i dobrze na tém wychodził, a później, gdy sobie zebrał jaki taki fundusz, zało-

zył sklep korzenny, i sprzedając po szalonej cenie wino i mocne napoje, a nawet wodę, zbierał tyle, że mógł wrócić do Europy. Słowem, wielkiej trzeba było siły duszy i hartu ciała, żeby nieuledz przeciwnościom i zawodom, a najbardziej żeby móżdż wytrzymać śród towarzystwa ludzi, złożonego z prawdziwych urwiszów od szubienicy, używających za ostatni argument rewolweru lub noża. Kto przeszedł takie piekło na ziemi, jak kopalnie w Australii i zachował nieskażony umysł i serce, może się za nieskażonego uważać!

Zapewne czytelnicy ciekawi wiedzieć, kto pierwszy podał myśl o istnieniu złota w Australii? — Niejeden ani przypuści, że pytanie to bliżej nas obchodzi, niż się zdaje na pozór. Otóż rodak nasz Strzelecki, znany w świecie uczonym jako sławny podróżnik i naturalista, wskazał na ślad tych bogactw. Przed kilkunastu laty przechodząc znane miejsca w Nowo-południowej Walii, równie jak w prowincyi Wiktoryi, robił poszukiwania geologiczne, wyciągając z nich nieomyłne wnioski, że przestrzenie ziemi, szczególnież ostatniej prowincyi zawierają w sobie kruszec, który już nieraz sprowadził zbawienną kryzys do Anglii. — Strzelecki przeszedł góry Niebieskie, które, jak mówi autor,

nie są ani niebieskie, ani wysokie: bo obok naszych Karpat wyglądałyby jak pagórki. Jeden z wyższych szczytów nazwał Strzelecki górą Kościuszki; ma się on znajdować na pograniczu Nowo-południowej Walii i prowincyi Wiktoryi o 50 mil od morza. Nazwa ta jest wieczną pamiątką jego odkrycia.

Raport Strzeleckiego o pewności znalezienia złota przesłanym został dnia 2. września 1840 r. do rządu angielskiego na ręce gubernatora Jerzego Gips. Niektórzy Anglicy zazdrośni sławy naszego ziomka utrzymują, że Edward Hargraves równocześnie ze Strzeleckim albo może i wprzód istnienie złota w Australii objawił. — Tymczasem Strzelecki dotąd pobiera bardzo znaczną pensję od rządu angielskiego, któryby przecież niebył tak hojnym, żeby się nieczuł w obowiązku wdzięczności. Od r. 1849 i 1850 liczba kopalń zaczęła się powiększać; napływ ludności z całego świata nurtował te lądy na wielu miejscach. Dziś jest ich kilkanaście, jako to: Balarat, Forest-Kreek, Bendigo, Mount Couron, Mac Ivor, Jim Crow, Maryborough, Alma, i wiele innych. — Górnicy naszukawszy się złota w jednym miejscu; gdy nieznajdują zyskownych żył, przenoszą się na inne. Nasi rodacy również po kilkakroć zmieniali kopal-

nie. Dla tego autor przenosi czytelnika w różne strony i coraz w innym świetle pokazuje życie w kopalniach. Bardzo zajmujące i ożywione komiką są sceny towarzyskie między górnikami, co wyrzuceni z najniższych warstw europejskiej ludności wyrobniczej, przychodzą w Australii do bogactw i zaczynają zadzierać nosa, udając dobrze wychowane panięta. Jedną z takich figur pociesznych pokazał nam w osobie pani Gayer, jakiejś zapewne szlązaczki czy kaszubki, co najokropniejszym dyalektem polskim opowiadała o swoim wysokiem pochodzeniu i doskonałem wychowaniu. Złośnica, pełna grymasów, pretensyi do elegancyi i niechłujstwa, — zatruwała naszemu podróżnemu niejedną chwilę, zwłaszcza że się był połączył z jój mężem w eksploataowaniu kopalń.

Ileż to scen nieopowiada zabawnych o tym potwercie w czepku! — rozweselają one nieraz smutne obrazy cierpień i trudów, doznawanych przy kopaniu złota, kiedy spuszczońy w dół na kilkadziesiąt stóp głęboki stał w wodzie po całych dniach, głodny i upadający na siłach, a niewynagrodzony nawet szczęściem odkrycia obfitęj żyły, któraby od razu skończyła mezoły. — Lecz taki traf spotyka najczęściej niezasłużonych, jak owych dwóch de-

portowanych, pijaków z profesji, co wydobyli *no-  
get* wartości 8400 dukatów, i zaraz go w Melbournie przełuli, a powróciwszy w kilka tygodni do kopalń, nie mieli za co sprawić sobie łopaty. — Wszystko, co się tyczy dobywania złota, opisane tu z dokładnością i szczegółami. Jakichby żaden zwykły turysta niepotrafił dostarczyć. Jestto więc doskonały przewodnik po Australii dla kogoś, co się nieustraszy czekających go tam przyjemności.

Autor nasz przeszedłszy przykre i lżejsze koleje życia w tej zapadłej części świata, zatęsknił za Europą, i sprzedawszy swój handel, którym w ostatku się zajmował, odjechał do Melbourne, gdzie czekając na okręt płynący do Anglii, ulokował się tymczasem w domu pod napisem: *Polish Hotel*, trzymał go polski żyd Silberberg. — Jemu i jego rodzinie oddaje pochwałę za uczciwe prowadzenie się i pamięć dla ziemi, z której pochodzą. Nakoniec na żaglowym okręcie „Marco Polo“ puścił się 27. marca 1856 r., i dla krótszej drogi, bo miała tylko trwać 76 dni, opływał Cap Horn i mijał się z niebezpiecznym sąsiedztwem gór lodowych, które jak olbrzymy zastępowały drogę kruchemu statkowi. Opatrzność dozwoliła mu wyminąć wszystkie okropności tej ogromnie długiej

podróży, — wysiadł szczęśliwie w Anglii — wrócił na ziemię rodzinną, i teraz obdarzył nas opisem swoich przygód, tém powabniejszych, że pełne najwyższego interesu i niewymarzone. Język w opowiadaniu malowniczy, zdanie o rzeczach wytrawne, o ludziach niekiedy głębokie, jak człowieka co częste miewał z nimi styczności. Zgoła, zacząwszy raz czytać tę dwutomową książkę, trudno się od niej oderwać — a skończywszy, długo zaprzątają umysł te obrazy australskiego życia, a nawet mogą powiedzieć, nigdy niewyjdą z pamięci. Pokazuje się, że ten tylko może wrażenia swoje przelać, kto je czuł mocno, lub czynny miał udział w tém, co opowiada.

# TRAGIEDYE RASYNA.

---

Protestacya przeciw kłątwie romantycznej. — Rasyń po polsku. — O Kopystyńskim i jego tłumaczeniach. — Jakim trudnościom podlega przekład francuskich Klasyków. — Banieya wyrazów. — Anegdota o Bossuetie i o kurze. — W czóm wyższość tragików francuskich nad nowoczesnymi?

Może więcéj jak od trzydziestu lat nazwisko Rasyna zostające pod kłątwą rzuconą przez romantyków, nigdzie się u nas nieśmiało pokazać. Jeżeli je czasem wspomniano, to nawiasowo, kiedy było doniesienie o jakim tryumfie teatralnym panny Rachel; jeżeli mu pozwalano ożyć w pamięci, to jak Piotrowinowi, o którymby niewiedziano bez cudu Św. Biskupa. Cud talentu Racheli wskrzesił Rasyna — przynajmniej we Francyi, gdzie się ujęto za tą sponiewieraną wielkością, i postawiono znowu na piedestale z którego ją były zepchnęły szumne przedmowy Kromweliczne\*).

---

\*) Wiktor Hugo w przedmowie do swego Kromwela.

Pokazało się, że gwałtowne reakcje tak w polityce jak w literaturze bywają stanem przechodnym — że zbyt nie parcie w jeden punkt lub w jedną stronę, zużywa się i nuży, z czego ta korzyść, że w umysłach powstaje spokojna, głęboka refleksja, oparta na trwalszej podstawie niż namietność i szal; ona to zaprowadza porządek i osadza każdą rzecz na właściwem sobie miejscu.

Należało też pomyśleć i o nieszczęśliwym Rasyńnie ze wszystkiego wyzutym, i to nie na pożytek żyjących, ale na korzyść angielskiego triaka! Ze bożyszczaienne doznają podobnych względów lub gwiewów opinii — łatwo się tłómaczy; lecz za cóż wielkości spoczywające w grobach od kilku wieków wywłóczyć i ucinąć im głowy? Nielepijże zmierzyć je i zważyć, a tém samym rozwiązać pytanie: Co im dało ten wpływ, co ich robiło wielkimi przez tyle set lat, wreszcie czy wartość ich była względna do czasu, w którym żyli, czy też zostanie po wszystkie wieki wartością?

Kiedy w nowszych czasach zaczęto uważać literaturę w ścisłym stosunku z historią — znalazła się sprawiedliwość i dla Rasyńna. Wytlómaczono ówczesny stan wyobrażeń, stosunek poety do dworu Ludwika XIV., pokazano przymioty i piękności,

które mu pozostaną; toż strony ujemne, od których byłby się zapewne uwolnił nieżyjąc w okolicznościach, w których żył. Dzisiaj razi nas forma jego, zbyt sztuczna; razi brak akcji, nudzi wielość słów choć pięknie powiedzianych — ale dlatego postawiony wśród swoich ludzi i w swoim czasie, nieprzestaje być tak wielkim, jak wielkim był Ludwik XIV.

Mimo uszanowania jakie mam dla niepospoliczonych ludzi każdego narodu i epoki — niewiem zaprawdę, czy kiedy budziła się we mnie żądza skruszenia kopii na cześć francuzkiej trajedyi i jój reprezentanta Rasyna. — Walczyć pod jego godłem niebyło dziś przyczyny; nasza literatura przestała od dawna szukać w nim wzoru — i niemyśle o to robić jój procesu; jak znowu niemiałbym za co przyklaskiwać, że w pewnych momentach krążyła koło niego jak ziemia około słońca. Literatura polska pragnąca dziś trzymać się o własnych siłach — zobojętniała dla Rasyna. Jednakowoż nieidzie za tém, abyśmy przy danój sposobności nie mieli potrzeby zastanowić się bliżej nad przymiotami i naturą pisarza entuzyazmującego ojców naszych, mającego w świecie moralnym przyczynę bytu; zasługującego wreszcie zawsze być czytany,

choćby dla zrozumienia czém się różnimy od przeszłości, w czemeśmy postąpili a w czém spadli.

Sposobność tę znalazłem w świeżo wydanym przekładzie *Celniejszych trajedyi Rasyna* przez Wincentego Kopystyńskiego.

Nazwisko tłumacza zmarłego od lat kilkunastu lubo nieznane w świecie piśmiennym, od razu zdobywa sobie wcale zaszczytne miejsce obok Morsztynów, Dmóchowskich, Osińskich, Mierów, Krużyńskich — a nawet, więcej powiem: tamci tłumaczyli po jednej lub dwie trajedyi, kiedy Kopystyński przetłumaczył wszystkie, ma się rozumieć zasługujące na przekład; gdyż o Tebaidę, Alexandra, Esterę, niemamy się co upominać. Krótko mówiąc, literatura nasza wzbogaciła się jednym dobrym przekładem obcego autora.

Kto był Kopystyński? dowiadujemy się z przedmowy napisanej z rzadką trafnością; z niej to podają szczegóły jego żywota.

Wincenty Kopystyński herbu Leliwa, urodził się we wsi Topolnicy pod Samborem r. 1763. — Uczył się pod Jezuitami, potem w szkołach zaprowadzonych przez rząd austriacki; które skończywszy wstąpił do służby publicznej w urzędzie komornika granicznego. Jedyny to był rząd obywa-

telski. Przez lat ośm do roku 1804 zostając w tym obowiązku, złożył go, szukając dla siebie pomyślniejszych widoków w gospodarstwie rolném.

Zaszczycany przyjaźnią i względami możnych obywateli, którzy w nim cenili charakter i naukę, znalazł środki wzięcia obszernych dóbr w dzierżawę. Szczęście sprzyjało mu, a majątek wzrastał szybko przez wzorowo i spekulacyjnie prowadzone gospodarstwo na wielki rozmiar. Ożenił się najpierw z panną Trzcíńską, a gdy ta zmarła, pojął powtórnie Annę hrabiankę Karśnicką. Z nabytkiem majątku rozszerzyło się koło interesów. Kopystyński sam kierował wszystkim w rozległych dobrach, będących jego własnością; znajomi dziwili się bystrości jego umysłu, i pojąć niemogli jak temu wystarczał. Gdy się dziwiono téj nadzwyczajnej czynności, miał zwyczaj odpowiadać wierszem z Mitrydata:

„Razem wszędzie potrzebna jest moja przytomność.“

Śród tych zajęć oddawał się literaturze w czasach kiedy jój stan w Galicyi był najsmutniejszym. Wychodziło parę zapomnianych dziś pisemek periodycznych, a książka wydana we Lwowie liczyła się do osobliwości. Była to epoka przedmickiewiczowa, — żywiono się samemi tłumaczeniami. Dość

było jedną trajedią Kornela, Rasyna, Crebilona, lub Woltera przełożyć, aby osiąść na Parnasie. Kopystyński, jak się pokazuje więcej miał woli i energii niż jego współcześni, kiedy postanowił dokonać przekładu całego Rasyna — i dokonał go. W r. 1818 wygotował Andromakę, Atalię, Berenikę i Brytanika, później Ifigenię, Fedrę i Mitrydata. Praca ta, wymagająca staranniej pilności i mozolnej ogłady, stoi daleko wyżej niż te na pytel robione tłumaczenia jakimi księgarze warszawscy częstować zwykli publiczność. Tamto rodzaj spekulacji, kiedy tu była miłość artysty, rozkochanie się w ulubionym traiku. Zaprzyjaźniony z Janem Nep. Kamińskim, tłumaczem Szyllera, zasięgał rady jego w trudnościach. Obydwa musieli się zagrzewać do tłumaczeń, utrzymywać w tém powołaniu, sponiewieraném może przez jaką wątpliwą oryginalność. Wiersz Kamińskiego zdaje się na tę myśl naprowadzać, gdy mówi:

Jeżeli wieszczce są narodu sławą,  
 Pierwsze zaszczytów zabierają stopnie;  
 Tłumacze równe do nich mają prawo,  
 Że obce skarby niosą w dom pochopnie. ..

Bardzo słuszna uwaga; trzeba tylko żeby skarby te niebyły sfuszerowane; inaczéj bowiem na liche tłumaczenia szkoda czasu i atlasu.

Autor wiadomości téj o Kopystyńskim, wylicza następnie szereg tłumaczy Rasyana, z tych znaczniejsi: Stanisław Morsztyn, Trembecki, Węgierski, Wojciech Turski, Adam Ryszczewski, Krużyński, Wojciech Mier i Stanisław Jaszowski. W téj liczbie jednak niewidzimy dwóch najlepszych tłumaczy: jenerała Morawskiego i Fr. Salezego Dmochowskiego.

Przekłady Kopystyńskiego bywały przedstawiane na teatrze i tak: Fedrę grano w Warszawie roku 1822 — w tymże roku i następnym Fedra i Mitrydat pokazały się na scenie Lwowskiej — lecz jedna tylko Fedra wyszła drukiem za życia tłumacza w r. 1825. Można przypuszczać, że wtenczas miał zamiar cały przekład ogłosić — alić zdemoralizowany groźném wystąpieniem romantyków, schował rękopis, przekazując go więcéj wyrozumiałéj przeszłości. Namowy i nalegania przyjaciół, aby wydawał przekład, niezachwiały go w postanowieniu. Rozumiał ducha czasu i jako ojciec dbały o swą dźiatwę, drżał o szorstkie przyjęcie w świecie opinii literackiej, albo co gorsza, obawiał się aby praca jego nieprzeszła bez zwrócenia na siebie niczyjéj uwagi.

Dodaje biograf, iż Kopystyński zostawał w cią-

głych stosunkach z ludźmi uprawiającymi literaturę, należąc do różnych towarzystw naukowych jak krakowskie i warszawskie — czy je zasilął swemi pracami? niewiadomo. Wszakże przy fundowaniu zakładu narodowego Ossolińskich we Lwowie złożył i on swoją ofiarę na ołtarzu dobra publicznego, zapisując 500 dukatów na pomnożenie funduszu bibliotecznego, z tém zastrzeżeniem, że gdyby rząd krajowy miał fundusze biblioteki na inny użytek przeznaczyć, lub pod swoją administracyę odebrać, wówczas zapis jego zupełnie upada i przestaje obowiązywać sukcesorów itd.

„Zacny ten mąż przez całe życie oddany pracy, nauce i cichym cnotom obywatelskim, godzien pozostać w pamięci ziomków“ — tak kończy biograf — podając datę jego śmierci zaszłej we Lwowie d. 3go października 1839 r.

Porównywając przekład Kopystyńskiego z tan-detnemi tłumaczeniami klasyków zagranicznych w Niemczech, gdzie się pysznią tém, że wszystkie lepsze płody literatur całego świata mają po niemiecku — naszemu tłumaczowi trudno nieprzyznać wyższości sumiennój pracy i talentu. Rzadkie znajdują się wiersze, w którychby niebyło precyzyi, rzadkie zaniedbanie rymu i wysłowienia — wszędzie wi-

dać, że tłumacz usiłował tak przepolszczyć oryginał, aby nieznać było, że to tłumaczenie. Czyta się téż płynnie, czystością mowy wprawdzie niezawsze zwiężłej i obrazującej; lecz zawsze gładkiej i przyzwoitej pociągając ku sobie. Niesądźmy jednak żeby tłumaczyć Rasyna, było tak łatwym zadaniem, jak się niejednemu zdaje; są tam cieniowania myśli, delikatności uczuć niezmiernie subtelne, w których oddaniu niemożna ani na włos przesadzić: bo się zrobi szum nadętości — ani na włos niedosadzić, co naraża na płaską prozę.

Trzeba mieć niezmiernie czułe ucho na takt przyzwoitości, aby niepowiedzieć czegoś, coby raziło, — jedno słowo psuje ten efekt najpatetyczniejszej sceny. Śmiano się z Rasyna, że on nie tém błyszczący co mówi, tylko tém, że wie czego mówić nie trzeba. Jest w tém wiele prawdy; poezya z uniesieniem słuchana na wykwintnym dworze niemogła być inną. Nieprzeszkadza to jednak żeby nie było w Rasynowskich trajedyach scen pełnych namiętnego ognia — lecz w tych, jakaż powściągliwość słowa, jaki ton zachowany! Owe gromy teatralne, owe krzyki serca, bez których trajedyja byłaby niemożliwą, tak są u niego przygotowane zdaleka, tak w chwili stanowczej kontrastują z tém,

co je otacza, że robią nierównie większe wrażenie na widzu, niżeli w nowszych sztukach mogą zrobić tortury, morderstwa, bitwy, otrucia i inne fizyczne gwałty. Rasyn działa tylko na moralną stronę — kiedy romantycy chcą działać na nerwy i zmysły. Otóż w patetycznych zwykle bardzo trudnych scenach, jak mogłem tu i owdzie zauważać, przekład Kopystyńskiego szczęśliwie pokonywa wszystkie trudności — i chyba zbyt wielką wiernością grzeszy — bo często mógłby sobie pozwolić silniejszych kolorów i treściwszej mowy. Weźmy między innemi tę scenę gdzie Fedra płomienistymi rysami malując niepomaganą szaloną miłość dla Hipolita, zapomina w szale namiętnym o obowiązkach, dobrej sławie, a nawet o godności niewieści. — Hipolit słucha wyznania i ognistych wyrażzeń nie bierze do siebie, ale je stosuje do swego ojca Tezeusza małżonka Fedry. Podaję ten ustęp jako próbę przekładu:

*Fedra do Hipolita.*

Księżę! *pałam szulnością!* Kocham Tezeusza!  
 Zajął mię . . . o! nie taki, jaki w piekła wchodził,  
 Co lekkomyślny tylu łatwowiernych zwodził,  
 Co nawet boga zmarłych chciał znieważyć łoża. . . .  
 Ale wierny, stateczny, nawet *dziki, może*  
 Wdzięczny, młody, co serca pociąga do siebie!

Jak nam malują bogów. . . . lub jak widzę ciebie!  
 Miał twój głos, twoje oczy, twoją postać całą!  
 To szlachetne splonienie w twarzy mu jaśniało,  
 Gdy przez morze do naszej przeprowiał się Krety!  
 Godzien rozczulić córki Minosa. . . niestety!  
 Coś czynił wówczas? jaki powód mu przeszkadzał  
 Wziąć cię z sobą, gdy wybór rycerzy zgromadzał?  
 Czemużes wtedy jeszcze niewszedł razem z niemi  
 W okręt, którym do naszej przyłynęli ziemi?  
 Ty byłbyś zgubił tego kreteńskiego smoka,  
 Chociaż go okrywała jaskinia głęboka!  
 Od zbłądzenia w nią byłbyś dla pewnej obrony,  
 Nieszczęsną mojej siostry nicią uzbrojony. . .  
 Lecz nie. . . jabym ci pierwój w obronie stanęła!  
 Mnie to, mnie taką myślą miłość by natchnęła,  
 Jabym to, ja o twoje życie pełna trwogi,  
 Przywiodła cię z obłędnej labiryntu drogi!  
 Dla ciebie czułość jakich środków się niechwyci!  
 Mogłaby twa kochanka ufać jednej nici? . . .  
 Abyś niebezpieczeństwa twoje dzielił ze mną,  
 Byłabym nawet poszła w tę przepaść podziemną!  
 Fedra w nią zasłaniając ciebie sama sobą  
 Lub byłaby zginęła, lub z niej wyszła z tobą!

*Hipolit.*

O Bogi! co ja słyszę? . . . Fedra zapomina  
 Że Tezeusz w nią żonę a we mnie ma syna. . .

*Fedra.*

Książę! zkadże ten wniosek o tój niepamięci?  
 Czyliż Fedra tak łatwo swą *chwałę poświęci*?

*Hipolit.*

Pani! daruj mi... widzisz ile się rumienię,  
 Że śmiałem z tak niewinnych słów mieć podejrzenie...  
 Wstydzę się... wzroku twego znieść niebędę umiał...  
 Odchodzę...

*Fedra.*

Ach! okrutny! nadtoś mię zrozumiał!  
 Dość wyrzekłam, ażebyś niezostawał w błędzie...  
 Poznaj Fedrę! Szaleństwo jój niech jawném będzie!  
 Kocham!... niesądz że mimo takie zaślepienie,  
 Zdolnam sumieniu memu nakazać milczenie,  
 Że tę, która do straty zmysłów mię przywiodła,  
*Szaloną miłość, we mnie rosnieca chęć podła...*  
 Mściwości niebios przedmiot nieszczęśliwy widzisz!  
 Więcej ja siebie, niżli ty mnie nienawidzisz.  
 Wzywam świadectwa bogów, *za których natohnieniem*  
 Cały ród mój tym samym goreje płomieniem!  
 Tych bogów co się chępią okrutną ztąd chwałą,  
 Że się słabój kobiety serce uwieść dało!  
 Ty sam wiesz... jest ci w świeżej pamięci rzecz cała...  
 Niedosć było unikać, — z kraju-m cię wygnała!  
 Chcąc zmyśloną ku tobie niechęcią się ludzi  
*I aby ci się oprseć — twą nienawiść wzbudzić.*  
 Jakizem owoc starań daremnych odniosła?  
 Mój płomień się niezmnieszył — twa nienawiść wzrosła,  
 Twoje nieszczęścia *nowych wdsięków* tu przydały...  
 Mnie ogień trawił, oczy z łez nieosychały!

Bylbyś poznał i uczuł moje udręczenie,  
 Gdybyś mógł zwrócić we mnie choć jedno wejrzenie.  
 Co mówię! . . . to wyznanie, wyznanie niegodne!  
 Maszże za dobrowolne, z chęcią moją zgodne?  
 Drżąca nad losem syna, przyszedłam błagać o to,  
 Ażebyś raczył słuszny sąd mieć nad sierotą!  
 Próznom tyle miłości chciała stłumić w sobie;  
 Z tobą mówić nie mogłam jak tylko o tobie. . .  
 Mój się! . . . tak podła miłość niech karę odbiera!  
 Ukarz mię słusznie godny synu bohatera!  
 Oczyść świat z téj poczwary, która gniew twój wzrusza. . .  
 Hipolita śmie kochać wdowa Tezeusza!  
 Ta poczwara niech twojej zemsty nieuchodzi!  
 Tu serce! . . . ręka twoja niechaj tu ugodzi! i t. d.

Porównywając tę scenę z oryginałem popodkreślałem miejsca słabsze czyli takie, gdzie tłumacz wziął o parę tonów niżej niż Rasyń: jak np. wiersz: *Szaloną miłość we mnie roznieca chęć podła*, niższa jest od francuzkiego: *Ma lâche complaisance ait nourri le poison (de l'amour)*, albo: *I aby ci się oprzeć twą nienawiść wzbudzić* — o ileż dosadniej w Rasyń: *Pour mieux te résister j'ai recherché ta haine*. Na tym języku tak wytwornym, tak wypracowanym: bo zastępującym akcyę, stoi cała trajedyja francuzka. Dlatego przekład Rasyńa zawsze będzie należał do wielkich trudności; Kopystyński umiał je pokonać, lecz w tak mozol-

nój pracy nie jedno lżej puścił. — W tłumaczeniach autorów mniej konwencyonalnych, nieuważałoby się na podobne usterki, a więcéj pytałbym czy duch oryginału, koloryt, dykcya, jego odrębne cechy i charakter schwycony; dla téj to przyczyny niemożna tak bardzo powstawać i na krytyków Księstwa Warszawskiego, że w utworach ówczesnych ścigali tylko źle ulane wiersze, niefortunne rymy lub wyrażenia nieszlachetne. Właśnie na tém stała połowa poetyki francuzkiego klasycyzmu. Jeżeli taki Wolter, co był wyrocznią Parnasu w przypisach swoich do Kornela, śmiał skazać przynajmniej dwie trzecie części wyrazów używanych w poetycznej mowie na wygnanie — za to, że nieszlachetne, cóż się dziwić późniejszym krytykom, co za przykładem Woltera zastosowywali poetykę Rasyna w praktyce?

Dziwny, sprzeczny z prawdą życia ludzkiego system, podzielił to życie na dwie połowy: w jedną połowę zamknął heroizmy, katastrofy, zbrodnie, w drugą ułomności, śmieszności, dziwactwa, występki, i pierwsza dostała się w podziale trajedyi, druga komedyi. — Jak w etykecie dworskiej, była reguła ściśle przestrzegana w trajedyi żeby każdy człowiek był koniecznie poważnym i patetycznym, —

nigdy w niej nie widziano ani głupca, ani skąpca, ani tchórza, ani żarłoka. Do téj powagi stosował się język — jeżeli na pokojach wersalskich cedzono i dobierano słówka — tém więcej musiano je dobierać w trajedyi, w której największym grzechem było nazywać rzeczy po ich nazwisku. Zasada ta rozciągała się i dalej: bo nawet do wymowy kaznodziejskiej. Bossuetowi wypadało powiedzieć mowę pogrzebową, na śmierć Anny Gonzagi. Prowadziła ona żywot rozwiązły i bezbożny, gdy senne widzenie nawróciło ją na drogę cnoty. Otóż opowiedzenie tego snu nabawiło Bossueta niezmiernego kłopotu, bo do snu wchodziła kura z kurczętami; a nazwać kurę w obec dworu — to nieprzebaczona śmiałość! Kaznodzieja rad nierad musi wykrztusić zabijający wyraz. — Cóż więc robi? Zdaleka, ostrożnie, przygotowuje się, obchodzi, winę zwala na Pana Boga, który prawdy swoje ogłasza w taki sposób i pod taką figurą, jaka mu się podoba; poczem dopiero zaczyna sen opowiadać: „Wtém pokazuje się jój...!“ tu znowu uciął — Pan Bóg, to jeszcze niedostateczna dlań powaga; gdy szczęściem przypomina sobie że Chrystus w Ewangelii porównał się do kury... Wzywa więc tego argumentu i mówi: „Wtém pokazuje się jój to, czém

Jezus Chrystus niewzgardził chcąc nam dać obraz swojej czułości — pokazuje się jój *kura*...<sup>6</sup>

Przytoczyłem umyślnie tę anegdotę, bo ona maluje pod jakim jarzmem dworskiej etykiety stali wszyscy, stał i Rasyn poeta obdarzony talentem. Powie kto, czemuż pchał się do dworu? czemu niepisał wolny od tych wpływów? — Zapewne, ale wielkie pytanie, czy dzieła jego zyskałyby jakąkolwiek wziętość; czy kiedykolwiek dostałyby się na deski teatrów? Utwory jego możeby potomność oceniła godnie — ale współczesność przenikniona na wskrós wyobrażeniami dworu, niepoznałaby się na nich — a któryż poeta mógłby wytrwać bez współdziału żyjących? Obojętność zabiłaby w nim wiarę w samego siebie.

Z dworu tylko, ze stopni tronu, wychodził wszelki ruch umysłowy; z tego też miejsca patrzeć trzeba na Rasyna, aby niepopęłnić niesprawiedliwości w sądzie o nim. Człowiek, o którym mówią, że powiedział: *L'Etat c'est moi*, mógł równie powiedzieć: literatura, sztuki piękne, zgoła myśl mojej epoki — to ja jestem. Niemyślny wszakże, żeby oświata i kultura ówczesna zupełnie się wyzuła z swojej samodzielności na karb smaku i osobistych opinii panującego; o tak orientalny

despotyzm niemożna obwiniać ani Francuzów, ani Ludwika XIV; pojmować tylko trzeba w ten sposób, że w owym królu, w jego świetnej osobie, najwybitniej skupiały się opinie, gusta, pragnienia i dążności owego czasu. Była to w pewnym względzie uzurpacja, ale taka, jaka się wyższości należy. Ludwik, dusza dworu, umie natchnąć urokiem i dowcipem kobiety; mężstwem i grzecznością ludzi rycerskich; emulacją, a nawet jeniuszem artystów. Dworacy żyją i umierają w promieniach jego spojrzenia.

Pod takim panem jakaż mogła być literatura?

Przyznawszy, że utwory ówczesnego piśmiennictwa są tylko odblaskiem wykwintnych obyczajów wersalskiego dworu, gdybyśmy nie nadto przyznać niechcieli — natenczas byłby to przedmiot godny ciekawości historyka i nic więcej; podobnie jak owa poezya trubadurów zatrudniająca dziś filologów i archeologów — a najmniej poetów: bo ci nieznają żadnego dla siebie pożywienia w tych oklepanych myślach, dzierzganych najdzikszymi kombinacyami i igraszkami rymów. Myliłby się, ktoby do tego poziomu chciał sprowadzić literaturę wieku Ludwika czternastego. Przeciwnicy rzucając na nią pioruny, zapomnieli, że dwa potężne wpływy

wykołysały ją na olbrzyma, który przez parę wieków dawał ton całemu światu. Pierwszym z tych wpływów było chrześcijaństwo, które wsiąknąwszy w naród w wiekach średnich, pozostawiło w umysłach skłonności, nawyknięcia, zgoła całą sferę wyobrażeń. Człowiek zaczynał żyć nie samem zewnętrznem, ale głównie wewnętrznem życiem — badał się, roztrząsał, dochodził przyczyn namiętnych porywów; słowem, czując nad sobą oko sprawiedliwości Bożej, robił ścisły z sobą rachunek.

Ztąd to widzimy, szczególnież w Rasynie, ogromną znajomość poruszeń namiętnych, subtelną i głęboką analizę serca; ową uczuciowość i tklivość ciągle tłumione, a właśnie dla tego tak potężnie, tak burzliwie wyrrywające się. Proszę mi w nowszych płodach, czy w dramatach, czy w roman-sach pokazać choćby jedno nowe motywum szczególnież z rubryki miłości, któreby się niezna-lazło w Rasynie ujęte i wydane w tych delikatnych sytuacyach zamkniętych u niego w niedostrzeżonym geście, w podniesionym lub stłumionym głosie? Dziś nic więcej niezrobiono, mimo hałaśliwych przechwałek, tylko, że co u Rasyna więziło się w słowie, w pompatycznie utrefionym aleksandrynie — teraz wyraża się przez akcyę, częstokroć tak

nędzną i wyśrubowaną, że mimo pretensyi do Szekspiryzmu, nieobstoi za parę pięknych wierszy klasycznej trajedyi...

Drugi rodzaj wpływu szedł od starożytności grecko-rzymskiej. — Mylnie obwiniano wiek Ludwika XIV., że starożytnych niewolniczo naśladował — przeciwnie był to grzech szesnastego a nie siedmnastego wieku; — ostatni ten wziął tylko ze starożytności, co mu potrzeba było do wejścia na tor wielkich tradycyi; trzeba mu było parnaskiego kodeksu i wziął: zdrowy rozsądek, czysty smak, harmonię i jedność w całości. Zastanowiwszy się spokojnym umysłem nad całą tą literaturą, znajdziesz tam naturalność, trafność i dobór części składowych szczelnie spojonych — jest to spuścizna po Grekach i Rzymianach. Prąd religijny, wonny, rozgrzewający, tchnie z tych utworów, a poznasz, że w sercu poety ma źródło i nie jest skutkiem refleksyi. Jedną jeszcze pozwolę sobie uwagę dla tych, co pomiatali Rasynem. Kto go czyta z uwagą, choć może uczuje dziś nudę, bośmy do innej strawy przywykli, przekona się, że tak Kornel jak on, zarówno szukają źródła swjej potęgi natchnień w naturze moralnej. Uważajmy jak ich mało obchodzi widok zewnętrznego świata, ruch

materyalny na scenie i ten koloryt jakiego dostarcza historia. Ich obrazy nie są portretami lecz typami; są to pomysły, co z ich rąk dostały ciało i rysy. Trajedyja Rasynowska niewciąga w siebie żywiołów surowej rzeczywistości aby je przerobić na ideał; lecz przeciwnie, chwyta myśl w zarodku i rozgrzewa ją dopóty pod sercem, dopóki nie zadrga życiem. Zapewne z téj zasady wyrodziła się forma dla naszych czasów za nudna, wyrodziły się niepodobieństwa sceniczne — ale sama treść, jądro rzeczy, godne poszanowania — zwłaszcza w epoce jak nasza, co tak się zżyma na materyalizm, a pozwoliła grubemu realizmowi wygodnie rozpierać się w literaturze.

---

# JULIUSZ CEZAR I SZEKSPIR.

---

Jak tłumaczyć obcych autorów? — Moda przekładów wierszem białym. — Szekspir nieusprawiedliwia morderstwa Cezara. — Tłumacz polski usiłuje podnieść charakter Brutusa. — Stanowisko rzymskie i ludzkie. — Szekspira należy brać jak jest, nieprzypisując mu wyrafinowanych spekulacji.

Ostatniemi czasy rzucono się u nas pilnie do przekładania Szekspira; przekład bowiem Hołowińskiego, wydany przed lat dziesiątkiem, był ciężki, zawily i prawie niepodobny do czytania. Jakoż w Warszawie drukuje się przekład Paszkowskiego o wiele przystępniejszy; o kilku gotowych przekładach zostających w rękopisie dochodzą nas posłuchy; a przekłady pojedynczych dramatów pojawiają się od czasu do czasu. — Usiłowania te różnej są wartości, odpowiednio do talentu tłumaczy; to jednak pewna, że ze wszystkich teoryi tłumaczenia najlepsza ta będzie, która połączy w sobie głębo-

kie pojęcie oryginału, z oddaniem go w taki sposób, żeby czytelnik niebył rażony ani obcemi zwrotami mowy, ani tą nienaturalnością toku, jaka zazwyczaj cechuje niewolnicze przekłady. Lecz i tu możnaby pewien podział zaprowadzić: Szekspir w polskim języku oddawna już był powinien zająć miejsce w szeregu przekładów z obcej literatury, a jednak dotąd niemamy całego. Czemuby to przypisać? Oto niewyrobionym pojęciom co do sposobu, jakim obce dzieła przekładane być powinny. Pierwszy warunek, ile sędzę, aby największą liczbę czytających poznać z autorem; a to łatwo da się osiągnąć niepretensjonalnem tłumaczeniem prozą, ma się rozumieć dobrą prozą, która może być lepszą od miernych wierszów rymowych czy nierymowych. — Wprawdzie prozaiczna forma zdiera wiele piękności i uroków z szaty poezyi, lecz zawsze zostają w zysku najgłówniejsze rzeczy: osnowa, pomysły, kompozycya całości. Francuzka literatura przyswoiła sobie tym trybem arcydzieła literatur obcych, nietylko samym podrzędnym pisarzom zostawiając ten brak do zapełnienia; lecz częstokroć powołując najjenniejsze umysły do wywiązania się z zadania. Jeśli Chateaubriand mógł podjąć się tłumaczenia Milтона

Raju Utraconego prozą, a Guizot Szekspira, a Barrante Szyllera, dla czegośmy w naszej literaturze niemieli starać się o uzupełnienie przekładów arcydzieł obcych tą samą metodą? Przez to bardziejby wzrosła znajomość najlepszych wzorów, — myślby się bogaciła, rozszerzył horyzont wyobrażeń, a co najważniejsza, niebralibyśmy tego za nowość, co przed nami i lepiej i szykowniej kto inny wypowiedział. — Ten rodzaj tłumaczeń odpowiada potrzebie oświecania się i kształcenia, jednakże niewyklucza tłumaczeń, które nazwałbym artystycznymi; — takowe mogą być dokonane czy częściowo, czy w zupełności przez wyższe talenta i z tą doskonałością porywającą, z jaką Mickiewicz oddał Giaura, Słowacki: Xięcia Niezłomnego. — Tacy mistrze zwykli wyżsi nad pedantyczne szkolne teorye, sami tworzą metodę. Niepowiadają sobie z góry: Kalderon pisze po hiszpańsku assonancami, więc po polsku trzeba starać się o assonance, choćby takowe w naszej mowie były prawdziwymi dissonancami; lecz po prostu przejęci wzorem swoim, tak go odlewają w języku ojczystym, że wszystko się znajdzie co w pierwotworze: prąd natchnienia, moc wyrażenia, wdzięk dykcji, charakter narodowy, prócz jednej śmiesz-

ności podrzeźniania form i dźwięków, czy to greckich, czy hiszpańskich, czy angielskich, jak to tafia się w przekładach niemieckich szczytujących się taką wiernością, że prędzej przy małej znajomości jakiego języka można oryginał rozumieć, niż przy dobrej znajomości niemczyzny przełknąć niefortunne tłumaczenia. Dość tu przypomnieć przekład Pana Tadeusza przez Spaciera, a z tego możemy z małym wyjątkiem powziąć wyobrażenie o tłumaczeniach podług metody niemieckiej, która się zaczyna u nas przyjmować, nieprzynosząc najmniejszej korzyści literaturze: bo mało znajdzie się odważnych, aby chcieli przełykać koszlawe wiersze, bez żadnej harmonii, a zawiłe składnią i szykiem godnym najlichszej prozy. Jeżeli podobne tłumaczenia mają pretensyę do artystyczności, to wolelibyśmy, szczerze mówiąc, zwykłą pocztową prozę, niż jakieś tam hexametry, jamby, assonance lub parallelizmy, obce uchu naszemu, obce naturze języka. Zwolennikom tęg metody uwidziało się, że chociaż dotąd nie były te formy w używaniu, to je można przyswoić literaturze, biorąc je gwałtem z obcych literatur; lecz mylą się wielce: bo stworzenie nowych form nigdy niebyło dziełem mierznych tłumaczy, ale oryginalnych twórców, nada-

jących świeżej myśli świeżą formę, o jakiej pewno ani się im śniło.

Do uwag powyższych pobudziły mię niektóre nowe próby tłumaczeń tak ze starożytnych jak nowożytnych autorów, wypadłe wcale nieszczęśliwie; szczególnież zaś nietyłe samo tłumaczenie, ile Słowo od tłumacza, umieszczone na wstępie do przekładu Szekspirowskiej tragiedi: Juliusz Cezar przez Adama Pajgerta, w którym to słowie spotykamy się z uwagami mającemi dowieść jaki jest najwłaściwszy sposób przekładania obcych autorów, a mianowicie dramatycznych. — Powiada tłumacz, że przedsięwziąwszy na polskie przelać Szekspirowskiego Juliusza Cezara, miał ważne pytanie do rozwiązania, w jakiej formie zewnętrznej należało takowe wykonać: czy tłumaczyć prozą, czy wierszem rymowym, czy tak zwanym białym czyli nierymowym?

Co do pierwszego sposobu, powiada p. Pajgert, lubo przekład prozą może być najwierniejszy, jednakowoż idealniejsza treść poezyi, idealniejszej wymaga formy — zresztą „wiersz dla nowoczesnej trajedyi stał się rodzajem Koturna.“ Bardzo słuszna uwaga, tak słuszna, że powinna być wzięta za zasadę. — Czemuż się nietrzywał jój w swoim

tłumaczeniu p. Pajgert. Oto dla tego, że tłómaczenie rymowe, jak mówi poniżej, lubo najwięcej zwyczajowi (powinien był powiedzieć, własnościom) naszego języka odpowiednie, jednakowoż rym staje się „koturnem przesadnie wysokim i psuje przez swoją ogładę prawie koniecznie naturalność i swobodę toku mowy.“ — Zresztą Szekspir niepisał wierszem rymowym.

Pozostał mu więc nierymowy wiersz, chociaż u nas po części istnieje jeszcze przesąd przeciw temu rodzajowi wiersza. Tym sposobem jak twierdzi, dykcya nie staje się ani nadto poziomą jak w prozie, ani nadto napuszoną i deklamatorską jak w wierszu rymowym.

Zrobiwszy sobie tę teorią dla własnego użytku, nieprzekonał nas mimo tego swoim przekładem Juliusza Cezara, żeby to był sposób najlepszy i z gruntu obalający *przesąd przeciw temu rodzajowi wiersza*. Jeżeli tłumacz nieufał własnym siłom i przeczuwał, że używając rymu popadnie w napuszystość i nienaturalność, nie idzie zatém żeby się nie znalazł talent coby tych niebezpieczeństw niepotrafił uniknąć. Mamy przecież w naszej literaturze wiele przykładów, gdzie mimo rymowego wiersza panuje najwyższa prostota, naturalność i

dźwięk niewymuszony. Szata, poezji naszej jest rym i zawsze rym; żadne teorye nic tu nie pomogą — pomogłyby może przykłady, lecz dotąd nie wiem gdzie ich szukać; to pewna, że nie w oryginalnych próbach tego rodzaju, ani w tłumaczeniach wierszem białym, który niczém nie jest tylko popsutą prozą udającą harmonię poezji, ale zawodzącą co chwila. Własnością nierymowego wiersza nie jest taka lub inna liczba zgłosek, lecz miara; o téj zaś nasi bezrymowce nie wiele wiedzą, chociażby nawet pilnie uczyli się prozodyi Królikowskiego. Jeden Mickiewicz jak we wszystkiém mistrz, tak i w *powieści Wajdeloty* użył miarowego wiersza; lecz czytając ten ustęp nieśmiertelnej piękności zachodzi pytanie: czém więcéj porywa, czy samą treścią opowiadania, wnątrzną poezją, czy harmonią słowa? Ja myślę że jedném i drugiém; poważna ta forma jednego jest odlewu z samą rzeczą: odpowiadają sobie wzajemnie. Dla czegoż mistrz nieużył tego rodzaju wiersza n. p. w Panu Tadeuszu? Przecież miał wzór w homerycznych epejach, lub w Hermanie i Dorocie Getego? Oto, bo trafny jego sąd widział w tém wysił tylko sztuki, a nie przyrodzoną własność języka naszego. Owe miary skombinowane uczenie, nie tkwią w słuchu

narodu. A cóż dopiero powiedzieć o białym wierszu co tylko liczy zgłoski, a o miarę niepyta? Nie przeczę; dogodny on bardzo do zamaskowania lichéj prozy; ułatwia niezmiernie szybkość przekładu, nadaje mu pewien pozór artystycznego wykonania — ale w istocie rzeczy nie przynosi więcej zysku jak tłumaczenie prozą, zwłaszcza jeżeliby ta proza była tak poetyczną, tak świetnie brylantową jak proza autora Irydiona.

U nas nie publiczność lecz autorowie zasmakowali od pewnego czasu w tym kastrackim rodzaju wiersza, szczególnie w tłumaczeniach. Przedewszystkiém Poznańskie dawszy już pokój filozofom z nad Sprei, zabrało się teraz do wprowadzenia poetyki z nad Sprei. Gdyby niektóre ich utwory białowierszowe z małemi odmianami punktacy i porządku wyrazów przedrukować na prozę, odkryłaby się najniestrawniejsza ramota, niepodobna niczém ani do starego języka Zygmunrowskiego, ani do nowego, którym piszą lepsi polscy pisarze. Pozorna szata poetyczna pokrywa tę nędzę, i dla tego nie każdy na tém się pozna; a chociaż czytając uczuje, że go coś męczy jak czkawka, nieśmie nic mówić pamiętny na przysłowie: poetom wszystko wolno.

Tłumaczenie p. Pajgerta mimo białego wiersza, nieśmiałybym kłaść w poczet powyższych niefortunnych tłumaczeń, które nietylko nie bogacą, ale owszem okradają naszą literaturę. Wywiązał się on z zadania swego z sumienną ścisłością; nie stracił przytém na jasności i precyzyi — przeciwnie duchowi języka popełnia jednak grzechy, jak owe często przychodzące: *co do mnie, co do Antoniusza* — które szczególnie po francuzku bardzo jest zrozumiałe, ale po polsku tak nieużywa się, chyba gdy powiemy: *co komu do mnie, albo: co masz do Antoniusza*, lecz wtenczas sens zmieniony zostaje. Nie lepiej powiedziane: *połóż ten papier na krześle pretora gdzie Brutus musi go znaleźć; albo: nim dzień zaświta musim go zbudzić*. — Więc *musimy* tak rzecz tłumaczyć! Najgorsze ze wszystkiego jest: „*Zostańmy słuchać mowy Antoniusza!*“ — to już nie gallicyzm, ale czysty galicyanizm.

Nie w innym celu dotknąłem tych drobnostek językowych, tylko żeby przekonać p. Pajgerta jak podobny rodzaj tłumaczenia ułatwia drogę wszelkiego rodzaju zaniedbaniom, a głównie jak fałszuje i zmienia naturę naszego języka. Ktoby się uparł, a o takich upartych nie trudno, mógłby białym wierszem słowo w słowo oddawać każdy prawie

oryginał, w przekonaniu, że go najwierniej przelewa. Tymczasem co komu po tej wierności; chyba jednemu studentowi, jeżeli mu się niechce szukać po słownikach i łamać głowy nad przygotowaniem się do lekcji; — lecz dla czytelnika obeznanego z tokiem i zwrotami ojczystej dobrej mowy, powstają ztąd tortury dla myśli i ucha; język naginany i gwałcony do form i szyków obcego języka, traci właściwy charakter i brzmienie polskie, lecz sposób oddawania myśli, cudzoziemski, sprawia, że każdy niemal ze wstrętem podobne tłumaczenie odpycha. Mógłbym przytoczyć na dowód liczne przykłady; ale podobne przytoczenia czerpane z żyjących, dotknęłyby niejedną miłość własną i tak już dotkniętą przez najobojętniejsze przyjęcie ich tłumaczeń. — Tłumaczenie rymowe z natury swojej zmuszone jest myśl oryginału oddawać w sposób właściwszy naszemu językowi, wiem co oryginał chce powiedzieć, czuję całą doniosłość jego wyrażen, i odpowiednio temu odlewam z polskiem zacięciem wiersz, który powinien w sobie zamykać w równej objętości, mierze i tonie myśl wyrażoną w tekście. Rymowemi tłumaczeniami Psalmów, Jeruzolimy, Owidyuszowych Przemian, bogaciła się literatura, kształcił język — gdy bezrymowemi za-

nieczyszcza się tylko, jakby śniedz padła na łan pszeniczny; tłumacze niezwiązani wymaganiami rymu, z łatwością poddają się obcym formom i przestają myśl po swojemu wyrażać. Moznaby mi zarzucić, że i w prozaicznym tłumaczeniu natrafiłoby się na podobne niedogodności; lecz proza nasza tak samo jak wiersz rymowy ma swoje wymagania, potrzebuje być jasną, loiczną, płynną, wdzięczną tokiem i harmonią okresów. Wiersz biały obchodzi się bez tego wszystkiego, przynajmniej z dotychczasowych prób niemógłem się jakoś przekonać, żeby tak bardzo dbał o doskonałość, zwłaszcza w utworach, gdzie artyzm cywilizowanej poezji przemaga. W przekładach utworów gminnych, pierwotnych, gdzie mało jest sztuki, a częstokroć wiele zależy na dosłowności ustępów, mających związek z historią, rodzaj tłumaczenia białym wierszem bardzo stosownie bywa użyty; surowy materiał powinien być oddany surowo.

Zdawało mi się rzeczą potrzebną zacząć nie tyle samo tłumaczenie Juliusza Cezara, ile teorię p. Pajgerta, z narażeniem się na wyrzut nowatorów; że jeszcze się niepozbyłem zastarzałego *przesądu* względem białego wiersza. Może być że to przesąd; wszakże niewidzę potrzeby porzucać go,

dopóki teoria białego wiersza nieznajdzie poparcia w jakim dzielnym przekładzie, któryby za wzór doskonałości uznano. Szczególniej w literaturze teorye powinny być dziećmi przykładów uznanych za wzorowe; wszelkie zaś teorye wyprzedzające przykład, lub na wątpliwój wartości wzorach oparte, dają więcej dymu jak światła.

Drugi punkt sporny, który tu zamierzyłem podnieść, tyczy się *krytycznego poglądu* na Juliusza Cezara zamieszczonego na końcu trajedyi.

Zgadzam się bez targu na wszystkie piękności hojnie rozsypane w téj trajedyi, na sceny arcydramatyczne, do których jeden tylko Szekspir umie przygotować publiczność, tworząc dokoła swych osób pewną atmosferę zapowiadającą zwykle jakieś klęski, mordy, wygnanie, zbrodnie, co wstrząsają naturę. . . . Całość doskonale związana; charaktery pełne, a częstokroć w jedném słowie malujące się do głębi. Któż wypowie wszystkie przymioty i tajemnice tego nieśmiertelnego jeniusza?! Nie o niego mi téż idzie lecz o sposób w jaki p. Pajgert uważał niektóre charaktery, i co jest, czego ani Gerwinus, ani on niedostrzegli w téj trajedyi, raniącój tak boleśnie moralne uczucie czytelnika.

Chciałbym widzieć kiedy Juliusza Cezara na scenie, abym się mógł przekonać po wrażeniu jakieby odnieśli widzowie, czy ta moja uwaga słuszna: że morderstwo wykonane na Juliuszu Cezarze w trajedyi Szekspira, niczém nie jest usprawiedliwione w oczach widzów. Jeżeli tyran ma ginąć pod ciosami wyznawców wolności, trzeba nam ukazać tego tyrana w akcji; trzeba przeciw niemu usposobić umysły i serca, aby morderstwo stanowiące jądro dramatu, niewydało się dziełem hazardu, lub szalonym czynem chorujących na wątrobę ideologów. Tymczasem w trajedyi pomienionej ów Cezar, tyran wolności rzymskiej, na którego po nocach ostrzą sztylety, o którym nienajlepiej gadają, ma się rozumieć spiskowce — przedstawia się w kolorach uroczych, męża przewyższającego sercem i głową swoich politycznych przeciwników; pełnego dobroci, uprzejmości dla wszystkich, a najmniej dbającego o własną osobę. Słowa, które mówi do Artemidora podającego mu piśmienne ostrzeżenie o zamachu na jego życie w chwili gdy szedł do Kapitolu: „Co się mnie (Cezara) tyczy, będzie ostatniem,“ najlepiej malują tę wyniosłość ducha unoszącego się ponad wszystkie względy i widoki. Jakiż mi to tyran, co nie

drży swoje życie, co się nieotacza liktorami i pretoryanami, co tak po bratersku przyjmuje w domu swoim całą bandę spiskowych, i jeszcze częstuje winem — co jeżeli ma cień podejrzenia, to chyba ku Kassyszowi, który „ma głodne wejrzenie i wklęsłe lica....“ Cezar nazywa takich ludzi niebezpiecznymi dla wszelkiej władzy; jest to uwaga, którą rzuca mimochodem w toku rozmowy, uwaga niepociągająca za sobą ani tajnego dozoru, ani proskrypcyi.... I takiego to męża zamordowują spiskowce! Sposób zaś w jaki wykonywują ten czyn, jest tak nikczemny, że w obec niego postać Cezara zdaje się rosnąć w nieskończoność; spiskowi bowiem zanoszą prośbę do stóp Cezara błagając go, aby przyzwolił wrócić z wygnania Publiuszowi Cymbrowi, ci mu skłaniają się do nóg, Brutus całuje mu ręce — lecz Cezar stały „jak północna gwiazda“ niechce cofnąć raz wydanego wyroku — odmowa staje się hasłem dla Kaski do utopienia wewnątrz sztyletu, w czém go naśladuje reszta sprzysiężonych.... Nikczemni! nieśmia i nieumieją z otwartém czołem wystąpić w obronie praw i wolności Rzeczypospolitéj; co już dostatecznie przekonywa, że tylko osobista pycha pod płaszczykiem dobra ojczyzny ugodziła w pierś wiel-

kiego człowieka, aby wyjść na jaw z cieniów swojej małości. Oóż innego mówią, spiskowce na nocnych zebraniach, tylko że wielkość Cezara staje się dla nich nieznośną.

O! tak! On kroczy po tym wązkim świecie  
 Jak jaki kolos; a my, ludzie mań,  
 Pełzamy między olbrzyma nogami,  
 Sromotnych grobów szukając dla siebie.  
 Ludzie są czasem panami swych losów;  
 Nie gwiazdy winne, o! drogi Brutusie!  
 Ale my sami winni żeśmy karły.

Cóż winien Cezar że go nieba wielkim zrobiły, i dały Rzymowi, aby hydrze stronnictw i wojen domowych koniec położył!.... Republikanie przywykli widzieć ludzi skrojonych na miarę średnioproporcjonalną, niemogą pojąć nawet przyczyn robiących człowieka wielkim. Szekspir cudownie ten rys pochwyił:

Teraz mi powiedz w imie wszystkich bogów!  
 Jaką się strawą ten nasz Cezar karmi,  
 Że tak solbrzymiał? O! hańba ci wielka!  
 Rzymie! straciłeś wielkich ludzi płodność...  
 Bo kiedyż wiek był od najdalszych czasów,  
 Któryby tylko jednym mężem sływał?  
 I aż do dzisiaj można było wyrzec  
 Że jeden człowiek cały Rzym zapełnia?

Są to słowa Kassysusa, któremi usiłuje wciągnąć Brutusa do spisku; maluje się w nich prawdziwy typ sprzysięźca, zawsze gotowego uderzyć w pierś zrobioną nie na miarę „krawca lecz Fidasza.” — Brutus znowu przypomina tych doktrynerów rewolucyjnych, co to akcyę sztyletu lub gilotyny ograniczają do pewnych głów, co zbrodni czy cel radziby umiać wieńcami filantropii, łagodzić umiarkowaniem.... W tej myśli, kiedy Kassysz czystej krwi terrorysta radzi zgładzić wraz z Cezarem i Antoniusza, Brutus reflektuje zapaleńców:

Naszyt się krwawem wyda nasze dzieło,  
 Kaju Kassyszu! gdy uciawszy głowę  
 Zechcemy jeszcze odrębywać członki;  
 Jak gdyby wściekłość wiodła nas do czynu,  
 A potem zawiść?

A cóżby innego? Szekspir, który Cezara niechciał pokazać w postaci tyrana, zostawił spiskowym właśnie tylko te dwie pobudki do czynu: wściekłość i zawiść; Brutus z charakterem politycznego filozofa i marzyciela czuje i pojmuje tę pobudkę, lecz niechce w nią wierzyć, i hipokryta, paradoxista ubarwia ją celem wyższej ofiary, gdy nie ciało Cezara ale ducha chce zabić. Bardzo mu

téż idzie o to, aby w opinii ludu nazwano wykonawców mordu nie zabójcami lecz oczyszcicielami.

Niepojmuję tedy na jakiej zasadzie wywiódł p. Pajgert że: „Brutus jest najwznioślejszym, najpiękniejszym i największym charakterem, który Szekspir utworzył, który kiedykolwiek pojawił się na scenie; — że pobudki jego nie są nigdy osobiste, zawsze najszlachetniejsze, zawsze widzimy go wielkim — natura może powstać i powiedzieć: Oto był mąż!”

Czém mógł pozyskać tę sympatyę charakter Brutusa? wytłumaczyć sobie nie umiem. — Gdybym go widział w zapasach z tyranią Cezara narażającego co chwila siebie, exystencyą rodziny, poświęcającego mienie, szczęście życia, upadającego pod trudem walki na śmierć, a niedającego się niczém ująć ni zachwiać, a krzepiącego się jedną myślą, że tém okupi szczęście milionów — takim Brutusem możnaby się zaentuzjazmować; — lecz nigdy człowiekiem biernym, pokojowym marzycielem, który daje się wciągnąć w krwawy zamach przeciw największemu z Rzymian i przez kogo? przez takiego Kassjusza, tę upersonifikowaną zawiść, co w rozpaczliwej małości trując się własnym jadem, nosi ludziom na pokaz twarz żółtą i zapadłe policzki. . . . .

Nie pytam historii, ale w samej tragedyi wi-  
 dać jaką myślą kierował się Szekspir, kiedy nie  
 chciał Cezara ukazać tyranem, kiedy mu w usta  
 włożył słowa godne najszlachetniejszych i najcno-  
 tliwszych władców; o tyraństwie Cezarowem, o je-  
 go zamachu na wolność Rzymu, dowiadujemy się  
 dopiero z pogadanek spiskowców; ludzie ci wido-  
 cznie upajają się własnymi słowy, lecz konieczno-  
 ścią zagłady Cezara nie są przyciśnięci; całe mo-  
 tywum, że Cezar olbrzym, a oni karły. Ani nawet  
 u Rzymian nieuważano tego za cnotę, za wielkość  
 charakteru, że ktoś niemógł ścierpieć obok siebie  
 wyższości, jeszcze jakiej wyższości! Nigdzie także  
 niewidzimy w ciągu dramatu, żeby Rzymianie na-  
 rzekali na stratę wolności, w której obronie sta-  
 nęli spiskowi — dla kogoż więc zabity Cezar? —  
 czy tylko dla fantazyi lub korzyści spiskowców?...

Nieszuszenie więc nagania p. Pajgert Gerwinu-  
 sa, że sformułował sobie ogólne prawidło o szeks-  
 piroskich tragediach, w których nikt bez własnej  
 przewiny nie upada: bo jeśli do której, to do téj  
 tragedyi stosuje się ta reguła. Brutus i Kassyusz  
 znajdują śmierć na polach Filipińskich z własnych  
 rąk; jest to fakt historyczny, lecz i moralny zara-  
 zem w duchu formuły wyłożonej przez Gerwinusa.

Nie wątpię bynajmniej, iż Szekspir pragnąc się trzymać ściśle historycznego podania, a przytem chcąc usprawiedliwić smutny koniec Brutusa i Kassysusa, umyślnie ukazał w tak czystym świetle Cezara, żeby przyczyna spisku nie tyle wypływała z rzeczywistego pogwałcenia Rzymu, ile z zajętogo serca i fantazyi fakcyonistów zzymających się na swą małość w obec największego z Rzymian. — Nieinaczej, Szekspir czyn Brutusa i Kassysusa osądził w sumieniu swoim za zbrodniczy, i wyraźnie potępia go w piątym akcie przez usta Messali:

Ohydny błędzie! czarnych myśli dziecię,  
 Czemuż wzruszonym umysłem przedstawiasz  
 To, czego niema? O przekłety błędzie!  
 Szybko poczęty, nigdy nieprzychodzisz  
 Na świat szczęśliwym porodem; lecz zawsze  
 Zabijasz matkę, która cię poczęła. . .

P. Pajgert żadną miarą niepozwała na to, aby Szekspir te słowa odnosił do zabójstwa Cezara — a do czegoż? przecież Kassysz przebijając się na mieczu, wyraźnie mówi:

Pomszczonyś Cezarze!

Tym samym mieczem, który ciebie zabił.

Kassysz był przecież matką, która ten błąd poczęła. . . Brutus zabijający się po nim, ró-

wniez czuje w sumieniu przewinę i konieczność expijacyi. . . .

Teraz Cezarze, czas by gniew twój mijał!  
Ciebiem daleko niechętniej zabijał!

Jak widzimy, że nawet sprawcy śmierci Cezara niepoczytywali sobie tego za cnotę . . . zwłaszcza gdy patrzeli przed zgonem, jak dzieło ich rozwiało się marnie, a duch Cezaryański tryumfował z tą różnicą, że już nie było genialnego męża, co-by myśl swoją szczytniej i zbawiennie dla Rzymu przeprowadził, niż spadkobiercy jego, niedołążni tryumwirowie. . . .

Nierozumiem, na jakiej zasadzie wyexaltował sobie p. Pajgert charakter Brutusa w tej trajedyi? Zarzuca Gerwinusowi, że „niepodnosi się do rzymskiego na rzecz rzymską poglądu“ — zapewne i ja na ten zarzut narażam się: bo także odrzucam rzymski pogląd, a pilnuję tylko samego Szekspira, który na świat rzymski i nierzymski umiał zawsze po ludzku poglądać i czuć z nim po ludzku.

Dlatego to Szekspir niechciał bynajmniej czynu Brutusa podnieść do apoteozy; jenuusz pełen żelaznych konieczności i ugruntowanych motywów, umyślnie aby spiskowych potępić, niepokazał tyrana, lecz tylko wyższego człowieka padającego

ofiara . . . w oczach widzów niewinną i czystą. —  
Cała szkarada czynu, mimo pięknych słów, które-  
mi się usprawiedliwiają, jest tylko na stronie za-  
bójców. Tryumf ich też nie trwa dłużej, jak kilka-  
naście wierszy, które Brutus mówi do ludu. . . .

Niech mi wolno będzie dorzucić jeszcze jedną  
uwagę co do czytania i pojmowania Szekspira. —  
W ogóle mało trzeba zważać na pretensjonalne  
komentarze jego objaśniaczy lub krytyków; każdy  
sądzi się, by coś nowego o nim powiedzieć; mojem  
zdaniem, Szekspir ma wiele staroświeckiej prostoty; —  
trzeba go pojmować jak jest, po prostu, ze  
zdrowém usposobieniem, i niekoniecznie patrzeć  
przez jakiś „otwór piramidy, aby widzieć  
błękit i Boga“ tam, gdzie jest tylko ziemski  
padół i biedny jego mieszkaniec — ze wszystkimi  
ułomnościami i żądzami.

---



# LORD BYRON.

---

Złe czasy dla poezji. — Kresacye Byrońskie. — Don Juan znamionuje epokę przejścia. — Niemoralność Don Juana mniej szkodliwa od dzisiejszych romansów. — Śmieszni naśladowcy osobistości Byrońskiej. — Zalety polskiego tłumacza.

W obecnym wirze zdań i zajęć, żywych epei i żywych trajedyj, najznakomitsze utwory wie-szczów głośnych w świecie, stoją na boku, czeka-jąc pomyślniejszej chwili, aby się rozplywano nad niemi. Najjenialniejsze słowa, głuchną przy szczę-ku broni, spierającą się o śmierć lub życie. Dla tych przyczyn podwójnie żałuję i autora i przed-miotu, jeśli się zjawiają w takiej chwili — dla pier-wszej gazety porzuci go czytelnik; a choćby por-wany urokiem przeczytał od deski do deski, to myśli, uczucia, obrazy, postacie, odbite w jego duszy zatrą się, zmacą, znikną, jak kolorowa fo-

tografia, przy lada wieści przyniesionej z kądkolwiek. Kto w takiej chwili przynosi publiczności swą pracę, okazuje wiele abnegacyi, i wielką miłość swego zawodu nierachującą na oklask dzienny.

Te uwagi nastęrczył mi świeżo wydany przekład pierwszej pieśni Byronowskiego *Don Juana* przez Wiktora z Baworowa, znanego już z przekładu Wielandowego *Oberona*. Jeżeli cały poemat zostanie wytłumaczony w zupełności, będzie to cenny nabytek dla naszej literatury, mającej dotąd wyborne przekłady innych poematów angielskiego poety, poematów, których wartość do zbytku podniesiona w epoce kanikuły romantycznej, spadała potem, wprawdzie nigdy do zera, bo-  
 niusz na wszystkim wyciska swój stępel, lecz spadała w miarę jak powszedniały owe ideały Giaurów, Korsarzy i wszelkiego rodzaju ekscentryków i szaleńców. „*Jakich na podłonecznym nie bywało świecie,*“ a jacy urodziwszy się w wyobraźni poety, służyli za wzór do niezliczonych wyrobów, aż w końcu cały ten rodzaj stał się manierą. Jeden *Don Juan* wyłączał się od swoich młodszych braci, tém szczególniej, że poeta wkroczył w świat więcej rzeczywisty, że się stał z życiem i ludźmi niewymarzonymi, ale takimi, na jakich patrzył co-

dziennie. Była to chwila przejścia z wiru namięt-nych rojeń, z półsennych, gorączkowych marzeń, w prawdę życia, w aktualność; ale chwila pełna gniewów i sarkazmów, płacąca światu uśmiechem zjadliwej ironii, za to, że mu pogruchotał ideały młodości. Zzynał się pod naciskiem konieczności ściągającej go z obłoków na ziemię; wywiódł na scenę bohatera przygód erotycznych, i w opowiadanie swoje nadzierał złośliwych a często dowcipnych aluzji do całego społeczeństwa współczesnych mu wielkości militarynych, rządowych, dyplomatycznych, literackich itp. Była to pierwsza zimna kąpiel, pierwsze zanurzenie się w morzu rzeczywistości: dla tego wśród najtkliwszych zwrotek i najświetniejszych malowideł, usłyszysz jakby zgrzytanie, jakby dreszcz skeptycyzmu co mrozem przeszywa serce, ale zarazem czujesz, że kąpiel ochłodziła go: bo trafny zmysł krytyczny trzyma się tam na równi z wyobraźnią. W *Don Juanie* wpadł on na trop sobie właściwy; w nim zajaśniał też bystrością ro-zumu i talentu — brakło mu tylko czasu, aby mógł być dojść do szczytu doskonałości. „Czasu mu brakło we wszystkim — powiada tak trafnie Mic-kiewicz — poruszył zasadnicze pytania moralne i fi-lozoficzne, pasował się ze wszystkimi trudnościami

dogmatów i tradycji, klął i dąsał się jak Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nierozwiązał sobie zagadnienia, nieuspokoił duszy — brakło mu jak jego bohaterowi czasu.‘ Moźnaby dodać dla zupełniejszego scharakteryzowania go, że podobny nurkowi spuścił się w tajemnicze głębie ducha, o téj podróży opowiada dziwy; — ale gdyby był dna dosięgnął, niezawodnie słowo jego stałoby się najpotężniejszém i najbardziej wpływowém w nowożytnym świecie.

Walter-Skott, ów nieporównany praktyczny psycholog i znawca serca ludzkiego, odgadywał Byrona i przeczuwał drogę jego w przyszłości. Pewnego razu w rozmowie, gdy się spierali o zdania religijne, romansista rzekł doń: Sądzę, że la-da dzień zmienisz zdanie.

— Ja mam zmienić?! — ofuknął Byron — czy należysz do tych, co mi wróżą zaciąganie się pod sztandar metodystów?

— Bynajmniej — odparł Walter-Skott — alebym się nie dziwił, gdybyś został katolikiem, zakasowałbyś najzagorzalszych surowością i szczerością pokuty.

To samo wróżyli mu ludzie znający się na tworach poezyi. „Jeszcze lat kilka — powiedział je-

den z takich — a wysokiej doskonałości spodziewać się było można po Byronie, ponieważ z całej duszy kochał prawdę, więcby się był przekonał, że jego Giaury, Lary i Korsarze daleko od niej odbiegli.\* Poetycki jeniusz jego potrzebował przetrawić się w rzeczywistości, przerobić zielone i kwaśne soki bujnej fantazyi, w płyn podobny wonią i smakiem do starego tokaja — słowem zdobyć mędrca dojrzałość.

W *Don Juanie* widzimy pierwszy krok ku tej nowej pracy i on sam czuł i rozumiał tę poważną chwilę przełomu, ale jeszcze nie śmie rzucić się ku niej, żartuje sam z siebie, żal mu młodości z wszystkimi jej ułudami i rozkoszami:

Dzisiaj w trzydziestym roku me włosy siewią —  
 (Co to w czterdziestym będzie? właśnie pomyślałem  
 Onegdaj o peruczce) już więcój nie tleją,  
 Starzejące uczucia dawniejszym zapalem;  
 Skarby plennego lata wczesny maj rozchwycił,  
 I duch oporu przestał moim być udziałem;  
 Strwoniłem życie, procent równie jak kapitał,  
 Za niezłomnego jużbym siebie nie poczytał!

Nigdy — nigdy — o! nigdy już na mnie niespłynie  
 Urok serca, jak rosa w pogodnej godzinie,  
 Co nam wszystko w około uwdzięcza, przemienia  
 W jakieś nowe, cudowne nieznanne wzruszenia

Złożone w naszém łonie jako pszczoł zdobywczę!  
 Mniemasz, że te przedmioty rodzą te słodycze?  
 Nie w nich, niestety! w tobie mieściła się władza,  
 Co aż podwójny nektar z kwiecica wyprowadza.

Nigdy, nigdy — o! nigdy więcéj serce moje!  
 Niebędziesz mojm życiem, moim światłem, wszystkiém!  
 Jesteś teraz samotnym na konarze listkiem,  
 Twych uniesień niepragnę, męczarni się nieboję:  
 Znikła młoda ułuda, nieczułość uboży  
 Twoje pierwsze zapasy; lecz z tém mi nie gorzój,  
 Bo natomiast nabyłem lepszy sąd i zdanie,  
 Choć Bóg wie zkąd im we mnie obierać mieszkanie.

Aczkolwiek poeta sam sobie się dziwi, jakim sposobem dojrzałość mężka może zamieszkiwać gmach jego duszy, poświęcony dotąd szalom ognistej fantazyi zepsutego dziecka, to zawsze znamionuje to nowy zwrot myśli. *Duch oporu* jak sam mówi, *przestał być jego udziałem*; z negacyi bezwzględnej przechodzi w stan dodatni, porzuca wymarzonych bohaterów, którymi świat biczował. Niepokój i miotanie się namiętnéj pychy ustąpi pokorze mającéj cel inny niż samolubną ambicyę — ale tego peryodu niedożył poeta; zaczął go tylko pieśnią czynu poświęcenia się dla sprawy wybijającej się na wolność Hellady — i skończył swój zawód doczesny równie sprzeczny ze wszystkim

co go otaczało, jak niepodobnemi były jego twory do dźwięków spółczesnej muzy.

*Don Juan* urodził się tedy w dniach duchowego przesilenia się... nosi téż na sobie piętno téj niezdecydowanej chwili, bo zdaje się, jakby poeta, zbierając się w nową, wstąpić kolej, zgromadził w swéj piersi wszystkie gorycze i jady, jakimi napawała go od lat dziecinnych nierozumiejąca go społeczność i opowiadając romansowe dzieje bohatera-rozpustnika, z humorem towarzyszącym libacyom szampana w dobranem gronie biesiadników, od czasu do czasu, z uśmiechem lub z udaną powagą, puszcza od niechcenia gałeczki trafiające w najpoważniejsze facyaty.... Byłaby to niewinna zemsta, gdyby gałeczki niezostawiały śladu; ale jak od rozpalonego żelaza po każdéj zostaje blizna, tém dotkliwsza, że z takim lekceważeniem zadana....

Jeżeli co usprawiedliwia poetę, to niesprawiedliwość, jakiej doznał w swojej ojczyźnie. Trzeba życie jego przeczytać, aby pojąć, że takie dwie przeciwności, jak prawdziwy poeta i ówczesne społeczeństwo angielskie, znosić się nawzajem niemożły. Niektórzy mniemali, że owa zawziętość i uraza Anglików do lorda Byrona miała źródło w jego

płodach; lecz cóż jest w Parizynie, w Larze, Bepie, coby się nie znalazło w innych popularnych autorach angielskich? Nie miłostki kazirodne Hugona, nie bluźnierstwa Manfreda i Kaina, nie rozwiążność Don Juana wywołały potępienie i klątwę rzuconą przez Albion na najwznioślejszego swych synów, ale po prostu wyobrażenia ciasne i kupieckie, suchość serca, niewolniczość opinii i dążeń panujące w Anglii pod ogólną nazwą *metodyzmu*, wskazały Byrona na ofiarę. Odwieczna to walka między pierwiastkiem szlacheckim a gminnym; między swobodną wybujałością rycerskiego ducha, a płaskością codziennój rutyny; między wyborym dowcipem, a ciężkim ulicznym paszkwilem. Anglia od dawna tocząca się po drodze reform mieszczańskich, srodze obchodzi się z tymi, co występują z utartój kolei, co przerastają przyzwoitą mierność réj wodząc jenuszem lub tonem. Ileż to ofiar nieporobił w świecie ów purytanizm ubierający się w różne sukienki moralności, pobożności, równości itp. W imie tych różnych godeł, owe pod sznur do miernój wysokości wystrzyżone społeczeństwo, umie niekiedy lepiej tyranizować, niż najwyrafinowane tyrany starożytności. Czém był Knox i Elżbieta dla Maryi Stuart, czém Kromwel dla Ka-

rola Igo, tem angielskie tartiufy były moralnie dla poety...

Sponiewierany w opinie opuścił Anglię, niezostawując w niej „nic coby było łez godne.“ — Jeżeli z jednej strony społeczność angielska tryumfowała, to z drugiej strony zdjęła z przeciwnika swego wszelki przymus, i uzbroiła go w podwójną siłę. Nigdy też jeniusz jego świetniej niezabłysnął, jak po zerwaniu ze światem ojczystej wyspy. Zrobiono go niezawisłym od wszelkich skrupułów i względów; podano środki, których w innych, zwyczajnych warunkach niebyłby śmiały użyć. Trudno jest przyznać Byronowi wielki charakter; z natury kapryśny, zmienny, bystro ogarniający, w pewnych chwilach skłonny do najszczytniejszych uniesień, to znowu popadający w otrętwiałość i próżnię przesytu: nie miał w sobie owego punktu ciężkości, dającego spokój wewnętrzny i pogodę opróżniającą czoła świętych męczenników. Wszystkie jego czułości, wszystkie szlachetne popędy oburzały się na niesprawiedliwość i chytrą nieprzyjaciół; gryzł się, zrywał, a jeżeli z wyżym swojej mizantropii nie zstąpił aż do drobnostkowych nienawiści, to jedynie dla tego, że litość a niekiedy wzgarda broniła go od téj małości. Taki dumny duch jak Byron.

ski zwykle nie nabiera łagodności w starciu się z przeciwieństwami, owszem zajątrza się coraz bardziej; jak znowu w pomyślniej atmosferze sympatii znachodzi swą wielkość, i miłością obejmuje wszystko co go otacza.

Gdyby Byron znalazł był u ludzi tę wyrozumiałość, do jakiej miał prawo, niemielibyśmy nigdy Don Jouana. Gdy go nieodwołalnie potępiono, nierozróżniając zasług jego od błędów, zrzucił wszelki przymus, pozabijawszy nieśmiertelnemi strzały ironii i dowcipu swoich przeciwników, — włożył ich ciało jak Achilles za wozem.

Opowiedzieć treść *Don Jouana*, byłoby cokolwiek za trudno. Treść może być nieprzyzwoitą, zbyt wolną dla skromnych uszu; ale w rzeczy samej nie jest ona tak niemoralną, jak wiele innych książek, które w najprzyzwoitszej formie mogą zatruc i zepsuć do gruntu. Don Jouan, to nie panegyryk występku, ale właściwie satyra na społeczeństwo, w formie tłustej powieści, wziętej jakby z Dekameronu. Tysiąc dzisiejszych romansów o wiele mogą być szkodliwszemi, niż przygody rozpustnego bohatera, co chwila przecinane jaką apostrofą niemającą z jego miłośnemi awanturami najmniejszego związku, lub jak Alphey i Ilissus zarosłe tak bujną

wegetacją, że co chwila prąd ich ginie ci z oka, to samo przeszkadza już do zawrócenia głowy lub serca malowidłami oddanemi choćby jak lubieżnie i żywo. Całość tu zupełnie robi ten efekt, co przed laty będące w modzie malowania w stylu pompejańskim; w chaosie esów i floresów, syren i satyrów, ptaszków i motylów, splełanych w najosobliwsze girlandy, spotykasz w pewnych odstępach medaliony ze scenami zachwycającemi urokiem przesłicznych nimf i bożków; oko twoje pieści się klasycznymi formami harmonijnym barw doborem, ale jakoś niewchodzi w szczegóły niejednej dość śliskiej bukoliki, lub sceny przypominającej Petroniusza *Satiricon*. Podobnie ma się z *Don Jouanem*. Zresztą, ktoby się obawiał zgorzzenia, niech wypuści ów winowajczy ustęp od 136 do 188 zwrotki. Pomimo surowych krytyk obyczajowych i estetycznych, utwór ten zachował harmonijną piękność. Byron znał co może; — prawdziwy kunsztmistrz ukochał dzieło swój ręki i dla tego na przekor prozaistom pomagającym sobie nierymowym wierszem, napisał je w ariostowych stancach. — Dźwięk melodyjny tych strof potężnie pomaga namiętniej powieści, bogactwu farb i świeżości ich, podobnej do skrzydeł motyla, który puszki swoje mógł tylko z kwiatów

i promieni słonecznych pozierać. W tę fantastyczną formę wcisnął poeta, despotyczny pan języka, mnóstwo kaprysów i wyskoków muzy. Greckie, łacińskie cytaty, wszelkiego rodzaju kalembury, epigramata, dwóznaczniki, tłoczą się w misterną oktawę, póki to umyślne przeładowanie stylu nieprzejdzie w obrazy tchnące prostotą antyku. Niemożna powiedzieć, żeby Byron umiał poruszać całą skalą serca ludzkiego; nigdy on nie chciał pojmować cichego szczęścia duszy namiętnej. Ile jednak rozumiał życie ludzkie, o tyle je przedstawiał w wysokościach i głębiach jego, jużto z szczytną nagością malując kanibalizm zgłodniałych rozbitków, już z cynizmem lubieżnego fauna kreśląc sceny gminnozmysłowe, już porywając czytelnika ze sobą na szczyt jakiej wielkiej namiętności, aby ztamtąd wiercić myślą w wiekuistych zagadkach świata. — Czytelnika wprawia to w niecierpliwość, zwłaszcza gdy dumne powoje jego dumań i satyrycznych wycieczek przerywają pasmo opowiadania, tak, że nawet sam przepych gobelinowych haftów, niepociesza w tych długich przerwach. W końcu to, co gniewało i niecierpliwiło, zapomina się; — wymagania estetyczne wydają się śmieszoną pretensją, w obec obrazami oszczędności poety, która narzuca swój

estetyczny kodeks tak samo jak Homer i Sofokl narzucili go Arystotelesowi...

Z tém wszystkiem Byron nie stworzył szkoły w tém znaczeniu, w jakim pojmujemy szkołę i jój założyciela; miał on tylko nieszczęśliwych naśladowców, którzy niemogąc mu sprostać osobistością, kłamali samym sobie. Dla tego że osobistość Byrona najwięcej znaczy w jego tworach, całe pokolenie poetów na widok cudownego Anglika popadło w obłęd, chcąc naśladować to, co się naśladować nie dało. Nic tak obrzydliwego, jak to podrzeźnianie cudzej, a tak ogromnej osobistości, co stanęła niby Tytan do boju przeciw całemu społeczeństwu. — Lada też żaczek szkolny roił sobie, że ma płomienną duszę Byrońską, że wulkanem swych namiętności świat spali; lub że fatalność napiętnowała go nieszczęściem: bawił się więc w samotnika i drapował w płaszcz bandycki wyszukując miejsc górzystych, gdzie zwykle obierał zadumaną pozycyą i bolał wszystkiemi bólami ludzkości. W dodatku trzeba było wmówić w siebie jaką niepodobną miłość do osoby, z którą nigdy nawet się nie mówiło; a tak wzięwszy na barki nowe nieszczęście, czynić folgę rozpaczy smoląc cholewki do jakiej garderobiany, nie tak bardzo niedostępnej.

żeby szorstkich westchnień jęczącego nieszczęśliwca nienagrodziła pustym całuskiem...

Choć i tak drobna okoliczność miała ogromne znaczenie dla Byronisty — odtąd czuł się usprawiedliwionym wyrzekać na słabość kobiet z apodyktyczną pewnością Don Jouana. Zgoła najkrótsza a często najniewinniejsza praktyka na polu amarów dawała obfity żér do rozpowiadań o swoich małych sekretach, i to tak górno, i z takim szatanizmem, jakby Europa gotowa była poczytać za ewenement, że jakiś ktoś miał rendez-vous z drugą ktosią. — Do tych spowiedzi z urojonych grzechów i cierpień przyłączyła się jeszcze mania rozprawiania o tajemniczych występkach i zbrodniach wielkiego świata, znanych chyba z przedpokojowych plotek, co nieprzeszkadzało udawać tak spoufalego z życiem arystokracji, — jakby się było Montmoransym. — Mania ta przeszła z poematów do powieści i romansów, i dotąd się utrzymuje, służąc za środek demokratycznemu socjalizmowi do bombardowania tradycyi historycznej. — Jednym słowem, Byron chociaż sam stoi na niezrównanej wysokości, wiele mózgów przewrócił i niemało przyczynił się do sfalszowania naturalnego tonu poezyi: bo odjął jój prawdę. — Ten lub ów wma-

wiając w siebie osobistość Byrońską, kłamie sobie i drugim....

Tyle co do autora i jego naśladowców, — co do tłumacza można powinszować panu Wiktorowi z Baworowa, że szczęśliwie pokonał ogromne trudności, tak dalece, że wiele strof ma tu naturalność i swobodę, jaka służy tylko rzeczom oryginalnie pisanym. Są jednak miejsca, gdzie w przykładzie użyty wiersz trzynasto-zgłoskowy, do tego często z przeplatany rymem, nieodpowiada przedmiotowi lekkiemu i lotnemu, i za wiele ma powagi, jak wspaniale płynąca rzeka, zamiast szalejącej kaskady. Lecz i w tém tłumacz nie chciał odstąpić od swego wzoru.

Wiadomo, że do najtrudniejszych miejsc liczą początek Don Jouana pełen humorystycznego kapersu i ciętej werwy; o ile tłumacz wywiązał się z zadania łatwo osądzić z przytoczonych poniżej kilku zwrotek:

Trzeba nam bohaterów: czy braknie nam na nich?

Wszak dzienniki co miesiąc prawią o nich dziwy,

A mąż wielki podrosły na kadzidłach tanich

Okazuje się w końcu zgoła nieprawdziwy.

Na takich bohaterów obojętnie patrzę,

Więc po starzej przyjaźni Don Jouana biorę —

Widzieliśmy niedawno jak go na teatrze  
 Bisy z sobą porwały, niekoniecznie w porę.

Wernon, Wolf, Hok i Grambi z księciem Ferdynandem,  
 Jenerał Burgojn, Kepel i Hof z Kumberlandem,  
 Wielkim wodzem-rzeźnikiem, źli i dobrzy, byli  
 Sławni jako Welington w terażniejszej chwili:  
 Lecz jak ród Banka, przyszedł i odeszł skoro  
 Jednej maciory istnych „prosiąt dziewięcioro;“  
 Również Bonapartego, Demuliera chwala  
 We francuzkim Kuryerze, Monitorze brzmiała.

Barnaw, Brisso, Kondorset, Lafayet, Mirabe,  
 Petion, Kloc, Danton, Marat, jaśniej nie słabo  
 U Francuzów. Hosz, Marso, Dese, Żuber, Moro,  
 Lan i niemało innych, jak świecznik gorą;  
 Służyli za sklepowe godła ci wodzowie,  
 Dziesięcinę płacono im w potocznej mowie,  
 I złych i dobrych sława i rozgłos najszerszy,  
 Ale nieprzypadają wcale do mych wierszy.

Niegdyś jak Boga Marsa, angielscy wypiarze  
 Uwielbiali Nelsona; dzisiaj nowa era,  
 Wiatr inny: niema mowy już o Trafalgarze,  
 Jego imię spoczywa w urnie behatéra,  
 Za lądową potęgą są dzisiaj mocarze;  
 A choć na to sarkają nasi marynarze,  
 Tylko piechotnych szyków dziś dola się święci;  
 Dunkan, Nelson, How, Dzierwis giną w niepamięci.

•  
 I pod Agamemnonem żyli ludzie śmieli,  
 A lubo spełna jego przymiotów nie mieli,  
 Męstwo, rozum posiadał, jeden, drugi, trzeci,  
 Ale cóż! o ich czynach zamilkli poeci,  
 I, poszli w zapomnienie: — nie wyjdzie przygana  
 Z ust moich; ale z nowym moim poematem  
 Teraźniejsi nie mają nic spólnego — zatem  
 Dawnego znajomego biorę, Don Jouana.

*In medias res* nurzają się wieszczopisowie,  
 (Horacy wskazał ten trakt główny epopei)  
 Wcześniejsze zaś wypadki w obszernój przemowie  
 Sam bohater pod kształtem epizodu klei,  
 Opowiadaniem swoim słuchacza wstecz wiedzie  
 W wolnej chwili, wygodnie siedząc przy obiedzie,  
 Przy kochance, w pałacu, gaju czy pieczarze,  
 Służącój za bawialnię zakochanój parze.

Ta metoda utarta, ale jój nie cenię —  
 Mojém zdaniem, zaczynać trzeba od początku;  
 Mój plan i układ prosty, trzymam się porządku,  
 Za błąd niedarowany mam wszelkie zboczenie;  
 Na samym przeto wstępie, jak należy, skreślę  
 (Chociażbym pół godziny strawić miał w namyśle)  
 Opowiem, czyje z ojca Don Jouan był dziecię,  
 I o matce nadmienię, jeśli pozwolicie. i t. d.

Widzimy tu potoczność i łatwość, a przytem  
 precyzyę wyrażień; również umiał tłumacz szczęśli-

wie dykcję zastosować do ducha naszego języka, i niekiedy obrazom i porównaniom dać pewien pokost polski, co wszystko odejmuje dziełu jego pochodzenie obce, i robi je prawdziwie przyswojonem. Spodziewamy się po tak pomyślnie rozpoczętej pracy, że niebawem i dalsze pieśni nastąpią w równie starannym przekładzie.

# NAJPOPULARNIEJSZA KSIĄŻKA.

Naśladowanie Chrystusa ułożone z starych przekładów p. X. Łętowskiego. — Kto był autorem téj książki? — Zdanie Ś. Franciszka Salezjusza. — Walka Kempistów z Gersonistami. — Badania przyznały autorstwo Gersonowi. — Praktyczność książki O Naśladowaniu zrobiła ją najpopularniejszą. — O polskich tłumaczeniach.

Zdawałoby się rzeczą zbyteczną chcieć dzisiaj mówić O Naśladowaniu Chrystusa, książce, krom Ewangelii, najbardziej rozszerzonej w świecie chrześcijańskim; nietylko bowiem owoc ten najczystsze go katolicyzmu smakuje katolikom, ale tak protestanci, jak schyzmatycy używać ją zwykli, z pewnemi wypuszczeniami, za przewodnika w pracy wewnętrznej. Powiedzieć zatem coś nieznanego *O naśladowaniu Chrystusa*, kiedy tyle już o niem powiedziano, kiedy mało kto jest, coby téj księgi

nieznał, byłoby próżném ubieganiem się, a jeszcze większą zarozumiałością. Celem niniejszego sprawozdania jest tylko historia książki.

Polskie tłumaczenie ksiąg *O naśladowaniu Chrystusa* świeżo wydane, a z dawniejszych XVI. i XVII. wieku tłumaczeń Fabrycego, Wysockiego, Wielowickiego, przerobione szczeropolskiem piórem X. biskupa Łętowskiego, niejest tak obojętnym w piśmiennictwie wypadkiem, aby nań bacznój nie zwrócić uwagi. Zresztą czyż wzniosły ten utwór pobożnego ducha niezajmuje w ogólnej literaturze takiego samego miejsca, jakie zajmują Wyznania Ś. Augustyna, Pisma Ś. Bernarda, Pieśni Ś. Franciszka, nieporównane *Fioretti*, a nawet i Boska Komedia? Dla téj przyczyny niegodzi się go pominąć, bo to niedrobnostka z przelotnem życiem, ale dzieło zawsze prawdziwe, i zawsze świeże, pokąd w ludziach tkwić będzie pragnienie wewnętrznego doskonalenia się.

Jak wszystkie nadzwyczajności w dziełach ludzkiego umysłu niewiadomego są pochodzenia, tak i księgom *O naśladowaniu Chrystusa* erudycya czterech wieków niemoże wynaleźć autora, i zwątpiwszy w swoją dociekliwą bystrość, gotowa się pisać na zdanie Ś. Franciszka Salezjusza, który wy-

rzekł, że księga o Naśladowaniu, niejest niczyją, tylko Ducha Ś.

Zapewne Duch Ś. jest głównym twórcą, idzie tylko o to, przez kogo do świata przemówił. Ciekawa to walka między trzema narodami spierającymi się o autorstwo. Włochy przypisują je Verceleskiemu benedyktynowi, nazwiskiem Gersen, Francuzi Janowi Charlier rodem z Gerson, Niemcy Tomaszowi z Kempen.

Nadaremnie pokorny i cichy autor prosił Boga o tajemnicę dla swego nazwiska, nadaremnie chciał się schować przed podziwem i poklaskami wywołanymi w świecie religijnym; ludzie usadzili się, żeby go wytropić i najmniej paręset książek spisali, w tym jedynie celu, aby się o prawdziwym autorze „Naśladowania“ dowiedzieć.

Polemika ta prowadzona bardzo długo z zaciętością i subtelnościami scholastycznymi, wyczerpała wszystkie argumenta, nieprzekonała nikogo. Niemcy wraz z Sorboną, stali przy autorstwie Tomasza z Kempen; przeciwnie członkowie uniwersytetu paryzkiego przyznawali autorstwo swemu kanclerzowi Janowi z Gerson, który niegdyś żywy brał udział w ważnych zmianach roztrząsanych na soborze w Konstancyi. Proces toczył się zażarty między

Kempistami a Gersonistami, i nierzadko od argumentów szło do grubiaństw i czubów, a chociaż stronniczy pierwszego nie mieli więcej za sobą, tylko iż na manuskrypcie z r. 1442 stał u dołu podpis Tomasza, co właściwie nie miało wielkiego znaczenia, albowiem Tomasz w swoim bractwie pełnił urząd kopisty, mimo tego sprawa dostała się do parlamentu, który wyrokiem sądowym autorstwo przyznał Tomaszowi, i bardzo długi czas księgi o *Naśladowaniu* miano za dzieło Tomasza à Kempis. — Bystrzejsze i trzeźwiejsze badania późniejszych uczonych, z których dość wymienić powagę Bossueta, całkiem przeważały szalę na stronę Gersona, bo i manuskrypt znalazł się z roku 1427, dawniejszy od Tomaszowego i przez porównanie innych pism Gersona z *Naśladowaniem Chrystusa*, te same wyrażenia i zwroty stylowe w jednych jak w drugim; a co także posłużyło filologom za dowód, że księgę tę niepisał ani Włoch, ani Niemiec tylko Francuz, to łacina przepelniona lokucjami i zwrotami właściwemi naturze języka francuzkiego. W owych bowiem wiekach łacina niekształcąca się na wzorach klasyków łacińskich, nosiła na sobie piętno narodu, z którego autor pochodził. I tak łacina naszego Kadłubka lub Dłu-

gosza, inną jest od łaciny kronikarzy włoskich, niemieckich, angielskich lub francuzkich, nietylko w wyrażeniach rzeczy, ale i w zwrotach stylowych. Żywioł narodowy silniejszy niż sama umiejętność pisania w starożytniej, umarłej mowie, musiał przebijać się przez formy przyswojonego języka. W wieku odrodzenia nazwano tę łacinę zepsutą, kuchenną — lecz mimo tego nosi ona piętno swoim czasom odpowiednie, i do zrozumienia tychże więcej się przyczynia, niż żeby ją zdołał gładki styl Cyceroński zacierać właściwości wyobrażeń i fizyonomię średniowiecznego społeczeństwa.

Najważniejszy zarzut przeciw autorstwu Gersona był, że jako świecki ksiądz, nie mógł pisać tym tonem mnicha wyrzekającego się stosunków ze światem, tonem przemagającym w całości i w szczegółach ksiąg o Naśladowaniu. Lecz i ten zarzut sam z siebie upada, gdy jak wiadomo z życia Gersona, tenże uchodząc prześladowań stronnictwa Burgundzkiego, przeważnego w Paryżu, osiadł w Lugdunie w klasztorze Celestynów, gdzie brat jego był przeorem; i tam zostając przez lat dziesięć i zachowując regułę tego zakonu, mógł być pisać jak mnich, tém bardziej, gdy przeor prosił go, aby napisał nabożną książkę dla jego zakonnej braci.

W rzeczy samej, czytając uważnie księgi o Naśladowaniu Chrystusa, przychodzi ta myśl, że autorowi znajomość światowych stosunków wcale nie była obcą, ale że poznawszy się na ich nicości, radził szukać pociechy w oderwaniu się od świata i w doskonaleniu się wewnętrzném.

Żaden mnich od młodu zamknięty w klasztorze, niebyłby w stanie pochwytać tych wszystkich odcieni słabości naszych dla ponęt rozrzuconego życia, jak to umiał znany czy nieznan autor *Naśladowania* uczynić, i dla téj to własności książka ta z murów zakonnych przekradła się w publiczność chrześcijańską i od kilku wieków została przewodniczką w pracy wewnętrznego doskonalenia się.

Nie mając bynajmniej zamiaru zapuszczać się w rozbiór tak znanego i świętego dzieła, pragnę zwrócić jeszcze bacność na sam tytuł, krytykowany nie rzadko przez ludzi szukających skazy na każdej doskonałości. „Co za uroszczenie! — nie raz to słyszeliśmy — chcieć naśladować Chrystusa. Co za bezsens! a nawet i bezbożność: bo z silną wolą pilnego naśladowania podanych przepisów, możnaby samemu zostać Chrystusem! — Ci, co takie zdania głosili w piśmie i w mowie, niezajrzeli pewnie dalej w tę książkę, jak po sam tytuł, albo

téż niewiedzieli nic o zwyczaju autorów średnio-wiecznych, że tytuły ich książek niezawsze odpowiadały treści; co się przecież i nowszym autorom trafia nierównie częściej. O naśladowaniu Chrystusa pod względem pogardzenia próżnością tego świata, mowa jest tylko w pierwszym rozdziale; otóż argument ten rozciągniony został i na resztę książki; był to bowiem stały zwyczaj w średnich wiekach oznaczać tak bule papieżkie, jak modlitwy kościelne i pieśni, pierwszemi słowami, od których się takowe zaczynały. Dla tego powiedziano: *Naśladowanie Chrystusa*, jak tytułowano pieśni *Dies irae*, *Stabat Mater*, a bulle *Unam sanctam* i t. p.; w rzeczy zaś saméj książka *O naśladowaniu* nie jest wymierzoną do tego jednego celu. W każdéj księdze, w każdym rozdziale traktowane są najrozmaitsze przedmioty; związek zaś mający łączyć te oderwane części zupełnie zniknąłby z oczu czytelnika, jeżeliby ten nieczuł na dnie tych oderwanych ułomków spoczywającéj jednolitój myśli chrześcijańskiej. Chcąc porównać księgę *O naśladowaniu* z jakimi późniejszymi dziełami filozofów-moralistów, moglibyśmy coś podobnego znaleźć w owych zbiorach maxym, przysłowiów, rozmyślań, gdzie lubo odkrywamy jeden stały kierunek myśli, uczuć, opi-

nii moralisty, jednakże nieznajdujemy tego ciągu rozumowań z założenia wyływających, bez którego dobrze ułożona książka obejść się nie może. Autor *Nasładowania* pod księgi i rozdziały ugrupował wprawdzie myśli swoje wyływające bądź z jednego usposobienia i położenia duszy, bądź z zasady postawionej ściśle; wszakże innéj metody szukać nienależy w tych kartach, tak wzruszających głęboko, bo wytrysłych z najczystszegego ducha chrześcijańskiego, tak nastrajających ton wysoki: bo zdolnych ustalić nasze pragnienia, powściągnąć namiętności ziemskie, a na ich miejsce niezmierną miłością ku Zbawicielowi i ludziom zapalić.

Co osobliwego mają do siebie księgi *O nasładowaniu*, że lubo urodziły się w epoce największych dysput i sporów religijnych, mimo tego nigdzie w nich ani śladu polemiki. Autor czy był lub nie w kłótnie różnych szkół wmięszany, widocznie odłożył tu na bok czcze szamotanie się, aby żaden odgłos zewnętrznego świata niezakłócał spokoju cichéj duszy. W takiém usposobieniu pisał on zapewne tego przewodnika po drogach wewnętrznego żywota.

Szczególniej zastanawiając się nad księgą pierwszą, widać w niej, że jest głównie ułożoną dla

użytku zakonnika. Co chwila mówi pobożny autor, o zasłudze bezwarunkowego posłuszeństwa, o zupełnym wyrzeczeniu się siebie, o rozkoszach kontemplacyi; lecz kto chce sięgać po te owoce, winien już całkiem zerwać ze społeczeństwem świeckiem. Potwierdza to mnóstwo miejsc; jedna szczególniej myśl charakteryzuje tę drogę mistyczną, gdy mówi:

„Pragnąć masz sobie, abyś z samym Panem Bogiem i aniołami jego miał towarzystwo, a zająmności się ludzkich wystrzegaj.“

Obok tych rad dających się ściśle zastosować do klasztornej życia, jakżeż wiele spotykamy myśli przydatnych nawet dla największego światowca:

(Roz. XV.) „Dla żadnej rzeczy stworzonej, ani dla zamiłowania którego człowieka niemamy źle czynić, albo grzeszyć; ale z potrzeby, dla użytku czyjego może być dobra sprawa niekiedy odłożona, albo na co lepsze odmieniona.“

„Albowiem tym sposobem uczynek dobry opuszczony niebywa, ale w co lepszego się zamienia.“

„Uczynek zwierzehny bez chrześcijańskiej miłości nic niebywa pożyteczny, a cokolwiek znowu z miłością się dzieje chociażby téż co podłego i wzgardzonego było, wszystko się pożytecznym stawa.“

„Tenci wiele czyni, który bardzo miłuje.“

„Tenci wiele czyni, który co dobrze czyni.

„A ten dobrze czyni, który drugich pożytkowi  
więcej niżeli swojej woli służy.“

Bez końca możnaby przytaczać ustępy do powyższego podobne, a noszące piętno wcale nie cenobityczne. *Księgi o Naśladowaniu* nigdyby nie były przekroczyły murów klasztornych, żeby w nich nieznałdował się obfity pokarm dla świeckiego i światowego nawet człowieka. Sama wziętość téj książki liczącej w różnych językach blisko tysiąc wydań, pokazuje jój praktyczną użyteczność.

Na schyłku szesnastego wieku zaczęły się u nas pojawiać przekłady ksiąg *O naśladowaniu*.

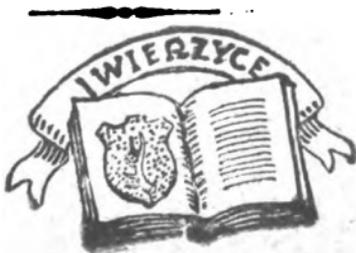
Bibliografowie cytują kilka przekładów: Wielowickiego, Wysockiego i Wujka; z świeższych mamy ministra Tadeusza Matuszewicza najwięcej rozposzechniony, lecz najniezasłużeniéj; następnie gładki i zwięzły przekład X. Jełowickiego; świeżo zaś wydał nowe tłumaczenie X. Guzier. Najszcześniejszą jednak myśl miał X. biskup Łętowski, gdy wzięwszy stare nasze przekłady, zrobił z nich jedno dokładne, biorąc z każdego, co najlepiej przypadło, aby się złożyło najwierniejsze. — „Była to robota — jak mówi w przedmowie — mozolna,

więcej niż się zdawało, ale wiele wdzięczna. Mają bowiem nasze książki duchowne z tamtych czasów coś dziwnie prostego i słodkiego; a w książce o *Naśladowaniu* dużo na tém zależy, aby się obraz jój (oryginał) ile być może w mowie dochował.\*

Porównywając to nowe wydanie X. Łętowskiego z innemi nowoczesnemi tłumaczeniami, niepodobna mu nieprzyznawać wyższości nad niemi, nietylko w ścisłości i nadzwyczaj pięknym języku staropolskiego kroju, który ma to do siebie, że w samém zestawieniu i użyciu wyrazów tkwi pewna głębo-kość, która, że tak powiem, pociąga myśl czytelnika i zmusza go do refleksyi.

Więcej to zapewne utrudza, niż gładkie a płytkie tłumaczenie *à la manière française*, za to bywa korzystniejszém dla każdego, co w téj książce szuka pokarmu dla swoich rozmyślań.

Zalety tego tłumaczenia zniewoliły mię do zwrócenia uwagi na książkę najwięcej znaną w świecie chrześcijańskim.





## SPIS RZECZY.

---

|   |     |
|---|-----|
| Henryk Rzewuski i Bartłomiej Michałowski..... | 1   |
| Ostatnie chwile Króla Węgnańca.....           | 45  |
| Zakon Kaznodziejski.....                      | 83  |
| Xięstwo Warszawskie.....                      | 117 |
| Dyplomacya.....                               | 167 |
| Filozofia moralna.....                        | 183 |
| Historyo-romans.....                          | 205 |
| Historya polska.....                          | 229 |
| Legenda i Rodowód.....                        | 255 |
| Wiek świetności i wiek upadku.....            | 279 |
| Australia.....                                | 311 |
| Tragiedye Rassyna.....                        | 335 |
| Juliusz Cezar i Szekspir.....                 | 355 |
| Lord Byron.....                               | 377 |
| Najpopularniejsza książka.....                | 395 |







1111

This book should be returned to  
the Library on or before the last date  
stamped below.

A fine is incurred by retaining it  
beyond the specified time.

Please return promptly.

**STALL-STUDY  
CHARGE**

4267279

1975  
DUE JAN '75 H

Slav 7123.10.23  
Roztrzasania i poglady literackie  
Widener Library 006946208



3 2044 085 702 355